INDIANA JONES™

Świat Wewnętrzny

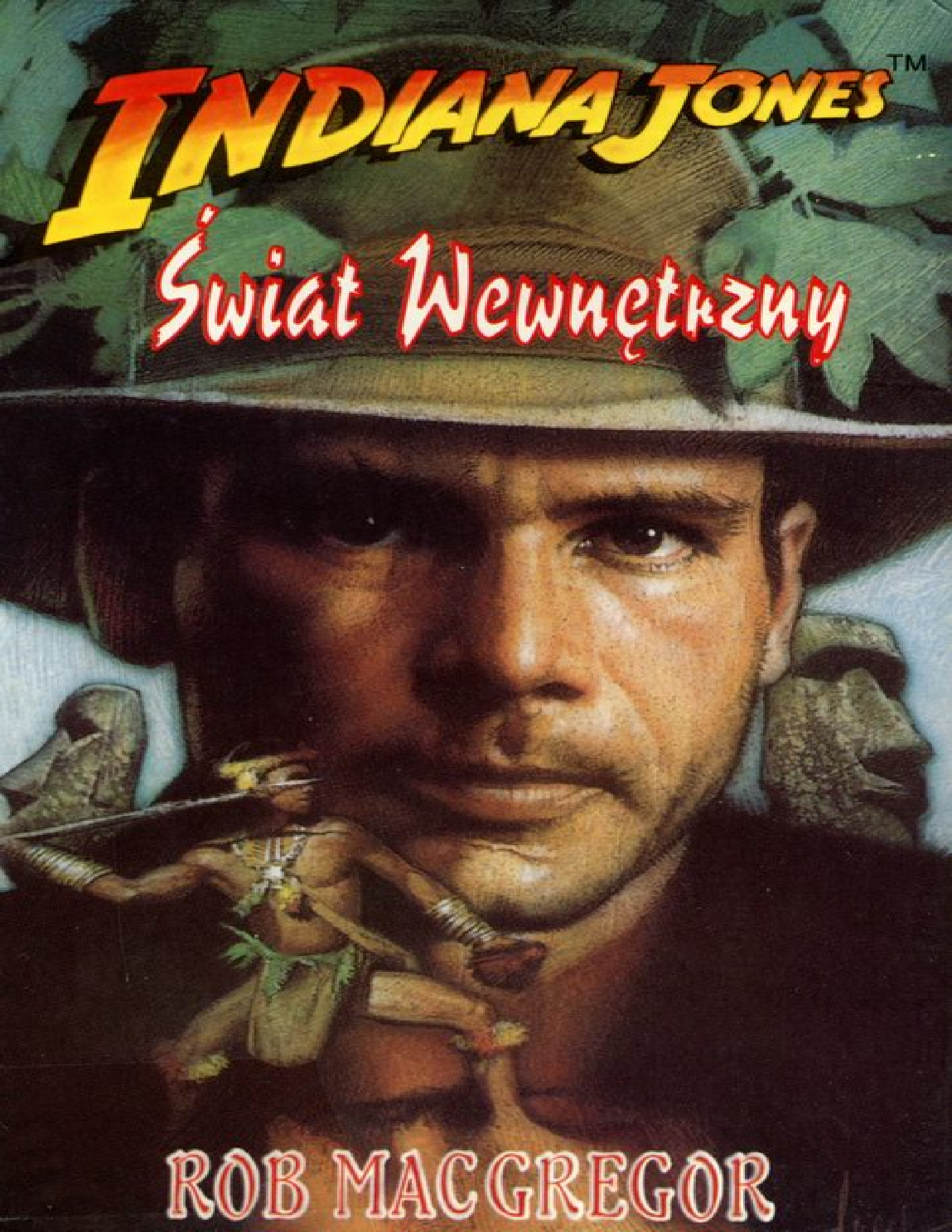

ROB MACGREGOR

Rob MacGregor

I ŚWIAT WEWNĘTRZNY

(INDIANA JONES AND THE INTERIOR WORLD)

Przełożył: Stanisław Kroszczyński

ORBITA

Wydawnictwo: Orbita 1994

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Motto

PROLOG

1. TABLICZKI RONGO-RONGO

2. PRZEWRÓCONY MOAI

3. MATUANIE

4. SIDŁACH LEGENDY

5. PODWÓJNY BEITELHEIMER

6. MARYNARZE

7. NA POKŁADZIE CALEUCHE

8. BERŁO

9. PINCOYA

10. MALEIWA

11. UCIECZKA Z PINCOYA

12. JASKINIA W JASKINI

13. KRAINA ZAGUBIONYCH

14. OBIETNICA

15. POWRÓT DO RZECZYWISTOŚCI

16. PRZEŁOM

17. SIERRA NEVADA

18. STRAŻNICY

19. DO WEWNĄTRZ

20. NA PŁASKOWYŻU

21. BAGIENNE STWORY

22. PODRÓŻ DO WAYUA

23. BRAMA JEDNOROŻCA

EPILOG

Tytuł oryginału:
Indiana Jones and the Interior World

Redaktor:
Barbara Nowak

Koncepcja okładki:
Maciej Jaworski

Redaktor techniczny:
Andrzej Tyczyński

Published originally by Bantam Books
Indiana Jones and the Interior World

Copyright (c): TM&© Lucasfilm Ltd. (LFL)
All Rights Reserved
Lucasfilm. Licensing

Polish translation ©1994 „Orbita” Spółka Wydawniczo-Poligraficzna z o.o.
© Copyright for the Polish edition by „Orbita", Warszawa 1994

ISBN 83-7034-132-2

Skład i łamanie: Fotoskład „Dorka", W-wa. ul. Ratuszowa 11, tel. 619-22-41 w. 171

Świat zewnętrzny jest w każdym swym punkcie powiązany w sposób nieunikniony z jakimś światem wewnętrznym.

– Teilhard de Chardin

Czy przydarzyło się to, czy też nie - tego nie wiem; jeśli jednak rozważyć tę sprawę dogłębnie, wszystko staje się prawdą.

– Czarny Łoś

PROLOG

Cieśniny Raju, 21 września 1928

Maleiwa i jego dwaj przyboczni szybkim krokiem przemierzali korytarze. Byli już blisko przejścia do świata zewnętrznego i wiedzieli o tym. Maleiwa jednak obawiał się, że nie zdążą. Brama Słońca otwierała się tylko dwa razy do roku i to jedynie na parę minut. Byli spięci i zdenerwowani, nie zwracali uwagi na to, co działo się za nimi.

Okazało się to korzystne dla Salandry. Ponieważ Maleiwa zajęty był poszukiwaniem Bramy, ona mogła podążać za nim nie lękając się, że zostanie spostrzeżona. Była przygotowana na to, by pójść za nimi dokądkolwiek się udadzą. Jej obowiązkiem było śledzenie kroków Maleiwy w zewnętrznym świecie.

Cieśniny Raju - jak nazwano tę okolicę - były obszarem stosunkowo słabo zbadanym, korzystano z nich rzadko z powodu ograniczeń natury czasowej. Z tego powodu jednakże było to miejsce idealne dla wysokiego, postawnego przywódcy Wayua. Nie życzył sobie, aby ktokolwiek wiedział o jego potajemnych wysiłkach mających na celu zawarcie przymierza ze światem zewnętrznym.

Nie udało mu się oszukać Salandry. Obserwowała Maleiwę z bezpiecznej odległości już od dłuższego czasu. Wiedziała, że jedynym jego celem jest władza i musiała mu przeszkodzić w działaniu. Ludzie ze świata zewnętrznego nie byli przygotowani do spotkania z nim i z tym, co sobą uosabiał. Ich największym wrogiem był brak wiary, bardziej niż cokolwiek innego. Jak mogli przeciwstawić się czemuś, w co nie potrafili uwierzyć?

Swego czasu magowie ze świata zewnętrznego kontaktowali się systematycznie z mieszkańcami podziemia. Te czasy minęły już dawno i żywe były tylko w niewielu umysłach, a wiedza o tych spotkaniach utrwaliła się jedynie w niezliczonych legendach. Teraz Młodsi Bracia, jak nazywano czasem tych z zewnątrz, byli szczególnie bezbronni. Rozwój cywilizacji prowadził ich do kultu maszyn; maszyny stały się ich bogami, a dawne wartości poszły w niepamięć. Maleiwa rozumiał wyśmienicie to zjawisko i pragnął wykorzystać je na swój sposób.

Salandra zatrzymała się i przywarła do ściany: mężczyźni weszli do okrągłego pomieszczenia. Panował w nim mrok, nie było ani śladu przejścia na zewnątrz. Być może spóźnili się... Jak miło będzie opowiedzieć królowi, że Maleiwie się nie powiodło.

Nagle pomieszczenie wypełniło się harmonijnym, metalicznym brzęczeniem. Dźwięk nie dochodził z jakiegoś określonego punktu, wydawało się, że napływa ze wszystkich stron. Cieśniny zamieszkane były przez byty pośrednie, a łagodna muzyka świadczyła o ich obecności. Stawała się coraz głośniejsza... Przez chwilę Salandra straciła orientację, ale niemal natychmiast pojęła wszystko.

Światło zalało pomieszczenie. W ścianie pojawił się trójkątny otwór. W świecie zewnętrznym nadchodził czas zrównania dnia z nocą.

Zmrużyła oczy, podobnie jak Maleiwa i jego towarzysze. Byli przygotowani do przemiany, ale i tak pierwszy kontakt z intensywnym światłem i gęstym powietrzem świata zewnętrznego okazał się dla nich wstrząsem. Nie mieli jednak czasu żeby oswoić się z tym wszystkim, Brama otwierała się na bardzo krótko. Salandra musiała niepostrzeżenie wydostać się na zewnątrz zaraz za Maleiwą.

Mrużąc oczy dostrzegła Maleiwę przeciskającego się przez otwór. Jego towarzysze przeszli już na drugą stronę. Salandra przebiegła przez pomieszczenie, kiedy tylko Maleiwa zniknął jej z oczu. Czuła, jak dźwięki istot pośrednich przenikają jej duszę, wypełniają jej ciało, tak jak woda

wypełnia naczynie. Nie chciała opuszczać tego miejsca, ale wiedziała, że nie ma innej możliwości. Nie miała wyboru. To był jej obowiązek, jej misja.

Zanim zdążyła wsunąć nogę do trójkątnego otworu w skalnej ścianie, ujrzała przed sobą jakiś ruch, usłyszała czyjeś głosy. Wycofała się błyskawicznie i znów przywarła do ściany. Czyżby Maleiwa podejrzewał, że jest śledzony? Jeśli tak, to już nie zdoła mu uciec. Umrze tutaj i teraz i nikt nigdy się nie dowie, co jej się przydarzyło. Maleiwa wczołgał się z powrotem do pomieszczenia. W dłoni trzymał coś, co przypominało miecz albo berło. Ten dziwny przedmiot był biały jak śnieg i miał srebrną rękojeść w kształcie dwugłowego ptaka, orfa. Co to było? Co się stało?

Kiedy Maleiwa podniósł berło do góry, ziemia zadrżała nagle, rozległ się ogłuszający huk eksplozji. Podmuch cisnął Salandrę na ziemię. Maleiwa zachwiał się i upadł na kolana, wciąż przyciskając berło do siebie. Kurz i odłamki skał posypały się na nich, Brama się zamknęła, światło zniknęło. Maleiwa począł wołać swych towarzyszy, jego wołanie pozostało jednak bez odpowiedzi. Salandra była oszołomiona, przerażona. Nie spodziewała się, że wypadki potoczą się w ten sposób.

Nagle wódz Wayua zerwał się i pobiegł korytarzem. Odczekała chwilę i, zachowując bezpieczną odległość, podążyła jego śladem. Wiedziała już, że teraz musi nie tylko obserwować Maleiwę, ale także poznać tajemnicę berła.

1.

TABLICZKI RONGO-RONGO

Wyspa Wielkanocna, wiosna 1929

Ręczna łopatka pobłyskiwała w przygasającym świetle zachodzącego słońca, zawzięcie wbijając się w suchą ziemię. Kiedy grunt był już dostatecznie spulchniony, Indy odgarniał ziemię na bok z pomocą szpachelki. Następnie znów brał do ręki łopatkę i powtarzał te same czynności, na pozór beznamiętnie i obojętnie. To był już piąty dom w dawno opuszczonej wiosce kapłanów, zwanej Orongo, i zanosiło się na to, że po raz piąty powróci z pustymi rękami. Jutro przyjdzie tu znowu i przysypie podłogę ziemią, układając kamienie dokładnie tak samo jak leżały, zanim rozpoczął poszukiwania. A potem zacznie przeszukiwać następny dom.

Kamienne domki mieściły się na samym obrzeżu krateru Ranokau. Większość z nich była wciąż w niezłym stanie, chociaż od czasu gdy mieszkańcy wyspy po raz ostatni wspięli się na wulkan, aby modlić się do bogów Makemake i Haua, minęło już siedemdziesiąt pięć lat.

Nagle łopatka natrafiła na coś twardego. Odłożył ją na bok i ostrożnie odgarnął ziemię. Ujrzał podłużną, drewnianą powierzchnię o zaokrąglonym kształcie. Wreszcie. Wyglądało to na brzeg tabliczki *rongo-rongo*, przedmiotu jego poszukiwań.

Wyspa Wielkanocna jest przede wszystkim znana z *moai*, wielkich głów wyciosanych z kamienia. Indy jednak interesował się drewnianymi

tabliczkami zapisanymi nieznanym pismem. Studiował je już od wielu tygodni, ale nie posunął się ani o krok do przodu i nie rozumiał ani jednego hieroglifu spośród znaków przypominających stylizowane rośliny i zwierzęta. Najprawdopodobniej mieszkańcy wyspy nie potrafili już czytać *rongo-rongo*. Znano stosunkowo niewiele tabliczek i odczytanie ich wobec tak nieznacznego materiału było praktycznie niemożliwe. Tak więc w ciągu kilku ostatnich tygodni Indiana Jones grzebał w ziemi w wiosce Orongo, mając nadzieję na odnalezienie tabliczek, które mogłyby stać się kluczem do rozszyfrowania pisma.

Odłożył szpachelkę na bok, sięgnął po pędzel ze sztywnego włosia i dalej odgarniał pył. Tajemnicze pismo zajmowało mu myśli do tego stopnia, że co noc w jego snach stworzonka tańczyły i gestykulowały, zdradzając mu klucz do zagadki. Rozwiązanie było bezsporne, powtarzały je w nieskończoność. Także on wszystko rozumiał, ale tylko we śnie. Kiedy się budził, obrazy znikały i nic już nie było oczywiste.

Indy przerwał pracę na moment i zerknął przez ramię w stronę zachodzącego słońca. Powinien już skończyć i wrócić znów jutro. Już za chwilę słońce schowa się za horyzont, a jazda konna po stromym zboczu wulkanu w całkowitych ciemnościach nie należała do najbezpieczniejszych. Teraz jednak nie miał czasu, żeby myśleć o tym, co będzie za parę minut. Nie po tak długim okresie bezowocnych poszukiwań. Musiał coś znaleźć choćby po to, żeby odzyskać spokój. Nie mógł tak po prostu wrócić do Stanów. To prawda, że zadanie, którego się podjął, było właściwie beznadziejne. Od dziesiątków lat językoznawcy próbowali rozszyfrować *rongo-rongo* i żadnemu z nich się to nie udało.

Odłożył pędzel i zaczął rozgrzebywać ziemię palcami.

Pochylił się nisko: drewno było w dobrym stanie, nie musiał się obawiać, że się pokruszy. Potem natrafił na coś metalowego. Rozczarowanie. To nie była tabliczka *rongo-rongo*. Być może włócznia z czasów kapitana Cooka. Pracował dalej. Ku jego zaskoczeniu metalowa

część znaleziska nie zwężała się, lecz rozszerzała. Zaczął gorączkowo rozgarniać ziemię, a potem nagle przerwał pracę.

– Cholera!

Chwycił za drewniane stylisko i wyszarpnął je. Mogła mu się przydarzyć tylko jedna rzecz gorsza od nieznalezienia niczego: natrafienie na jakąś złamaną łopatkę.

Cisnął ją na ziemię ze wstrętem. Kolejny zmarnowany dzień. Otrzepał pył z dłoni, pozbierał narzędzia do torby. Przerzucił ją przez ramię i poszedł w stronę skraju wioski, gdzie czekał na niego koń.

– Pora do domu staruszku - Indy poklepał konia po zadzie i miał już wspiąć się na siodło, gdy nagle pośród skał znajdujących się nad jego głową dostrzegł jakiś ruch. - Zaczekaj no tutaj, Champ.

Zagłębił się w wąską szczelinę między dwoma kamiennymi blokami. Ostrożnie wysunął głowę i spojrzał. Uśmiechnął się na widok kilku dziobów wymierzonych w jego stronę z występu skalnego.

– Co tu robicie, „chłopaki"?

Ptaki cieszyły się w Orongo szczególnym poważaniem, czczono je nawet jako święte, w każdym razie w swoim czasie. Skały dookoła pokryte były rysunkami pół ludzi, pół ptaków o długich dziobach; każda z tych postaci zaciskała w tylnych kończynach jajko. Znaki na skale zostały wykute przez wyznawców kultu człowieka-ptaka. Panujący od kilku stuleci kult zaniknął nagle w roku 1862, kiedy to król wyspiarzy i większość kapłanów zostali porwani do Peru jako niewolnicy, a mieszkańcy wyspy stracili dostęp do wiedzy o swej przeszłości. Indy spoglądał ponad skałami na jezior o, które utworzyło się w kraterze wygasłego wulkanu. Nad wodą unosiła się mgła, zagłębienie przywodziło na myśl kocioł czarownicy albo siedzibę jakiegoś boga. Spojrzał w drugą stronę, na górzystą wyspę w kształcie grubo ociosanego trójkąta, rozciągającą się u jego stóp. W każdym jej kącie znajdował się wulkan, większość stałego lądu składała się z zastygłych potoków lawy, przybierających w świetle zachodzącego słońca

niemal czarny kolor. Szczyty wulkanów były wciąż oświetlone i jaśniały zielenią trawy porastającej zbocza.

Indy szedł do konia. Południowe zbocze Ranokau opadało stromo do morza. W pobliżu brzegu znajdowały się trzy małe wysepki. Największa z nich, Motu Nui, była wylęgarnią tysięcy morskich ptaków i obok Orongo stanowiła ośrodek kultu człowieka-ptaka. Indy wypytywał tubylców, czy zachowali się jeszcze jacyś wyznawcy kultu, mając nadzieję, że mogliby dopomóc mu w odczytaniu *rongo-rongo*. Wyspiarze w odpowiedzi obdarzali go jedynie spojrzeniami bez wyrazu lub czasem śmieli się z niego.

– Jazda, staruszku - wsunął stopę w strzemię. Nim zdołał wspiąć się na siodło, zza skały wyskoczył jakiś człowiek, szarpnął go za torbę i zrzucił.

Zobaczył błysk noża, odchylił się na bok: ostrze wbiło się w ziemię tuż obok jego szyi. Napastnik wyszarpnął je i uderzył znowu. Tym razem Indy złapał go za przedramię, mocowali się i obracali wokół siebie jak tancerze, zbliżając się coraz bardziej do przepaści.

Indy spojrzał mężczyźnie w twarz i ujrzał na niej wyraz lęku. To był tylko dzieciak, mógł mieć jakieś szesnaście lat. i Był drobniejszy niż Indy i słabszy od niego. Nóż upadł na ziemię, chłopak zatoczył się i zachwiał na samym skraju Urwiska. Jeszcze sekunda i roztrzaskałby się o skały na dole. Indy złapał go za ramiona i przycisnął do siebie. Uniósł go do góry, napastnik ledwo dotykał stopami podłoża.

– No dobra, o co chodzi, kim jesteś?

Dzieciak potrząsnął głową, wciąż nie mógł złapać tchu. Spoglądał nerwowo na wszystkie strony, jakby szukał drogi ucieczki. Indy postawił go na ziemi i rozluźnił uchwyt. To był błąd. Chłopak wymierzył mu kolanem potężne kopnięcie między nogi, wyrwał się i popędził w stronę konia.

– Nie rób tego! - Indy skulił się z bólu, ale zdołał sięgnąć do torby i wyszarpnąć bat. Nosił go ze sobą dla zabawy, przynosił mu szczęście, a w razie potrzeby służył jako broń.

Tym razem jednak bat nie pomógł mu, upadł na ziemię, wzbijając tuman kurzu i nie czyniąc najmniejszej krzywdy napastnikowi, który odjechał w pełnym galopie.

– Starzeję się...

Zwijając bat, spostrzegł nóż leżący na ziemi. Podniósł go i przyjrzał mu się dokładnie.

– No, no... co masz mi do powiedzenia?

Drewniana rękojeść noża miała kształt pół człowieka, pół ptaka trzymającego jajko. Być może kult człowieka-ptaka jeszcze niecałkowicie zaginął.

2.

PRZEWRÓCONY MOAI

– Indy, gdzie się podziewałeś? Spóźniłeś się na kolację.

– Dobry wieczór - Indy skierował się w stronę stołu, przy którym Marcus Brody i kilku innych członków ekspedycji spożywało wieczorny posiłek. - Zostałem trochę dłużej na szczycie.

W tym momencie podszedł do niego jakiś chłopak. Indy przez chwilę myślał, że to ten sam, który zaatakował go na górze. Podsunął mu pod nos drewnianą figurkę. Miała ludzką twarz o dużym haczykowatym nosie, wystających kościach policzkowych i wklęsłych policzkach. Zwracały uwagę wyraźnie zarysowane żebra i kręgosłup oraz sięgające kolan ręce i. penis.

– Chce pan kupić, *Mister*?

Indy przyjrzał się ręcznie rzeźbionemu demonowi zwanemu *Moai kavakava*. Zorientował się też, że to nie był chłopak, który go zaatakował.

– Nie, dziękuję. Mam już takiego.

– Idź sobie. Daj nam spokojnie zjeść - powiedział archeolog nazwiskiem Howard Maxwell. - Nieznośny dzieciak.

– Już tacy oni są - skomentował Indy.

– I co, znalazłeś coś, Jones? - spytał Maxwell, krępy mężczyzna o spłaszczonym nosie i ulizanych włosach przedzielonych pośrodku równym przedziałkiem. - Wiesz, że w przyszłym tygodniu wyjeżdżamy.

– Nie musisz mu tego mówić - powiedział Brody. - Jesteś równie nieznośny jak te chłopaki, które usiłują coś sprzedać.

– Nic nie szkodzi - odrzekł Indy. Brody był Anglikiem mieszkającym w Stanach od wielu lat i starym przyjacielem rodziny Indy'ego, właściwie zastępował mu ojca. - Prawdę mówiąc, znalazłem coś dziś wieczorem.

Twarz Brody'ego ożywiła się.

– Co takiego?

Kelnerka podała Indy'emu kieliszek chilijskiego wina.

– Łopatę. Była zakopana na głębokości trzech stóp.

Brody się zamyślił.

– No cóż, przypuszczam, że może to oznaczać, iż ktoś już tam kopał...

Wszyscy się roześmieli.

– Szukajcie, a znajdziecie! - wykrzyknął Maxwell kpiącym tonem, nie skrywając złośliwej satysfakcji. Był o parę lat starszy od Indy'ego. Już od momentu poznania Maxwella Indy czuł, że nie cieszy się jego sympatią, może dlatego, że został mu przedstawiony jako jeden z najbardziej obiecujących młodych archeologów.

Postanowił, że nie opowie o wydarzeniu na szczycie wulkanu. Może później wtajemniczy tylko Brody'ego. Nie chciał wyjść na kogoś, kto opowiada o sobie niestworzone historie, a poza tym pragnął się przekonać, czy któryś z wyspiarzy pomagających im miał wobec nich, lub niego, jakieś ukryte zamiary.

Po starciu na szczycie zaczął schodzić pewien, że będzie musiał iść na piechotę aż do Hanga-roa, gdzie znajdowała się ich kwatera główna. W prostej linii nie było to bardzo daleko, ale droga wiodąca ze szczytu wulkanu była kręta i wydawało mu się, że idzie już bardzo długo. Jakieś pół mili od Orongo natknął się na swojego konia. Po śladach się zorientował, że chłopak, który go zaatakował, przesiadł się na innego wierzchowca.

– Ciekawe, czy ta łopata pochodzi ze wschodu, czy też zachodu - odezwał się jeden z biesiadników.

– O, do licha - rzekł Brody - znowu się zaczyna.

Był to temat nie kończących się dyskusji między członkami ekspedycji. Chodziło o to, czy pierwotni mieszkańcy wyspy przybyli z zachodu, czyli z Polinezji, czy też ze wschodu, czyli z Ameryki Południowej. Większość była przekonana, że ludność wyspy przybyła z innych wysp Polinezji. Jednak Maxwell upierał się, że ogromne *moai* stojące na brzegach wyspy, musiały być dziełem tych samych Indian z Ameryki Południowej, którzy wybudowali ogromne kamienne miasta na kontynencie.

– Co o tym myślisz, Jones? - spytał Maxwell. - Mógłbyś wreszcie powiedzieć coś na ten temat.

Indy wzruszył ramionami.

– Nie uwzględniacie wszystkich możliwości. Słyszałem już o poglądach głoszących, że pierwotni mieszkańcy wyspy przybyli z Egiptu, Grecji, Indii... Mówiono też, że byli nimi rudowłosi mieszkańcy Kaukazu, którzy trafili tu z północnej Afryki. Twierdzono także, że mogli to być mieszkańcy zatopionego kontynentu.

– Owszem, były takie teorie - potwierdził Brody.

– Nie wykręcaj się, Jones - żachnął się Maxwell. - Pytam poważnie.

– No dobrze, moim zdaniem obie strony mają rację. Wystarczy poznać legendy. Jest w nich mowa o dwóch grupach przybyłych na wyspę: Długie Uszy i Krótkie Uszy. Król Hotu Matua i jego poddani przywędrowali ze wschodu, a wódz Tuko Ihu wraz ze swym ludem z zachodu.

Maxwell machnął ręką.

– Przecież nie można wierzyć w te stare historie. Są strasznie zawikłane i mętne. Musimy trzymać się faktów.

– A skąd pan weźmie te fakty, Maxwell? Proszę mi o nich opowiedzieć - wtrącił Francuz o nazwisku Beaudroux.

– Mówiłem już wam setki razy. Są szczepy Indian peruwiańskich, których członkowie rozciągają sobie uszy. To były te same Długie Uszy, które wyrzeźbiły *moai*.

Beaudroux, wysoki i szczupły mężczyzna, zwrócił twarz o długim nosie w stronę Maxwella.

– Dobrze, ale czy ci Indianie mieszkają nad morzem? Nie. Czy potrafią konstruować łodzie mogące pływać po oceanie? Oczywiście, że nie.

– Przypuszczam, że Indianie żyjący dwa tysiące lat temu mieli nieco inne pojęcie o statkach pływających po oceanie - ciągnął Maxwell.

I tak dyskusja rozpoczęta parę tygodni wcześniej ciągnęła się dalej, a Indy zajął się pieczenią z jagnięcia.

Pomimo kłopotów, jakie sprawiały mu tabliczki, Indy raczej był zadowolony z tego, że wypadło mu pracować w samotności. Jego koledzy prowadzili wykopaliska na kamiennych platformach, na których wznosiły się *moai*. Ściślej mówiąc, pracą tą zajmowali się wszyscy jego koledzy poza Brodym, który bezustannie prowadził pertraktacje z gubernatorem wyspy. Chodziło o to, żeby przekonać go, że badacze przybyli tu w celu zdobycia wiedzy, a nie po to, by wywieźć cenne znaleziska do Ameryki. Najbardziej irytujące dla Brody'ego było to, że wyspiarze bezustannie próbowali sprzedać mu jakieś rzeczy, najczęściej repliki oryginalnych zabytków, tak jak ten *moai kavakava*, którego przed chwilą chłopak próbował wcisnąć Jonesowi.

– Być może Indy ma rację - wtrącił Brody, kiedy uczestnicy dyskusji zaczęli popadać w coraz większe zacietrzewienie. - Być może nie ma prostej odpowiedzi na to pytanie. Tak samo jest z nazwą wyspy. Niektórzy nazywają ją Wyspą Wielkanocną, inni Isla de Pascua. Wyspiarze nazywają tę wyspę Rapa Nui a także Tepito Te Henua - Pępek Świata.

– Nazywamy ją również Nata Ki Te Rangi, co oznacza Oczy Patrzące w Niebo.

Spojrzenia wszystkich skierowały się w stronę przystojnej, ciemnowłosej kobiety.

– To ładna nazwa - powiedział Brody. - Davino, pozwól, że przedstawię ci Indy'ego. Pracuje na górze, w Orongo.

Podała mu rękę. Miała charakterystyczne polinezyjskie rysy, ciemną skórę i długie, rozpuszczone włosy. Mogła mieć trzydzieści czy czterdzieści lat. Nie potrafił określić tego dokładnie. Jego spojrzenie przez chwilę spotkało się z jej ciemnymi oczami. Uścisk ręki był mocny, dłoń chłodna.

– Davina kończy studia na uniwersytecie w Santiago. Jest także kustoszem tutejszego muzeum.

– Już wiem - powiedział Indy - to ta pani, której nie było.

– Dopiero wczoraj przyjechałam z kontynentu.

– No cóż, proszę siąść i przyłączyć się do nas - powiedział Brody, odsuwając krzesło.

– Nie, dziękuję. Chciałam tylko powiedzieć panu, że gubernator znalazł kilku ludzi, którzy pomogą wam postawić *moai*.

– Ale czy potrafią to zrobić? - spytał Brody.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

– Mają swoje sposoby.

Gubernator wyraził zgodę na to, żeby Brody zorganizował grupę archeologów i prowadził wykopaliska, o ile zdołają postawić choćby jedno z przewróconych *moai*. Brody zgodził się niemal machinalnie, nie zastanawiając się ani przez chwilę, w jaki sposób zdołają postawić dwudziestotonowy blok skalny bez żadnego sprzętu. Ponieważ nikt inny również nie miał pomysłu, jak to zrobić, Brody odłożył sprawę na później. Kiedy gubernator zaczął się dopytywać, dlaczego tak długo zwlekają, Brody wyznał mu, że nie wie, jak się za to zabrać i poprosił o radę.

– No cóż, to znakomicie. Kiedy zaczną?

– Jutro z samego rana - powiedziała.

– Będziemy tam.

– To dobrze. Miło mi było pana poznać, doktorze Jones - powiedziała do Indy'ego.

– Proszę mówić do mnie Indy. A jeśli mowa o imionach, to dlaczego wyspę nazwano Oczami Patrzącymi w Niebo?

– Z powodu *moai*. Niegdyś miały wielkie oczy wpatrujące się w niebo. - Odwróciła się i wyszła.

– Indy, zajrzysz do nas jutro, prawda? - spytał Brody. - Jestem pewien, że możesz nam się przydać.

– Z przyjemnością.

Indy rozmyślał o spotkaniu z Daviną. Miała na sobie naszyjnik, srebrny wisior w kształcie stworzenia, które było pół człowiekiem, pół ptakiem, a w tylnych kończynach ściskało jajko.

Zgodnie z ustnie przekazywaną tradycją wyspiarzy. Krótkie Uszy zbuntowały się ongiś przeciwko Długim Uszom, które rządziły wyspą. Podczas wojny domowej liczne *moai* zostały uszkodzone. Zniszczenia były najbardziej widoczne na południowym wybrzeżu wyspy.

Indy doliczył się co najmniej dwunastu upadłych głów po drodze do bloku skalnego, który mieli ustawić w pozycji pionowej. Na czele wozów i jeźdźców podążał gubernator, który dumnie rozpierał się w czarnym i lśniącym fordzie. Był to jedyny samochód na wyspie. Gubernator ochrzcił go imieniem Calvin. Brody prowadził samochód, gubernator siedział obok niego, a Indy, Maxwell i Beaudroux siedzieli z tyłu.

– Z początku używałem Calvina tylko przy uroczystych okazjach - powiedział gubernator. - Teraz jednak jeżdżę nim zawsze i wszędzie.

– Dlaczego nazywa go pan Calvinem? - spytał Brody.

– Nadałem mu to imię. na cześć waszego prezydenta, Calvina Coolidge'a - gubernator uśmiechnął się szeroko.

– Nie widziałem tu zbyt wielu stacji benzynowych - zauważył Beaudroux.

– Nie ma ani jednej. Sprowadzam benzynę w baryłkach, z kontynentu.

– Co za głupia uwaga - mruknął Maxwell. - Oczywiście, że nie ma tu ani jednej stacji benzynowej.

– Jestem pewien, że co do głupich uwag, to pan jest ekspertem - odparł Beaudroux gniewnie.

Indy, ściśnięty między dwoma archeologami, nie mógł się doczekać, aż przybędą do celu. Jego życzenie wkrótce zostało spełnione; zza zakrętu wyłoniła się platforma, na której spoczywał kolejny przewrócony *moai*.

– Jesteśmy na miejscu. To ten - powiedział gubernator.

Wyszli z samochodu, Indy podszedł do kamiennej rzeźby. Nie bardzo wiedział, na jakiej podstawie gubernator wybrał właśnie ten okaz. Z pewnością nie chodziło tu o jego rozmiary. Nie był ani najmniejszy, ani największy z tych, które oglądał.

Z wozów i z końskich grzbietów zeskoczyło około dwudziestu wyspiarzy. Indy rozglądał się dookoła, szukał Daviny. Miał przy sobie ozdobny nóż, który zabrał napastnikowi w Orongo, i ciekaw był, jak zareaguje na widok rzeźbionej rękojeści.

– I co o tym sądzisz, Indy? - spytał Brody, gdy wdrapali się już na szczyt platformy.

Moai miało około dwudziestu pięciu stóp długości, samo jego ucho miało prawie siedem stóp.

– Ciekawe, w jaki sposób zamierzają go podnieść. Może po prostu obudzą go i sam wstanie.

Brody zachichotał.

– To by było całkiem niezłe. Pasowałoby do legendy.

Zgodnie z tradycją *moai* trafiły z kamieniołomów na swe miejsce przeznaczenia, przywiedzione przez potężnych kapłanów.

Indy obejrzał platformę.

– Czy tę platformę odkopano?

Brody skinął głową.

– Tak. Zrobiła to brytyjska ekspedycja jakieś dziesięć lat temu. Mamy w muzeum trochę kości i parę kamiennych figurek pochodzących właśnie stąd

- przerwał na chwilę i dodał; - miejmy nadzieję, że bogowie nie mają nam tego za złe.

Indy się roześmiał.

– Wiesz co, Marcus, właściwie wydaje mi się, że ty wierzysz w duchy i w bogów.

Brody się uśmiechnął.

– Zabierzmy się do roboty.

Wyspiarze uwijali się, znosząc kamienie i układając je w stosy po obu stronach *moai*. Kilku mężczyzn z długimi drągami w rękach podeszło do posągu. Wetknęli je pod gigantyczną głowę. Drągi wygięły się niebezpiecznie, gdy po kilku ludzi uwiesiło się na nich całym ciężarem dała. Wyglądało na to, że mogą się złamać w każdej chwili, ale jednak wytrzymały. Pozostali mężczyźni położyli się na ziemi i zaczęli wpychać kamyki pod rzeźbę.

A więc to był ich sposób. Prawdopodobnie praca potrwa kilka dni, ale wszystko wskazywało na to, że jest to metoda skuteczna. Indy spostrzegł już wcześniej, że wokół kamiennych platform znajdowało się zadziwiająco wiele drobnych kamieni. Zastanawiał się teraz, czy zgromadzono je tam setki lat temu po to, aby ustawić posągi.

Davina podjechała do platformy, zsiadła z konia i weszła na górę. Indy podszedł do niej natychmiast.

– Niewiele to ma wspólnego z magią, prawda?

– Być może w dawnych czasach wcale nie robiono tego w ten sposób - powiedziała.

– To znaczy w dawnych dobrych czasach? - roześmiał się Indy.

– Jeśli chodzi o Rapa Nui dawne czasy rzeczywiście były lepsze niż te, które nastąpiły potem. Ostatnie sto lat okazało się straszne dla wyspy. Straciliśmy wszystko, straciliśmy nawet naszą historię. Ta wyspa nie jest już środkiem świata, stała się końcem świata.

Zaskoczyło go jej wzburzenie, nie wyglądała na kogoś, kogo cokolwiek może wyprowadzić z równowagi.

– A więc dlaczego tu jesteś?

Zebrała garść kamieni, które położyła teraz na ziemi.

– To jest mój dom, a ja pragnę chronić naszą przeszłość.

– Przecież mówiłaś, że straciliście tę przeszłość.

Davina odgarnęła ciemne włosy z twarzy.

– Nie wszystko przepadło, ale są ludzie, którzy chcieliby ukraść wszystko, co pozostało.

– Myślisz, że po to właśnie tutaj przyjechałem?

Pochyliła się, żeby dalej zbierać kamienie.

– Nie jestem pewna, co mam o. tobie myśleć. Nie wiem jeszcze.

Indy wyciągnął z kieszeni nóż z wizerunkiem człowieka-ptaka i pokazał go jej.

– Popatrz. Myślę, że to cię może zainteresować. Podobny motyw jak na twoim naszyjniku.

Wpatrywała się w nóż z wyrazem osłupienia na twarzy. Wyciągnęła rękę, odwróciła się tyłem do platformy, obracając nóż w dłoniach.

– Skąd to masz?

Indy miał zamiar opowiedzieć jej, co się zdarzyło na szczycie wulkanu, ale coś w jej wyrazie twarzy sprawiło, że zmienił zdanie.

– Znalazłem go w Orongo.

– Ten nóż należy do mojego syna, Manuela. Nie widziałam go od sześciu miesięcy. Wróciłam do domu i wygląda na to, że nikt nie wie, co się z nim dzieje.

Postąpiła krok do tyłu, wciąż wpatrywała się w nóż.

– Muszę już iść.

Podbiegła do konia, wskoczyła na jego grzbiet i odjechała galopem.

Mniej więcej po godzinie gubernator zarządził przerwę. Indy zszedł z platformy i ku swojemu zaskoczeniu spostrzegł, że czubek głowy *moai* uniósł się już o kilkadziesiąt cali.

– Zadziwiające. Prawda, Indy? - powiedział Brody. - Musieli ustawiać je w ten właśnie sposób.

– Tak, pewnie tak - wskazał palcem na zaokrąglony głaz leżący kilkanaście stóp dalej. - Ale w jaki sposób wkładali im kapelusz na głowy? Przecież to też musi być bardzo ciężkie.

Brody dotknął palcem podbródka.

– Cóż, oto jest pytanie. Zobaczymy, co gubernator ma do powiedzenia w tej sprawie.

Kiedy szli w jego kierunku. Brody odkaszlnął:

– Posłuchaj, Indy, mam nadzieję, że nie zapomniałeś o Chiloe. Wciąż chcę pojechać tam, gdy tylko opuścimy wyspę i naprawdę mam nadzieję, że ty...

– Nie martw się, Marcus. Mówiłem przecież, że pojadę z tobą. Jak nazywał się ten twój przyjaciel?

– Beitelheimer. Hans Beitelheimer. Chciałem tylko upewnić się, że wszystko jest w porządku.

– I jak się, panom, to podoba? - gubernator podkręcił wąsa.

– Robi wrażenie - powiedział Indy.

– Tak, rzeczywiście - dodał Brody - ale co będzie z kapeluszem?

– Proszę się tym nie martwić. Na razie zostawimy go tam, gdzie jest - powiedział gubernator. - Prawdopodobnie podnoszono go w ten sam sposób, czyli wykorzystując kamyki.

Indy pomyślał, że trzeba było do tego bardzo wielu kamyków, ale nie odezwał się. W oddali dostrzegł powracającą Davinę. Kiedy zsiadła z konia, przeprosił rozmówców i podszedł do niej.

– Czy dowiedziała się pani czegoś o synu? - spytał.

Skinęła głową.

– Wszystko w porządku. Teraz już rozumiem. Manuel bał się ze mną spotkać właśnie z powodu tego, co się zdarzyło. Dziękuję, że nie zrobił mu pan krzywdy.

– Dlaczego mnie zaatakował?

– Teraz nie mogę panu wytłumaczyć. Czy możemy się spotkać na plaży Anakena dziś wieczorem?

– W jakim celu?

– Matuanie chcą z panem porozmawiać.

– Kto to są Matuanie?

– Tajne stowarzyszenie kultywujące dawne rytuały.

Indy starał się jak mógł, by nie dać po sobie poznać, jak bardzo był podekscytowany; wiedział już, że zbliża się przełomowy moment w jego badaniach.

– Myślałem, że nikt już nie pamięta o dawnych rytuałach.

– To, co z nich pozostało, otoczone jest tajemnicą, aby nikt nie mógł nam tego znowu skraść.

– Czego oni oczekują ode mnie?

– Przeszedł pan pomyślnie próbę, chcą z panem porozmawiać o tabliczkach *rongo-rongo*.

– Przyjdę na pewno.

– Niech pan się zjawi sam i proszę nikomu o tym nie mówić.

3.

MATUANIE

Kiedy Indy szedł wzdłuż plaży w kierunku migającego w dali światła ogniska, towarzyszyły mu gwiazdy lśniące na nieboskłonie i gwiazdy odbijające się w lekko falującej tafli wody. Anakena jest największą plażą na wyspie, jest to także legendarne miejsce, gdzie tysiąc pięćset lat temu wylądował Hotu Matua. Być może miała to być również plaża, na której wreszcie rozwiązana zostanie zagadka *rongo-rongo*.

Indy nie wiedział, co może go spotkać. Możliwe, że czekały go kłopoty, ale warto było zaryzykować. Nie powiedział Brody'emu, dokąd się wybiera, Marcus z pewnością uznałby to za zbyt niebezpieczne. Nie powstrzymywałby Indy'ego, ale niepokoiłby się, A tak prawdopodobnie leżał sobie spokojnie w łóżku z książką, co o tej porze było dla niego najodpowiedniejszym zajęciem.

Zbliżając się do ogniska, dostrzegł kilka postaci skupionych wokół niego. Nagle ujrzał pikującego ptaka i usłyszał jego krzyk, jakby zapowiadał, że już nadchodzi. Przez chwilę patrzył za nim, a potem niespokojnie nacisnął na głowę swój filcowy kapelusz i dotknął dłonią zwiniętego bata.

Kiedy Indy wszedł w krąg światła ogniska jeden z mężczyzn powiedział coś niezrozumiałego. Natychmiast kilka osób wstało i skryło się w ciemnościach. Co tu się dzieje? - pomyślał.

– Witaj, Indy.

Obrócił się na pięcie.

– Davina! Wyskoczyłaś jak spod ziemi!

Uśmiechnęła się.

– Uspokój się. Nikt nie ma wobec ciebie złych zamiarów.

Nie brzmiało to zbyt przekonująco.

– Gdzie oni wszyscy poszli?

– Są w drodze do jaskini.

Indy wiedział, że wyspa pokryta grubą warstwą lawy usiana jest jaskiniami. Niektóre z nich były w swoim czasie zamieszkane, inne prawdopodobnie służyły do celów rytualnych. Zwiedził kilka, powiedziano mu także, że poprzednie ekspedycje oraz wielu mieszkańców wyspy poszukiwało w nich okazów archeologicznych. Uznał więc, że Orongo - o którym powiadano, że zamieszkane jest przez duchy - będzie najlepszym miejscem na poszukiwanie tabliczek.

Z mroku wynurzył się brodaty mężczyzna o ciemnych oczach. Odblaski ognia na jego twarzy sprawiały, że wydawało się, iż jego rysy podrygują w jakimś dziwnym rytmie.

– To jest Raoul - powiedziała Davina. - To on właśnie otworzył przed tobą drzwi.

– Czy to na pana rozkaz syn Daviny próbował dźgnąć mnie nożem?

– Manuel jest także moim synem - powiedział Raoul. - Przechodził próbę, podobnie jak pan.

– Myślę, że było to dosyć niebezpieczne - mruknął Indy.

– Żaden z was nie miał umrzeć. I żaden z was nie umarł. Proszę mi teraz powiedzieć, dlaczego chce pan odczytać nasze tablice?

To się nazywa przejście do rzeczy.

– Żeby uczyć się z nich. Żeby ocalić i zachować wiedzę.

– To jest obowiązkiem Matuanów. Nie pana.

– Ale dlaczego przechowujecie tę wiedzę w tajemnicy?

– Były po temu powody. Zna pan naszą historię. Ale być może teraz nadszedł czas, żeby to zmienić. Makemake objawił nam w snach, że godny zaufania przybysz z zewnątrz musi otrzymać możliwość poznania *ko hau motu mo rongo-rongo*.

– To znaczy „linie pisane do recytacji" - objaśniła Davina.

Raoul poważnie skinął głową.

– Uważamy, że pan jest właśnie tą osobą.

Odwrócił się i pociął iść, oddalając się od ogniska w kierunku przeciwnym niż morze. Indy spojrzał na Davinę. Ruchem ręki dała mu znak, żeby poszedł za Raoulem.

Indy instynktownie wyczuwał, że Raoul mówił prawdę. Czul się jak ktoś, kto właśnie natrafił na skrzynię ze złotym skarbem. Miał tylko nadzieję, że nie będzie to złoto głupców.

Szli blisko pół godziny pomiędzy wzgórzami, w końcu zatrzymali się w pobliżu skalnego występu porośniętego gęstymi krzakami. Teraz z kolei Raoul wyglądał na zaniepokojonego. Wpatrywał się w ciemność za Indym.

– Czy ktoś szedł za panem?

– Przyszedłem sam, tak jak tego ode mnie żądano. Proszę mi zaufać.

– Czuję, że ktoś obserwuje nas z oddali. Jak pan przybył na plażę?

– Konno. Ostatni odcinek pokonałem pieszo.

Raoul się uśmiechnął.

– W takim razie to pana koń. Zastanawia się pewnie, co się z panem dzieje.

– Konie to mądre zwierzęta - powiedział Indy.

Raoul odsunął na bok gałąź i dał znak, żeby weszli.

Z początku Indy nie dostrzegł niczego, potem spostrzegł, że Davina zniknęła w ciemnościach. Na oślep podążył jej śladem. Jeżeli okłamali go, to tutaj wszystko się skończy. Jeden z tych, których widział przy ognisku, mógł w każdej chwili uderzyć go w głowę lub zastrzelić. Być może wykopali już nawet grób w jaskini i po prostu chcieli, żeby sam podszedł

do niego jak najbliżej. Odsunął jednak czarne myśli na bok; przed nim Raoul właśnie zapalił zapałkę, a od niej pochodnię. Znajdowali się wewnątrz tunelu, dość wąskiego, ale dostatecznie wysokiego, by mógł stać wyprostowany.

– Proszę trzymać się blisko mnie - powiedział Raoul - proszę nie odłączać się od nas.

– Nie mam najmniejszego zamiaru - odrzekł Indy. Właśnie minęli korytarz odchodzący w lewo, a potem następny w prawo. Tunel rozdwoił się znów, Raoul skierował się w prawo. Indy starał się zwracać uwagę na każdy zakręt i zapamiętać drogę.

Po chwili spostrzegł błysk światła dochodzący z pomieszczenia znajdującego się z boku korytarza. Pomyślał, że znaleźli się na miejscu. Weszli do prostokątnej komnaty długiej na jakieś trzydzieści stóp i mającej około piętnastu stóp szerokości. Sklepienie znajdowało się na wysokości co najmniej dwudziestu stóp. Stanęli pośrodku pomieszczenia. Dopiero po chwili spostrzegł postaci siedzące w mroku pod ścianami.

– Manuelu - powiedział Raoul.

Jedna z siedzących postaci natychmiast wyprostowała się i podeszła do nich. Indy rozpoznał chłopaka, z którym walczył w Orongo. Trzymał coś w obu rękach. To coś było przykryte kolorową tkaniną, na której widniał znany mu już dobrze motyw człowieka-ptaka.

– I oto znowu się spotykamy, kolego - Indy uśmiechnął się ironicznie.

Manuel spoglądał prosto w jego oczy. Jeżeli obawiał się go, to z pewnością tego nie okazywał.

Raoul uniósł tkaninę i oczom Indy'ego ukazał się stos zapisanych tabliczek, sześć albo siedem, w każdym razie więcej, niż dotąd poznali naukowcy.

– Czy są autentyczne? - spytał.

– Oczywiście, że tak - odpowiedziała Davina, - Będzie pan miał mnóstwo czasu, żeby je zbadać, ale pod jednym warunkiem: tylko pan i

nikt inny i tylko w obecności Matuanów.

Indy wyciągnął rękę do tabliczek i spostrzegł, jak rysy Manuela ściągają się.

– Wszystko w porządku - powiedziała Davina i kiwnęła dłonią w stronę Indy'ego. Ostrożnie wziął do ręki górną tabliczkę i położył ją na dłoni. Davina przyświecała mu pochodnią. Ujrzał płaski, drewniany kształt o zaokrąglonych krawędziach. Powierzchnia pokryta była rządkami starannie wyrzeźbionych symboli i *rongo-rongo*, były to te same stylizowane rośliny i ptaki, stworzenia czworonożne i dziwne postacie, których znaczenie od tak dawna próbował rozszyfrować.

– Ile macie tych tabliczek? - spytał.

– Sporo. Około dwustu - powiedział Raoul. - Wszystkie są dobrze ukryte.

– Dwieście?

– Skatalogowanie ich zajmie panu wiele miesięcy, być może lat - dodała Davina - a zrozumienie ich znaczenia jeszcze więcej. Ale my dopomożemy panu.

Indy kiwnął głową, chciało mu się śmiać, krzyczeć miał Ochotę poklepać Raoula po ramieniu. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

– Jest tylko jedno zastrzeżenie - powiedział Raoul.

Indy oddał tabliczkę Manuelowi. Wiedział, że to wszystko nie mogło być takie proste.

– Jakie?

– Jeszcze nie może pan zacząć pracy.

– Dlaczego nie?

– Nie chcemy, żeby ci ludzie z którymi pan tu przebywa, mieli cokolwiek wspólnego z tą sprawą. Będzie pan musiał zaczekać, aż odjadą.

– Rozumiem.

To była kwestia zaledwie kilku dni, więc mógł zaczekać. Naturalnie będzie musiał zostać na wyspie, ale takie odkrycie z pewnością

usprawiedliwi przedłużenie pobytu. Oczywiście jeśli nie będzie musiał wszystkiego zachować w tajemnicy.

– Przypuszczam, że będzie mi wolno opublikować wyniki moich badań po ich zakończeniu łub nawet w trakcie...

– Oczywiście - powiedziała Davina. - Żądamy jedynie dyskrecji co do tego, w jaki sposób zapoznał się pan z tabliczkami. Większość z nich musi pozostać w ukryciu, ale może pan sfotografować je wszystkie.

To było tak bardzo po jego myśli, że aż niewiarygodne. Po chwili coś innego przyszło mu do głowy:

– Dlaczego pani nie zrobiła tego osobiście? - spytał Davinę. - Pani nadawałaby się do tęgo znakomicie. Nie tylko dlatego, że pochodzi pani z wyspy. Przecież odebrała pani również wykształcenie na kontynencie.

Potrząsnęła głową.

– Ja również należę do stowarzyszenia Matuanów, podobnie jak Raoul i Manuel. Tabliczki *rongo-rongo* są dla nas święte. Nie mogłabym użyć ich do celów naukowych - zerknęła na męża. - Rozumiemy jednak, że nadszedł czas, by świat się dowiedział, kim jesteśmy i skąd przyszliśmy.

– I czeka pana niespodzianka - powiedział Raoul - może pan być pewien.

– Ale w jakim celu robicie to wszystko?

– Kiedy ludzie dowiedzą się o pana odkryciu, wielu z nich będzie chciało tu przyjechać. Rapa Nui potrzebuje odwiedzających, ludzi, którzy przyjadą tutaj na takich warunkach, jakie my określimy i będą szanować nas i podziwiać naszą wyspę. Uważamy, że dzięki temu otworzą się przed nami znakomite widoki na przyszłość. Jesteśmy biednym ludem i pewnie nie najlepiej umiemy przyjmować gości, ale nauczymy się tego i odniesiemy sukces.

A więc to tak. Indy'emu wydawało się, że było to dość śmiałe zamierzenie, ale z drugiej strony konstruowano coraz większe i szybsze samoloty, coraz więcej ludzi latało nimi dla przyjemności. Jeśli nawet

Wyspa Wielkanocna nigdy już nie stanie się pępkiem świata, to pewnego dnia będzie można do niej dolecieć z kontynentu południowoamerykańskiego w ciągu kilku godzin.

– To brzmi całkiem sensownie...

– A więc przedłuży pan swój pobyt na wyspie? - spytała.

– Muszę porozmawiać z Marcusem Brodym. Przypuszczam jednak, że nie będzie z tym większych problemów.

Kiedy parę minut później wychodzili na zewnątrz, odetchnął z rozkoszą chłodnym, nocnym powietrzem.. To niewiarygodne! Po prostu nieprawdopodobne! Uniósł wzrok na rozgwieżdżone niebo i uśmiechnął się szeroko.

– Dziękuję d, Makemake - wyszeptał.

Postawienie w pozycji pionowej jednej z kamiennych głów wyraźnie podniosło wyspiarzy na duchu, wszyscy chcieli przyglądać się temu i brać w tym udział. Praca trwała przez całą dobę. Gubernator, Davina, Beaudroux Maxwell zmieniali się co sześć godzin, by nadzorować pracujących. Rzeźba stała już pod kątem sześćdziesięciu stopni i z każdą godziną przesuwała się o parę centymetrów; wyspiarze ani na chwilę nie przerywali pracy, wciąż napierając na drewniane dźwignie i podsypując kamyki. Archeologowie mieli opuścić wyspę już za dwa dni, ale wszyscy byli pewni, że do tej pory rzeźba stanie we właściwej pozycji.

Dyżur objął Maxwell. Krążył wokół rzeźby, wykrzykując polecenia i machając rękami. Tego ranka przy śniadaniu Maxwell bawił się okrągłym kamykiem jak talizmanem i rozwijał teorię - którą miał zamiar opublikować - dotyczącą tego, w jaki sposób dawni mieszkańcy wyspy transportowali i ustawiali *moai*. Był przekonany, że wyrzeźbione bloki skalne umieszczano na deskach i przetaczano za pomocą okrągłych kamieni. Indy co prawda podsłuchał, jak podobnymi poglądami dzielił się z Maxwellem gubernator, ale archeolog twierdził, że jest to jego własne odkrycie. Beaudroux

natomiast oświadczył, że Maxwell może uznać tę teorię za własną, ponieważ jest fałszywa. Oczywiście rozpętała się kłótnia.

– Można powiedzieć, że przeżywa swoje chwile chwały - zauważył Indy, kiedy wraz z Brodym zeszli z zatłoczonej platformy *ahu*.

Brody nie słuchał go.

– A więc widziałeś setki tabliczek *rongo-rongo* i nic mi o tym nie powiedziałeś?

Indy potrząsnął głową.

– Po pierwsze, widziałem tylko kilka, a po drugie; właśnie ci o tym mówię. Na oko wyglądały na autentyczne.

– To oszałamiające. I mówisz, że oni potrafią je odczytywać?

– Tak twierdzą.

– Więc dlaczego nie znajdujesz się teraz w jaskini i nie pracujesz razem z tymi Matunami?

– Matuanami - poprawił go Indy i pokrótce wyjaśnił, dlaczego musi zaczekać.

– No cóż, powinieneś tu zostać i zbadać tę sprawę dogłębnie. Jestem przekonany, że bez trudu dostaniesz urlop na semestr, a może nawet na rok. W końcu jesteś o krok od poznania tajemnicy Wyspy Wielkanocnej. Być może uda ci się położyć kres wszystkim spekulacjom dotyczącym pochodzenia wyspiarzy i znaczenia *moai* - rzucił okiem na Maxwella i dodał konspiracyjnym szeptem:

– Być może wyjaśnisz także, w jaki sposób je transportowali.

Jeden z drągów pękł pod ciężarem i został natychmiast zastąpiony innym, a robotnicy nie przerywali pracy ani na chwilę.

– Mam nadzieję, że przynajmniej uda mi się odczytać pismo. Być może dowiemy się czegoś o historii wyspy, ale to nie jest pewne.

W oku Brody'ego błyskała iskierka złośliwości.

– Maxwell po prostu się wścieknie, gdy się dowie, jakiego odkrycia dokonałeś tuż pod jego nosem.

– Szczerze mówiąc, to on mnie mało obchodzi. Zastanawiam się jednak, co będzie z naszymi planami wyjazdu na Chiloe.

– O do licha - Brody dotknął palcem podbródka i zmarszczył brwi. - Kompletnie o tym zapomniałem. To jest rzeczywiście problem. Miałem nadzieję, że pojedziesz tam razem ze mną.

Indy przyglądał się Maxwellowi biegającemu gorączkowo wokół *moai*, by więcej ludzi uwiesiło się na drągach. Myślał o tym, jak bardzo nie chce zawieść Brody'ego, ale jednocześnie nie całkiem rozumiał, dlaczego dyrektor muzeum życzył sobie jego towarzystwa w wyprawie na wyspę.

– Opowiedz mi o tym swoim przyjacielu. Kto to taki?

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie mówiłem ci, iż Hans Beitelheimer poślubił córkę mojego bliskiego przyjaciela z czasów szkolnych?

– Nie, nie mówiłeś.

– Loraine była moją chrześniaczką. Zmarła jakiś czas temu, zginęła w wypadku - wyjaśnił Brody. - Poznała Hansa w Szwajcarii, oboje studiowali sztuki piękne. Byli małżeństwem przez sześć lat, a potem ona zginęła pogrzebana przez lawinę. Nigdy nie odnaleziono jej ciała. Hansowi wydawało się, że nie potrafi żyć bez niej, ale zdołał się wziąć w garść i postanowił wyjechać na koniec świata. W ten sposób znalazł się na Chiloe.

Indy pomyślał, że równie dobrze Beitelheimer mógłby przyjechać na Wyspę Wielkanocną. To też był koniec świata.

– I ciągłe tam jest?

– No cóż, oto jest pytanie. Utrzymywałem z nim kontakt przez te lata, ale ograniczał się on zazwyczaj do jednego lub dwóch listów rocznie. Wiele razy obiecywałem mu, że złożę mu wizytę. Tymczasem jakieś dwa miesiące temu, zaraz przed naszym wyjazdem z Nowego Jorku, dostałem od niego dość niezwykłą wiadomość. Napisał, że potrzebuje mojej pomocy.

– Jakiego rodzaju pomocy?

– To właśnie jest dziwne. Użył sformułowania, że został "schwytany w sidła legendy" i nie wie, czy wyjdzie z tego żywy.

– Cóż to ma znaczyć?

Brody wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Myślałem jednak, że może zechcesz zainteresować się tą sprawą razem ze mną. Napisałem do niego, że niedługo wyjeżdżam z Wyspy Wielkanocnej i że odwiedzę go, kiedy tylko będę mógł.

– Wiesz co, Marcus? Porozmawiam z Daviną i powiem jej, że na parę tygodni muszę udać się na kontynent i wrócę, jak wszystko załatwię.

Brody się zaniepokoił.

– Myślisz, że Matuanie nie będą mieli nic przeciwko temu? Nie chcę ci przysporzyć kłopotów.

Indy pokręcił głową.

– Nie wygląda na to, żeby jakoś szczególnie śpieszyli się z udostępnianiem mi tabliczek. Przypuszczam, że nie będą mieli nic przeciwko temu.

– To świetnie, Indy. Znajdziemy Hansa na Chiloe i rozejrzymy się tam. Jeżeli to jakiś drobiazg, to nie spędzisz tam więcej niż parę dni i zaraz wrócisz tutaj. Ja natomiast zajmę się wszystkimi formalnościami i tak dalej, ty nie będziesz musiał się o nie troszczyć.

Indy się uśmiechnął.

– Umowa stoi.

4.

W SIDŁACH LEGENDY

Wyspa Chiloe, czerwiec 1929

W Nowej Anglii rozpoczynało się lato, ale na południowym krańcu kontynentu latynoamerykańskiego trwała zima. W Santiago było dość ciepło, ale w tej chwili znajdowali się o kilkaset mil na południe od stolicy Chile i kaprysy pogody wyraźnie dawały im się we znaki.

Indy zapiął pod samą szyję skórzaną kurtkę i nacisnął kapelusz na oczy, aby osłonić się od lodowatego podmuchu wiatru. Kiedy wraz z Brodym stanęli na głównym molu w porcie Ancud, słońce zbliżało się do horyzontu, ozdabiając powierzchnię morza pomarańczowymi rozbłyskami światła.

Rybacy opróżniali swe łodzie ze świeżo schwytanej zdobyczy. Chiloe znaczy dosłownie „wyspa mew morskich" i rzeczywiście setki mew krążyły wokół, wydając piskliwe dźwięki, nurkując w lodowatej wodzie.

Indy i Brody spędzili siedemnaście godzin w pociągu z Santiago do Puerto Montt, gdzie kończyła się linia kolejowa. Stamtąd powozem dostali się do portu i promem do Chiloe. Wyspa ma około stu siedemdziesięciu pięciu mil długości i trzydziestu pięciu szerokości. Największe dwa miasta to Ancud i Castro, ponadto znajduje się tam mnóstwo małych wiosek rybackich. Na Chiloe uprawia się ziemniaki i pszenicę, ale większość terytorium wyspy jest porośnięta lasem.

– Pan wybaczy, sir - powiedział Brody, zaczepiając jednego z rybaków - czy zna pan takiego człowieka, artystę, nazywa się Hans Beitelheimer,

mieszka tutaj?

Siwowłosy mężczyzna podniósł wzrok, przyglądał mu się przez dłuższą chwilę i potrząsnął przecząco głową.

– To dziwne - powiedział półgłosem Brody, kiedy szli w stronę miasta. - Beitelheimer z pewnością mieszał tutaj. Przecież nie pisałem listów do jakiegoś ducha, na litość boską, poza tym stąd nadał telegram.

Przede wszystkim udali się na pocztę, ale tam się dowiedzieli, że adresat nazwiskiem Beitelheimer jest nieznany, nikt nigdy nie słyszał takiego nazwiska.

– Mówiłeś, że pisywał do ciebie listy? - spytał Indy.

Brody uważnie wymijał łososie rozłożone na drewnianym pomoście.

– Właściwie, jak się nad tym zastanowić, to od dwóch czy trzech lat nie dostawałem od niego żadnych listów.

Indy spoglądał na krążące stadko mew.

– Ale ty pisałeś do niego cały czas?

– No tak, wysyłałem co roku życzenia na Boże Narodzenie. Chyba nie zdawałem sobie sprawy z tego, że tak długo nie miałem od niego żadnych wieści. Ale potem otrzymałem telegram.

– Może trzeba było tu przyjechać wcześniej?

– Być może. Musisz jednak zrozumieć, że Hans to dość szczególny człowiek, zawsze miał pewną skłonność do przesady i dramatyzowania.

Indy pomyślał, że przeprowadzka na Chiloe była dobitnym przykładem powyższych właściwości umysłu Beitelheimera.

Brody zajrzał do cebrzyka stojącego na nabrzeżu i skrzywił się.

– O, do diabła, czy to się je?

Rybak siedzący w pobliskiej łódce zaśmiał się i odpowiedział po angielsku z silnym akcentem hiszpańskim:

– Oczywiście. Pan spróbuje. Polubi pan.

Zanim Brody zdążył powiedzieć cokolwiek, rybak sięgnął do cebrzyka, wyciągnął z niego czarnego i kolczastego jeżowca i położył na desce.

Kilkoma pewnymi cięciami noża pozbawił go ostrych kolców, przedął na pół; oczom ich ukazała się galaretowata substancja. Potem wyjął z kieszeni cytrynę, rozdął ją i wycisnął sok na połówki jeżowca. Jedną część podał Brody'emu a drugą Indy'emu.

Brody skrzywił się znowu.

– Co ja mam z tym zrobić?

Rybak wykonał nieokreślony gest ręką.

– Zjeść. Proszę popatrzeć na kolegę.

Indy przełknął jeżowca.

– Spróbuj, Marcus. Jest całkiem niezły.

Brody zawahał się, wziął ostrożnie do ręki cząstkę jeżowca, tak jakby trzymał w dłoni szklankę z cienkiego szkła. Odchrząknął i przyłożył do ust.

– Tak, całkiem smaczne, że tak powiem...

– Wygląda na to, że dzisiaj połów się udał - powiedział Indy do rybaka.

Siwowłosy mężczyzna skierował w jego stronę twarz.

– Czasami cała przystań jest zawalona rybami. Czasami nie. Jest tu taka historia - wskazał palcem na morze. - Powiadają, że jeśli się zobaczy syrenę nad ranem, to można przewidzieć, czy to będzie dobry dzień na morzu, czy zły, Zależy to od tego, w którą stronę ona patrzy. Jeżeli na brzeg, to będzie dobry dzień. Jeśli na morze, to już nie taki dobry.

– Widział pan kiedyś syrenę? - spytał Indy.

Mężczyzna pochylił się i zajął poprawianiem cumy.

– Dużo rzeczy widziałem, ale nie opowiadam o nich.

Skierował się do kajuty. Brody zawołał za nim:

– Chwileczkę! Czy zna pan człowieka nazwiskiem Hans Beitelheimer? Wysoki blondyn, artysta. Maluje obrazy.

Rybak odwrócił się w drzwiach kajuty.

– Nie znam takiego nazwiska, ale mieszkał tu człowiek, który był malarzem i tak właśnie wyglądał. Kiedy mówił, zauważało się, że jest cudzoziemcem.

– Wie pan, gdzie możemy go znaleźć?

– Już od jakiś trzech lat go tu nie ma.

– Wyjechał? Dokąd? - spytał Indy.

Rybak z wolna pokręcił głową.

– A kto może coś wiedzieć? - nalegał Indy.

– Pomówcie z Jorge. To właściciel Caleuche, restauracji - wskazał ręką uliczkę pnącą się w górę w kierunku głównej ulicy Ancud. - On znał tego człowieka. Ale ten człowiek nazywał się Juan, chyba Juan Barrios.

– To wyjaśnia sprawę - powiedział Indy, kiedy szli do miasta, torując sobie drogę pośród kupców i rybaków zgromadzonych w przystani. - Zmienił nazwisko.

– Możliwe - odpowiedział Brody - przynajmniej mamy jakiś ślad. Wkrótce dowiemy się, czy ten Juan i Hans to jedna i ta sama osoba. Niepokoi mnie tylko to, że go już tutaj nie ma.

– Może przeprowadził się do innej miejscowości - powiedział Indy, zastanawiając się, czy Brody będzie mu miał za złe, jeśli jutro wyjedzie do Santiago. Za trzy dni mógł wsiąść na statek płynący na Wyspę Wielkanocną.

Brody się uśmiechnął.

– Cóż, mam nadzieję. Ale jednak trochę się niepokoję. Swoją drogą jestem pewien, że nie myślisz o niczym innym niż o Wyspie Wielkanocnej i twoich tabliczkach *rongo-rongo*.

Indy wzruszył ramionami.

– Tabliczki nigdzie sobie nie pójdą, a Davina zapewniła mnie, że możemy zacząć pracę nad nimi, kiedy tylko wrócę.

– To niesamowita szansa - stwierdził Brody. - No, jesteśmy na miejscu.

Szyld nad frontonem budynku, w którym mieściła się restauracja, przedstawiał żaglowiec. Pod wizerunkiem widniała nazwa: Caleuche. Weszli do środka. Tylko jeden stół był zajęty, wokół niego siedziało ośmiu

czy dziewięciu mężczyzn. Wszyscy się odwrócili i zaczęli im się przyglądać.

– Chyba nie za często widują tu obcych - mruknął Brody.

– Zwłaszcza w zimie - Indy począł przyglądać się obrazowi wiszącemu nad ich stołem. Przedstawiał stary żaglowiec podobny do tego, który widniał na szyldzie, ale statek na obrazie wyglądał jak miraż, poprzez niego widoczne było tło znajdujące się z tyłu. Właśnie miał coś powiedzieć na ten temat, kiedy wąsaty mężczyzna w białym kitlu opiętym na pokaźnym brzuchu podszedł do nich, powitał i spytał, czym może służyć.

– Co moglibyśmy zjeść na obiad? - spytał Brody. - Wiem, że jest wcześnie, ale mamy za sobą daleką podróż z Santiago.

Kelner, Indy miał zresztą nadzieję, że był to zarazem. właściciel restauracji, machnął ręką.

– Nie ma sprawy. Proponuję owoce morza, to nasza specjalność o każdej porze dnia.

– Ja z chęcią zjem - powiedział Indy.

– I do tego butelkę najlepszego białego wina - dodał Brody.

– Wszystkie wina w Chile są bardzo dobre, ale podam panom moje ulubione. Jesteście panowie Anglikami?

– Pochodzę z Anglii, ale mieszkam w Nowym Jorku.

Jestem kustoszem muzeum, a mój przyjaciel jest Amerykaninem, z zawodu archeologiem.

– To interesujące - kelner skłonił się Indy'emu - pan wygrzebuje przeszłość, a pan układa ją na półkach.

– No cóż, w pewnym sensie tak - odparł Brody. - Pan jest właścicielem restauracji?

– Owszem. Pozwólcie panowie, że się przedstawię. Jestem Jorge Fernandez, do usług. Pozwólcie, że przyniosę wino, a potem, jeśli macie, panowie, jakiekolwiek pytania dotyczące Ancud albo samej wyspy, to z przyjemnością na nie odpowiem w miarę moich możliwości.

– Sympatyczny facet - powiedział Indy, kiedy Fernandez zostawił ich samych.

– Na to wygląda. Powiedziałem mu, kim jesteśmy, bo miałem nadzieję, że chętniej opowie o Hansie.

Indy wskazał ręką obraz.

– Podpisany jest inicjałami J.B., czyżby Juan Barrios?

– Bardzo prawdopodobne.

Fernandez pojawił się znowu, napełnił ich kieliszki winem.

– Przyglądaliśmy się temu obrazowi, bardzo interesujący - powiedział Brody lekkim tonem, kiedy już skosztowali wina i wyrazili swoje uznanie. - Może nam pan coś o nim powiedzieć?

Fernandez się roześmiał.

– Mogę powiedzieć o nim wszystko. To jest *Caleuche*. Okręt widmo. Wielu ludzi twierdzi, że go widziało.

– A dlaczego nazwał pan restauracje jego imieniem? - spytał Brody.

– Ponieważ ja również widziałem go kiedyś nocą.

Fernandez pochylił się w ich stronę nad stołem z tak melodramatycznym gestem, że Indy był pewien, iż odgrywał to przedstawienie już wielokrotnie.

– Było bardzo jasno, widziałem załogę i słyszałem dziwną muzykę. Widok tak przyciągał wzrok, że całym wysiłkiem woli musiałem się opanować. Myślałem jedynie o tym, by biec do wody i wpław płynąć do okrętu... Jednocześnie ogarniało mnie przerażenie.

– To fascynujące - przyznał Brody. - A kto namalował ten obraz?

Ożywienie Fernandeza znikło, jak ręką odjął. Wyprostował się.

– On już tu nie mieszka.

– Czy to Juan Barrios namalował ten obraz? - spytał Indy, kiedy właściciel restauracji miał zamiar odejść od ich stolika.

Twarz Fernandeza wyrażała najwyższy stopień podejrzliwości.

– Skąd znacie jego nazwisko?

– Jestem jego przyjacielem, właściwie nawet krewnym - powiedział Brody.

– Jak się nazywał naprawdę?

Brody powiedział mu.

Fernandez pokiwał głową.

– Bardzo niewielu ludzi na Chiloe znało go pod tym nazwiskiem. Zmienił je, żeby się nie wyróżniać.

– Co się z nim stało? - spytał Indy.

– Zajmę się obiadem dla panów, później porozmawiamy.

– Wygląda na to, że coś wie, nie uważasz? - zauważył Indy, kiedy Fernandez zniknął za drzwiami wiodącymi do kuchni.

– To samo właśnie chciałem powiedzieć - Brody rozglądał się po restauracji, szukając kolejnych śladów wiodących do rozwiązania zagadki. - Zawsze pociągały mnie tajemnicze historie.

– Mamy nawet okręt widmo - dodał Indy.

Podczas jedzenia *frutti di mare* w ziemniakach i szparagach Indy wciąż spoglądał na obraz przedstawiający *Caleuche*. Coś przeszkadzało mu w nim. Chyba chodziło o ptaki, z pewnością o ptaki. Kilkanaście niewielkich czarnych ptaków usadowiło się w pobliżu dzioba statku. Zastanawiał się nad tym, dlaczego od razu nie zauważył ich. Wyglądało to tak, jakby pojawiły się teraz, a przedtem w ogóle ich na obrazie nie było.

Kiedy skończyli jeść, Fernandez pojawił się znowu, niosąc wysoką butelkę pełną złocistego płynu. Postawił dwa kieliszki.

– To nasza specjalność, wyrabia się ją tutaj, w Ancud. *Liquido de oro*. Płynne złoto. Myślę, że będzie wam smakowało. Pozwólcie się poczęstować, panowie.

Nalał po trochu do obu kieliszków i przyglądał się reakcji gości na poczęstunek. Indy musiał szczerze przyznać, że specyfik był znakomity, a Brody zgodził się z nim bez wahania.

Fernandez rozpromienił się i znów napełnił kieliszki. Brody wskazał na wolne krzesło.

– Prosimy, panie Fernandez, może ma pan kilka minut czasu i zechce pan z nami pogawędzić.

Restaurator rozejrzał się dookoła i skinął głową.

– Jeszcze wcześnie. Z przyjemnością będę panom towarzyszył.

Usiadł i zaczął opowiadać o wyspie, o jej miastach, o swoich ulubionych restauracjach i o tym, co w każdej z nich należało zamawiać. Bez końca mógł rozwodzić się o owocach morza: soczystych kałamarnicach i świeżych krewetkach, morskich krabach, ślimakach i ogromnych małżach oraz najlepszych z tego wszystkiego homarach z San Fernandez. Poklepując się po rozłożystym brzuchu, namawiał ich, by spróbowali kukurydzanego ciasta zwanego *pastel de choclo* oraz *humitas*, przypominających meksykańskie *tamales*, ale inaczej przyprawione, oraz oczywiście *empanadas*, paszteciki nadziewane posiekanym mięsem, rybą, kurczakiem, cebulą, jajkami na twardo, winogronami i oliwkami. Kiedy przeszedł do win, Brody przerwał mu i spytał, czy Barrios często tu przychodził.

– Zanim wyjechał, to owszem. Siedział zazwyczaj właśnie przy tym stole, pod obrazem. Namalował zresztą wiele innych obrazów przedstawiających statek i różne inne dziwne rzeczy.

– Jakie dziwne rzeczy? - spytał Indy.

Fernandez uniósł palec do góry, pochylił się w ich stronę i wyszeptał:

– To ma coś wspólnego z ptakami.

– Słucham? - Indy rzucił okiem w stronę obrazu, żeby sprawdzić, czy czarne ptaki wciąż jeszcze znajdują się na nim.

– Istnieją czarownice, które potrafią zmienić się w ptaka.

Brody odkaszlnął.

– Niektórzy z moich kolegów w Stanach nazwaliby to bajeczkami dla dzieci...

– Proszę mówić dalej - zachęcił zaciekawiony Indy. - Co to ma wspólnego z Barriosem?

Drzwi frontowe otworzyły się, do środka weszło parę osób, a wraz z nimi wpadł chłodny podmuch wiatru.

– Muszę wracać do pracy, ale jeżeli chcecie, panowie, dowiedzieć się czegoś o Barriosie, to proszę zajrzeć tu znowu, kiedy będziemy zamykać. Zaproszę panów do domu, mam coś ciekawego do pokazania.

Okazało się, że Fernandez rzeczywiście miał coś do pokazania. Kiedy wychodzili z restauracji, zbliżała się północ; udali się do niewielkiego domku położonego na wzgórzu. Włączył gazowe światło. Oczom ich ukazały się ściany zawieszone obrazami. Każdy z nich podpisany był inicjałami J.B. i z wszystkich emanowała tajemnicza atmosfera grozy i niesamowitości. Na wielu z nich były ptaki, niektóre w towarzystwie kobiet latających na miotłach. Ot, zwykłe czarownice. Inne postaci to groźni mężczyźni w czerni, kuszące syreny spoczywające na skałach w zatoce i dziwaczne kobiety z jedną stroną twarzy zamalowaną na czarno.

– Mój Boże - mruknął Brody - przecież to on.

Brody wskazał na obraz przedstawiający człowieka o blond włosach i skórze tak jasnej, że żyłki na jego nosie były wyraźnie widoczne. Zmarszczki wokół jasnobłękitnych oczu wskazywały na to, że miał około sześćdziesiątki. Indy'ego uderzył przede wszystkim wyraz jego twarzy: wyglądał na umęczonego, przerażonego, Fernandez odkorkował butelkę wina. Rozlał trunek do kieliszków, usiedli przy drewnianym stole w jadalni.

– Mieszkańcy tej wyspy są przedsiębiorczy, ale sami przekonacie się, że odnoszą się nieufnie do obcych. Mają swoje powody.

– Czarownice? - spytał Indy.

Fernandez ruchem głowy wskazał jeden z obrazów przedstawiających *Caleuche*.

– Poniekąd. Chodzi o załogę statku.

– Zaraz, zaraz - przerwał Brody. - Chce pan powiedzieć, że czarownice przypływają na tym okręcie?

– Terroryzują wyspiarzy od stuleci. Tutejsi mieszkańcy bardzo wystrzegają się, by nie uczynić najmniejszej krzywdy jakiemukolwiek ptakowi. Legenda głosi, że jeśli komuś z załogi statku coś się stanie, to winowajca albo zginie, albo zostanie skazany na wieczyste żeglowanie na pokładzie statku jako niewolnik.

– Czy spotkał pan któregoś z nich? - spytał Indy.

– Być może, być może któryś z nich przelatywał nade jako kruk, być może jakiś obcy przybysz, taki jak wy, był jednym z nich, W sumie jednak miałem szczęście. Nie tak jak Juan Barrios. Nigdy nie miałem z nimi żadnych kłopotów.

– No właśnie, co z nim? - spytał Brody.

Indy przyglądał się jednemu z obrazów przedstawiających groźne twarze.

– Czy mówił panu, że ich spotkał?

Fernandez wypił resztkę wina z kieliszka...

– Pewnego dnia poprosiłem Juana, żeby namalował okręt widmo. Chciałem mieć taki szyld dla mojej restauracji. Wtedy jeszcze nie wierzyłem w *Caleuche*. Myślałem sobie, że ta nazwa po prostu zwróci uwagę. To wszystko. Dla mnie okręt widmo był legendą, niczym więcej. Juan namalował *Caleuche* i od razu wszystko w jego życiu uległo zmianie - Fernandez wskazał ręką jedno z malowideł. - Zjawy prześladowały go, opanowały jego myśli, co jakiś czas odwiedzały go. Były u niego wiele razy.

– A on powiedział panu o tym? - spytał Brody.

– Nie powiedział mi wszystkiego. Pewnej nocy jednak zabrał mnie ze sobą i pokazał mi okręt, wyglądał dokładnie tak, jak go w.am opisałem. Od tego momentu uwierzyłem mu i przekonałem się, że to coś więcej niż. zwykłe podanie.

– Ale co się stało z Hansem... czy też raczej z Juanem? - spytał Brody. - Czy wie pan coś o tym?

Fernandez podszedł do okna i rozsunął zasłony. Księżycowa poświata rozświetliła wnętrze pokoju. Stał tyłem do okna, jego twarz była ukryta w cieniu.

– Opowiem panom inną historię. Parę tygodni temu odwiedziłem pewnego starego człowieka o imieniu Marcelino. Zaprosił mnie kiedyś do swego domu. W rogu pokoju siedział jeszcze jeden starzec, który nie przywitał się ze mną i w ogóle nie powiedział ani słowa. Był tak nieobecny i obojętny na wszystko, że po chwili przestałem zwracać na niego uwagę. Marcelino wyjaśnił mi w końcu, że człowiek ten to jego brat, Teotoro, który zniknął pewnej nocy pięćdziesiąt lat temu.

– Pięćdziesiąt? - wykrzyknął Brody z niedowierzaniem.

Fernandez poważnie kiwnął głową.

– Kilka tygodni wcześniej Marcelino wspominał o Teotorze; kiedy brat zniknął, Marcelino miał tylko osiemnaście lat. Wybrał się do domu, w którym dawniej mieszkali. Mieści się on nad brzegiem Rio Pudeto. Ku swojemu zaskoczeniu zastał tam brata siedzącego w tym samym ubraniu, które miał na sobie pół wieku wcześniej. Kiedy Marcelino spytał go, gdzie był przez te wszystkie lata, Teotoro odpowiedział mu tylko, że był na statku, a potem błagał go, by nie pytał o nic więcej.

– Na pokładzie statku widma? - spytał Brody.

Fernandez nie odpowiedział, kontynuował opowieść:

– Podszedłem wówczas do tego człowieka i spytałem go, czy wie coś o Juanie Barriosie, Skinął głową i powiedział, że Juan znajduje się na statku. Nie chciał dodać nic więcej.

Brody wyglądał na rozczarowanego.

– I to wszystko?

– Jest jeszcze jedna dziwna rzecz - Fernandez podszedł do stołu, napełnił swój kieliszek i uniósł go do ust. - Kiedy widziałem Juana po raz ostatni,

usłyszałem od niego coś niezwykłego. Nie wiedziałem, co mam o tym myśleć. Powiedział mi, że widział swoją żonę Loraine na pokładzie statku i że chce się z nią spotkać.

– Ale to nie mogła być ona - przerwał Brody. - Przecież Loraine nie żyje.

Fernandez dotknął dłonią skroni.

– Znaleźli ją tutaj, w jego głowie. Jeśli potrafią zmieniać się w ptaki, to mogą wyglądać jak ktokolwiek. Po prostu stworzyli ją, żeby go zwabić na pokład.

Indy miał już dość tych historii.

– Mógłby pan zaprowadzić nas tam, gdzie pan i Juan widzieliście ten statek?

– Teraz? - spytał Fernandez.

Brody wsunął ręce do kieszeni.

– Indy, jest strasznie późno.

– Obawiam się, że coś takiego jak statek widmo dość rzadko widuje się w południe.

– Ale czy ty naprawdę myślisz...

– Zaprowadzę was - powiedział Fernandez. - Lecz nie mogę zapewnić wam bezpieczeństwa.

– Tego nikt i nigdy nie może zapewnić - powiedział Indy. - Chodźmy.

5.

PODWÓJNY BEITELHEIMER

W świetle księżyca półwysep, którym kończyła się północno-zachodnia część wyspy, wyglądał ponuro i groźnie. Indy'emu udzielił się złowrogi nastrój, nie mógł się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia, że ktoś go obserwuje. Jechali powozem Fernandeza do końca drogi. Ostatni odcinek przeszli na piechotę, a potem zaczęli wspinać się na wzgórze, z którego rozpościerał się widok na morze.

Podczas drogi Indy rozważał opowieść Fernandeza, zastanawiał się nad każdym szczegółem. Pragnął wrócić na Wyspę Wielkanocną, ale historia Beitelheimera i statku widma również go zaciekawiła. Prześladowała go ostatnia wiadomość przesłana Brody'emu przez Beitelheimera: „W sidłach legendy"... Nie wiedział zbyt dobrze, co to miało znaczyć, ale przynajmniej niektóre elementy układanki już zaczęły do siebie pasować.

Posuwali się powoli, grunt był nierówny i kamienisty. Ostatnie kilkadziesiąt stóp drogi wiodącej na szczyt przeszli razem. Zbocze opadało stromo do morza, w dole urwiska błyskały srebrzyste odblaski księżyca. Nietrudno było wyobrazić sobie, że po tych wodach żegluje statek widmo emanujący złowrogą poświatą.

– Nie pamiętałem, że to takie strome podejście - powiedział Fernandez, dysząc ciężko.

– Ja to zapamiętam - powiedział Brody.

– Tutaj staliście? - zapytał Indy.

Fernandez przytaknął.

– Dokładnie tutaj. Czekaliśmy około godziny i zobaczyliśmy statek wyłaniający się z morza.

– Spod wody? - spytał Brody.

– Najpierw usłyszałem niezwykłą muzykę - Fernandez mówił przyciszonym głosem, jakby się bał, że ktoś ich podsłucha. - Była coraz głośniejsza i głośniejsza, a potem statek wynurzył się z wody. Był cały rozświetlony, a wkrótce znalazł się na tyle blisko, że mogłem zobaczyć postacie ludzkie na pokładzie. To byli mężczyźni i kobiety, tańczyli, pili wino. Nie jestem w stanie opisać muzyki, to była muzyka morza, falująca, świetlista... jak woda, jak wiatr...

Indy nasłuchiwał, czy nie dobiegnie go niezwykły dźwięk, nasłuchiwał i wypatrywał. Nie słyszał nic i nic nie zobaczył. Noc była spokojna i chłodna. Po paru minutach usiedli, było im zimno, czekali. Księżyc powoli przemierzał nieboskłon, co pewien czas skrywał się za chmurami, by potem pojawić się znowu.

Krzyk niewidocznego w ciemności ptaka wyrwał Indy'ego z zamyślenia. Nie był w stanie stwierdzić, z której strony dobiegł dźwięk ani z jakiej odległości. Poczuł na twarzy chłodny podmuch niczym dotknięcie lodowatych palców. Usłyszał trzepot skrzydeł, bardzo blisko. Machinalnie pochylił się, żeby uniknąć uderzenia dzioba i ptasich szponów.

– Co się stało? - spytał Fernandez.

– Nie słyszeliście tego? - Indy zerwał się na nogi i zaczął się rozglądać.

– Czego? Słyszałeś muzykę? - na twarzy Brody'ego malował się niepokój.

– Ptaka, O mało nie uderzył mnie w głowę.

– Nic nie słyszałem - powiedział Fernandez. Był skulony z zimna, ręce włożył do kieszeni.

Brody rozejrzał się dookoła.

– Chyba trzeba wracać. Jest strasznie zimno.

Indy wpatrywał się w ciemność. Był pewien, że słyszał i prawie poczuł trzepoczące skrzydła. Spojrzał na morze. Dostrzegł jedynie czarną wodę i srebrne błyski księżyca.

– Myślę, że nic nie zobaczymy - powiedział Fernandez. - Nie dzisiaj.

W drodze do powozu Indy próbował pozbierać wszystko, co wiedział i co podejrzewał, w jakąś sensowną całość. Próbował ustalić, co z tego mogło być faktem, a co tylko podejrzeniem. Doszedł do wniosku, że kilku mieszkańców wyspy po prostu porwano. Wątpił jednak, by ów statek widmo miał z tym coś wspólnego. Musiało być inne rozwiązanie zagadki, przypuszczał nawet, że wie jakie.

Zaczekał, aż Brody i Fernandez dogonią go.

– Chciałbym porozmawiać z tym starym człowiekiem, o którym pan mówił.

Fernandez pokręcił głową.

– Przykro mi. To niemożliwe. Teotoro nie żyje.

– Jak to się stało? - spytał Brody. Patrzył uważnie pod nogi, żeby nie potknąć się w ciemności.

– Mówił, że słyszy głosy przepowiadające, iż zostanie pożarty przez węża.

– Nieźle - wtrącił Indy.

– Był tak przerażony, że chciał się zabić - ciągnął Fernandez. - Najpierw próbował wykrwawić się, wbijając w ciało igły i przykładając pijawki do brzucha. Nawet nadał imiona tym pijawkom. Pewnego dnia podciął sobie żyły brzytwą. Brat uratował go, ale nie chciał już mieć z nim nic wspólnego.

– Przyznam, że mogę go zrozumieć - powiedział Brody.

– I co się w końcu stało z Teotorem? - spytał Indy.

Fernandez machnął ręką i odwrócił się, ale Indy przytrzymał go za ramię.

– Zabrano go do szpitala psychiatrycznego w Santiago, gdzie był leczony biczami wodnymi.

– A co to takiego? - spytał Brody. - Nigdy nie słyszałem o takiej kuracji.

– Polewano go na przemian lodowatą i gorącą wodą. Potem zawijano go w mokre prześcieradła. Powtarzano te zabiegi kilka razy w tygodniu, aż wreszcie umarł.

– To potworne - oburzył się Brody - zupełne średniowiecze.

Indy pomyślał w tym momencie, że cokolwiek działo się z Teotorem podczas jego nieobecności na wyspie, dokładnie to samo przeżywa teraz Beitelheimer. Jeśli jednak nie było go już tutaj od paru lat, to w jaki sposób zdołał wysłać telegram do Brody'ego?

Indiana leżał w ciemnościach w swoim pokoju w hotelu i czekał, aż przyjdzie sen. Wciąż słyszał głos Fernandeza opowiadającego o kuracji wodnej, jaką przeszedł Teotoro, a kiedy wreszcie uwolnił się od tych myśli, począł go prześladować głos ptaka, którego nie mógł zobaczyć w ciemnościach. Wciąż słyszał trzepot skrzydeł i piskliwy krzyk. Ciarki chodziły mu po plecach i poczuł, że zdrętwiała mu ręka.

Położył się na boku. Spokojnie - powiedział do siebie - tylko spokojnie. Ciągle jednak nie mógł zasnąć. Wreszcie odrzucił kołdrę i zapalił światło. Było piętnaście po drugiej. Może bar na dole będzie jeszcze otwarty. Przydałby mu się kieliszek brandy. Szybko włożył spodnie i koszulę.

W barze siedział jedynie mężczyzna ubrany w kapelusz i ciemny płaszcz. Pochylał głowę, wpatrując się w stojący przed nim kieliszek. Indy usiadł przy barze w pobliżu nieznajomego. Kiedy zamówił brandy, nieznajomy spojrzał w jego stronę, ale twarz miał wciąż ukrytą pod kapeluszem.

– *Hace frio esta noche* - powiedział Indy, próbując nawiązać rozmowę o pogodzie.

Nieznajomy nie odpowiedział. Barman, młody człowiek o gęstych bokobrodach, postawił przed Indym kieliszek i popatrzył nieufnie na mężczyznę w kapeluszu.

– Zostaw nas - powiedział nieznajomy.

. Barman odszedł w drugi koniec baru i zajął się myciem szklanek. Mężczyzna przesuwał powoli palcem wzdłuż brzegu kieliszka.

– Czego chcesz?

– Mówi pan do mnie? - spytał Indy.

– Mówiłeś coś?

– Kim pan jest?

Mężczyzna odwrócił się do niego, teraz Indy dostrzegł wyraźnie jego szare oczy i długą twarz o ponurym wyrazie. Było coś znajomego w tym obliczu. Nagle uświadomił sobie, gdzie widział tego człowieka. Na jednym z obrazów wiszących na ścianie u Fernandeza. Na autoportrecie artysty.

– No, no. Czyżby pan Hans Beitelheimer, znany również jako Juan Barrios - powiedział Indy.

Barrios złapał Indy'ego za koszulę, ściągnął ze stołka, podniósł do góry, jakby Indy w ogóle nic nie ważył.

– Znajdziesz się w piekle. Widzę to w twoich oczach, Jones.

– O czym pan mówi? Skąd pan mnie zna?

– Znam cię z twoich błędów. Popełniłeś wielki błąd, a teraz czeka cię podróż twojego życia. Nie masz dużo czasu. Czekamy na ciebie.

Posadził Indy'ego z powrotem na stołku, rozerwał jego koszulę i przycisnął otwartą dłoń do jego piersi. Była gorąca, paliła jak rozżarzone żelazo. Indy jęknął z bólu.

Zerwał się i pobiegł na górę, czuł, że ma gorączkę i drżał z zimna. Usiadł ciężko na łóżku, zakrył twarz rękami i wyszeptał:

– Odejdź, zostaw mnie w spokoju.

Walenie do drzwi wyrwało go z najgłębszego snu.

– Już idę. Chwileczkę - zwlókł się z łóżka i podszedł do drzwi. - Kto tam?

– To ja.

Indy otworzył.

– Co się stało?

– Nie uwierzysz - powiedział Marcus - wstałem i poszedłem do baru napić się kawy, a w recepcji był do mnie list. Od Hansa Beitelheimera. Wie, że tu jestem. Ubieraj się, będzie czekał na placu.

Indy przetarł oczy.

– Mówisz, że nas znalazł?

– Najwyraźniej. Nawet nie mieliśmy pojęcia, że się zgubiliśmy! - zaśmiał się Brody. - Czekam na ciebie w recepcji.

W łazience Indy zauważył, że jego podkoszulek jest rozdarty. Przez chwilę myślał o tym, co mogło się stać. Zdjął go i zobaczył w lustrze czerwony ślad ręki, odciśnięty na piersi.

– A cóż to takiego? - przyłożył dłoń do czerwonego śladu, ale odciśnięte palce były dłuższe i grubsze.

Bar. Beitelheimer. Ale przecież to był tylko sen! Obudził się w łóżku. Podniósł podkoszulek i przyglądał się rozdarciu. Nie potrafił tego wyjaśnić. Spojrzał znów na odcisk dłoni. Był teraz mniej widoczny, znikał powoli.

Kiedy szli w kierunku placu, Indy opowiedział Brody'emu o wydarzeniu w barze.

– Chcesz powiedzieć, że to był sen, czy też sugerujesz, że zdarzyło się to naprawdę? - spytał Brody.

– Jedno i drugie. Tylko w ten sposób mogę to określić.

– No cóż, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to chciałbym zobaczyć ten ślad dłoni, kiedy wrócimy do hotelu.

– Znikł. Po prostu był coraz mniej wyraźny, aż w końcu znikł zupełnie..

Brody popatrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Bardzo dziwne. Miejmy nadzieję, że Hans wyjaśni nam to i owo.

Na rynku było gwarno i tłoczno, kłębili się przekupnie sprzedający *empenadas* i świeże owoce. - Nie widzę go - powiedział Brody, pocierając dłonią szyję. - Może kupimy sobie parę *empanadas* i rozejrzymy się... Zaczekaj. To chyba on. Tam, spójrz.

– Gdzie? - spytał Indy i w tej samej chwili zobaczył wysokiego mężczyznę o jasnych włosach, patrzącego w ich stronę.

Brody pomachał ręką, ruszyli do niego, przeciskając się przez tłum. Dzieliło ich tylko kilkanaście stóp, kiedy Indy nagle się zatrzymał i złapał Marcusa za rękę.

– Patrz tam!

– Co... O, do licha!

Mężczyzna wyglądający zupełnie tak samo jak Beitelheimer, poza tym, że miał na głowie kapelusz, szedł chodnikiem w kierunku drugiego Beitelheimera.

– To niemożliwe - powiedział Brody. - Gdzie on się podział?

Pierwszy Beitelheimer znikł bez śladu.

Indy bardziej chciał znaleźć drugiego z nich, ale i ten gdzieś przepadł. Po chwili ujrzał tego w kapeluszu. Przepychał się przez tłumek zgromadzony przed jednym ze straganów. Indy pobiegł tam, ale wpadł na dwóch rybaków dźwigających zwoje liny. Kiedy ruszył znowu, potrącił otyłą kobietę, stracił równowagę i upadł na ziemię. *Empanada* wypadła kobiecie z ręki i wylądowała na karku Indy'ego.

Wytarł szyję, chwycił kapelusz i czołgając się pomiędzy nogami przechodniów, wymknął się kobiecie obrzucającej go stekiem wyzwisk. Kiedy wstał, żadnego z Beitelheimerów nie było na rynku. Brody podszedł do niego.

– Co tu się dzieje, na litość boską?

– Oto jest pytanie.

Brody zmarszczył nos.

– Co to jest? - sięgnął do kołnierza Indy'ego i zdjął z niego plasterek jajka na twardo.

– Śniadanie takiej jednej pani. Myślę, że będzie musiała się bez niego obejść.

– Jeszcze wczoraj zastanawialiśmy się, czy Hans Beitelheimer żyje, a teraz okazuje się, że jest dwóch Beitelheimerów.

– I jeden wyraźnie gonił drugiego - dodał Indy.

– Jestem prawie pewien, że ten pierwszy to był Hans. Temu w kapeluszu nie zdążyłem się dobrze przyjrzeć.

– Chodźmy do przystani i rozejrzyjmy się.

Zeszli nad morze, uważnie przyglądając się otoczeniu.

W przystani wiał wiatr, nad ich głowami krążyły stadka mew. Większość rybaków wypłynęła już w morze. Zostało tylko kilku, którzy naprawiali sieci lub pracowali przy łodziach. Indy i Brody rozeszli się i próbowali dowiedzieć się czegoś. Po piętnastu minutach spotkali się znowu.

– Nic - oznajmił Brody. - Nikt nie widział Beitelheimera i nikt nie chce mówić o *Caleuche*.

– Ze mną też nie chcieli rozmawiać - powiedział Indy. Rozejrzał się dookoła i zobaczył, że kilku rybaków im się przygląda. - W każdym razie rozejdzie się wiadomość, że interesujemy się tym tajemniczym statkiem.

W drodze powrotnej Brody rozmyślał, kręcąc głową.

– Nie wiem, co mam o tym sądzić. Muszę ci się przyznać, że jestem kompletnie zdezorientowany.

– Obaj raczej jesteśmy zdezorientowani, ale prędzej czy później dojdziemy do sedna sprawy.

– Przykro mi, że cię w to wmieszałem.

– Tak naprawdę, to Chiloe okazuje się bardzo interesującym miejscem, bardziej niż przypuszczałem - powiedział Indy.

Przechodzili właśnie obok jednego z domów. Indy zauważył dwoje ludzi całujących się w drzwiach. Widział tylko tył głowy kobiety, ale twarz

mężczyzny, twarz z bokobrodami, była twarzą z jego snu.

– Zaczekaj - powiedział i podszedł do całujących się.

– Przepraszam...

Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego, odsunął się od kobiety i spytał:

– *Ahora que quiere*?

– Chciałbym zadać tylko jedno pytanie - powiedział Indy: - Czy pan mnie zna?

Mężczyzna wpatrywał się w niego.

– Jak mógłbym pana zapomnieć? Musiałem zanieść pana do pokoju zeszłej nocy. Bardzo pana proszę, niech się pan więcej nie wdaje w bójki z tym marynarzem. Następnym razem zabije pana.

– Kto to jest?

– Bardzo dziwny człowiek. Zły człowiek. Niech pan go nie szuka i niech pan nie szuka jego przyjaciół.

– Jakich przyjaciół?

– Szuka pan kłopotów. Znajdą pana, zanim pan ich znajdzie.

Dziewczyna trzymająca barmana za ramię wyglądała na przestraszoną jego słowami.

– Dziękuję.

– Co to za człowiek? - spytał Brody.

– Właśnie potwierdziło się to, co przypuszczałem. Ten Beitelheimer w kapeluszu i facet, którego widziałem zeszłej nocy to jedna i ta sama osoba. To nie był sen.

– A więc co to właściwie było?

– Odwiedziny marynarza z *Caleuche*.

– Duch ze statku duchów?

– Niezupełnie. Chodźmy na śniadanie, powiem ci, co o tym wszystkim myślę.

6.

MARYNARZE

Wrócili do hotelu i usiedli przy stoliku w restauracji hotelowej. Indy myślał, że na dziś ma już dosyć *empanadas*, mimo to zamówił jeszcze jedną do kawy. Kelner poinformował ich, że restauracja, w której się znajdują, jest jedynym lokalem serwującym kawę, okazało się też, że filiżanka kawy kosztuje trzy razy drożej niż *empanada*. Była jednak tego warta.

– Indy, wiem, że pragniesz rozwiązać zagadkę Beitelheimera tak samo jak ja, ale nie chciałbym opóźniać twojego powrotu na Wyspę Wielkanocną. Jeżeli chcesz jechać...

– Marcus, nie martw się o mnie i o Wyspę Wielkanocną - przerwał mu Indy. Już postanowił, że nie wsiądzie na najbliższy statek wypływający do Santiago.

Jestem tutaj i nie ruszę się stąd, dopóki nie dowiemy się, o co w tym wszystkim chodzi.

– Dobrze. Więc co o tym myślisz? - spytał Brody, wlewając śmietankę do kawy. - Nie mogę się doczekać.

– Podejrzewam, że *Caleuche* jest tak samo rzeczywisty jak wszystkie inne statki. Prawdopodobnie są to jacyś piraci.,.

– Piraci w dwudziestym wieku - zastanowił się Brody. - Ciekawe. Ale co z tymi sobowtórami? Jak to wyjaśnisz?

Indy wypił łyk kawy.

– Nie jestem pewien. Sądzę, że należy zacząć od najbardziej prawdopodobnej możliwości i potraktować ją jako punkt wyjścia.

– To znaczy?

– Należy przypuszczać, że Beitelheimer ma brata bliźniaka powiązanego z piratami. Prawdopodobnie właśnie dlatego osiadł na tej, a nie na innej wyspie.

– Ale nigdy nie słyszałem o żadnym bliźniaku.

Indy wzruszył ramionami.

– W niektórych rodzinach trzyma się w tajemnicy istnienie czarnej owcy...

– Sądzę, że to możliwe - powiedział Brody; kelner postawił przed nimi talerze z *empanadas*. Brody nabił na widelec kęs paszteciku.

– W twoich wyjaśnieniach jest jedna zasadnicza luka - oświadczył. - Statek widmo, a w każdym razie legenda o nim, krąży w tych okolicach od pięciuset lat.

Indy przełknął kęs.

– Bardzo smaczna. Dużo lepsza niż ta poprzednia. Myślę, że nie ma w tym żadnej sprzeczności. Legenda o statku wraz z podaniami o czarownicach była przekazywana z pokolenia na pokolenie, a piraci po prostu wykorzystali ją na swój użytek. Bez wątpienia od czasu do czasu porywają mieszkańców wyspy jako niewolników.

– Tak jak porwali Teotora?

– Właśnie. A jednak prawdopodobnie nie pływał na statku przez pięćdziesiąt lat.

– Mam nadzieję - Brody zmarszczył brwi i dotknął palcem podbródka. - No cóż, być może masz rację. Ale czy sądzisz, że Beitelheimer jest wmieszany w to wszystko, czy może tylko ten jego tajemniczy bliźniak? A co powiesz o historii, którą opowiadał Fernandez, o tym, że Hans zobaczył na statku swoją żonę?

– Nie wiem, Marcus. Być może ten bliźniak jakoś chciał zwabić brata i wciągnąć go do pirackiego procederu. A może po prostu Beitelheimer oszalał.

Prawie skończyli już śniadanie i zastanawiali się, co zrobić z resztą dnia, kiedy podszedł do nich stary człowiek o rzadkich, siwych włosach i kilkudniowym zaroście na twarzy.

– To wy pytaliście o *Caleuche*?

– Owszem - powiedział Brody.

Mężczyzna rozejrzał się po restauracji.

– Co chcecie wiedzieć?

– Wszystko, co pan wie - odpowiedział Indy. - Proszę usiąść.

Mężczyzna przedstawił się jako Antonio. Jego ubranie było czyste, ale bardzo znoszone. Twarz miał kościstą i przeoraną głębokimi zmarszczkami.

– Nadeszły złe czasy. Bardzo złe. Ostatni rok był najgorszy w moim życiu.

– Dlaczego pan tak mówi? - spytał Indy, starając się nie ponaglać starca. Potrzebowali faktów, a nie ogólników.

Antonio pochylił się w ich stronę.

– Ci ze statku kręcą się po wyspie, wielu ludzi lęka się o życie. Boją się rozmawiać o *Caleuche* z obcymi.

– A pan?

– Ja mam osiemdziesiąt lat, może nawet osiemdziesiąt dwa. Zapominam. Nie pożyję już długo, więc mogę mówić.

– A co chce pan powiedzieć? - spytał Brody łagodnym głosem, tak jakby był spowiednikiem starego człowieka.

Mężczyzna wyjął z kieszeni fajkę, naładował ją tytoniem i zapalił.

– Kiedy byłem młody i jeszcze żyli moi rodzice, zobaczyłem statek widmo po raz pierwszy. Był pomalowany na jaskrawe kolory i płynął w stronę brzegu o zmroku. Rodzice zorientowali się, że to statek widmo i kazali moim braciom, siostrze i mnie pójść do łóżka. Ale ja ich nie

posłuchałem. Wyglądałem przez okno i zobaczyłem siedmiu marynarzy podchodzących do domu. Zażądali od mojego ojca żywności i wody i powiedzieli mu, że zapłacą złotem. Poza tym chcieli korzystać z naszego domu przez parę dni.

– I co odrzekł pański ojciec? - spytał Brody.

– Powiedział im, że woli umrzeć w nędzy, niż dać im chociaż kroplę wody. Przez całe życie zastanawiał się, dlaczego nigdy nie zemścili się na nim. Jednak parę lat temu wrócili.

– I co było dalej? - spytał Indy. Starzec wyraźnie zbliżał się do sedna sprawy.

– Mieszkam w tym samym domu, razem z wnuczką i jej mężem - odparł Antonio. - Są biednymi rolnikami uprawiającymi ziemniaki, tak samo jak ja. Ale tym razem ci ze statku nie dali im wyboru. Nie mogli odmówić, w przeciwnym razie tamci zemściliby się na dzieciach.

– Czego nie mogli odmówić? - spytał Indy.

– Muszą co pewien czas opuścić dom, który wówczas zajmują ci ze statku. Teraz właśnie tam są.

– To znaczy, że członkowie załogi statku są właśnie teraz w tym domu? - zapytał Brody.

Starzec pokiwał głową.

– Zaprowadzi nas pan? - spytał Indy.

Antonio wypuścił kłąb dymu.

– Ja także martwię się o dzieci, ale wiem, że jeżeli nikt nic nie zrobi, to statek i jego załoga będą prześladować je do końca życia. Zaprowadzę was dziś wieczorem do mojego domu. Stają się coraz bardziej bezczelni. Ktoś powinien ich powstrzymać.

– Dlaczego mówi pan, że są coraz bardziej bezczelni? - zaciekawił się Brody.

– Ponieważ widziałem dzisiaj rano, jak porwali człowieka w biały dzień na ulicy. Nikt nie ośmielił się ich powstrzymać.

– Jak on wyglądał? - zapytał Indy.

Antonio opisał Beitelheimera; Indy i Brody wymienili spojrzenia.

– Na pewno coś już wiecie - powiedział Antonio. - Pytaliście o statek i o człowieka, który zaginął.

– Skąd pan wie, że nie jesteśmy ze statku? - spytał Indy.

Antonio przyglądał im się przez chwilę.

– Oni zachowują się zupełnie inaczej. Nie zadają pytań, lecz stawiają żądania i działają. - Wstał. - Jedźcie do Chonchi i czekajcie na mnie w hotelu.

Odwrócił się i ruszył w kierunku wyjścia.

– Będziemy czekać - zawołał za nim Indy.

Wyglądało na to, że na Chiloe nie ma dużo więcej samochodów niż na Wyspie Wielkanocnej. W Ancud znalazł się jednak jeden stary ford T użytkowany jako taksówka. Właściciel samochodu chętnie się zgodził zawieźć ich do Chonchi. Po drodze mijali rozległe pola kartofli i całe hektary przybrzeżnego błota, w którym kobiety szukały kałamarnic. Kałamarnice i ziemniaki - pomyślał Indy. I okręt widmo.

– Przybyli do Chonchi wczesnym popołudniem. Miasteczko było mniejsze niż Ancud, obeszli je dokoła w krótkim czasie. Na dachu dwupiętrowego budynku stojącego nad brzegiem morza siedziało kilka sępów. Trzej mężczyźni ubrani na czarno stali oparci o ścianę i przyglądali się przybyłym.

Sępy i spojrzenia mężczyzn sprawiły, że Indy poczuł się nieswojo.

– Wracajmy do hotelu i zaczekajmy, aż się ściemni.

– Dobrze - powiedział Brody.

* * *

Nikt nie zatroszczył się o to, żeby zapalić lampy gazowe, a obskurny przedsionek hotelu, w którym siedzieli, coraz bardziej pogrążał się w

mroku. Nagłe drzwi się otworzyły, zerwali się na równe nogi. Do środka weszła gruba kobieta pracująca w hotelu. Już mieli usiąść z powrotem, kiedy za kobietą pojawił się Antonio.

– O, jest pan wreszcie - powiedział Brody. - Obawialiśmy się, że może zmieni pan zdanie.

– Jesteście gotowi? - spytał starzec drżącym głosem.

– Gotowi, jak zawsze - odpowiedział dziarsko Brody.

Wraz z zapadnięciem zmroku zaczął siąpić zimny deszczyk. Wdrapali się na wóz Antonia. Koń, który był do niego zaprzężony, wyglądał na równie wiekowego jak Antonio. Wydawało się, że kłusuje w zwolnionym tempie. Brody postawił kołnierz płaszcza.

– W co my się pakujemy? - powiedział szeptem do Indiany.

Antonio pomimo wieku wyraźnie nie miał kłopotów ze słuchem. Odwrócił się w stronę Brody'ego.

– Może ich tam już nie będzie. Nie wiem.

– Mam nadzieję, że nie robimy tego na próżno - mruknął Indy, naciągając kapelusz na oczy tak, żeby zimne krople deszczu nie ściekały za kołnierz koszuli.

– Przez wiele lat statek nie pływał i nie było z nim kłopotów.

– Nie pływał? - spytał Brody.

– Nie, stał pod postacią wielkiego pnia drzewa na słonych bagnach w pobliżu wioski Huidad.

– Skąd wiedzieliście, że pień drzewa był właśnie statkiem? - spytał Indy.

– Ponieważ pewnego dnia po prostu pojawił się tam, a poprzedniej nocy nie było wiatru i morze nie doszło tak daleko w głąb lądu. Ten pień miał chyba dziewięćdziesiąt stóp długości i jakieś dwadzieścia stóp grubości.

– Spory - mruknął Indy.

– Około południa usiadło na nim stado kruków i mieszkańcy wioski domyślili się, że to właśnie *Caleuche*. Pień i ptaki przebywały tam przez

dziesięć lat, ale pewnego dnia znalazł się szaleniec, który uderzył pień siekierą.

– I co się stało? - spytał Brody.

– Pociekła z niego krew.

Indy pomyślał, że najprawdopodobniej była to po prostu żywica.

– Tej samej nocy - ciągnął Antonio - pień zniknął, a wkrótce potem zniknął również człowiek, który uderzył w niego siekierą.

Indy uśmiechnął się, usłyszeli następną legendę opowiadaną przez mieszkańców Chiloe. Brody jednak nie wyglądał na kogoś, kto cieszy się z poznania kolejnych elementów folkloru wyspy. Wyraz jego twarzy wskazywał raczej na to, że dyrektor muzeum marzył, by znaleźć się z powrotem w Nowym Jorku.

Po kilku minutach zsiedli z wozu i wspięli się na wzgórze. Antonio wskazał im dłonią dom znajdujący się po drugiej stronie u stóp wzgórza. Był tak jasno oświetlony, że wyglądał, jakby był ogarnięty płomieniami. W jednym z okiem poruszyła się ciemna sylwetka, po chwili następna. Ktoś był w środku.

– Od jak dawna tutaj są? - spytał Indy.

– Od czterech dni, ale przedtem przebywali w innych miejscach na wyspie.

Brody otarł krople deszczu ze twarzy.

– Cóż, na Boga, oni tu robią?

– Przyjrzyjmy się z bliska - zaproponował Indy. - Stąd niczego nie zobaczymy.

– Jestem za starty, żeby się czołgać i skradać - zaprotestował Antonio. - Poza tym to niebezpieczne.

– Zgadzam się całkowicie - przyznał mu rację Brody.

– Pójdę sam powiedział Indy.

– Ależ Indiana...

– Tak będzie najlepiej.

Indy czołgając się zdołał niepostrzeżenie zbliżyć się do domu. Nagle zamarł: usłyszał gardłowy pomruk. Odwrócił się powoli i zobaczył wielkiego, czarnego psa, który szczerzył zęby w jego stronę.

– Dobry piesek, dobry...

Bestia nie wyglądała na przekonaną. Wtedy Indy przypomniał sobie, że w kieszeni ma kawałek suszonej wołowiny, pozostałość po podróży pociągiem z Santiago. Cisnął go w stronę psa, który złapał mięso w locie, głośno kłapią szczęką. Korzystając z tego, że pies przestał się nim zajmować, Indy zbliżył się do jednego z okien.

To, co zobaczył w środku, zaskoczyło go i zastanowiło. Podłoga zastawiona była wiadrami. Ludzie siedzący wokół stołu pracowicie patroszyli ryby nożami. Ryby przynoszono z drugiego pokoju. Wydawało mu się, że wszystkie ryby były tego samego gatunku, głębinowe, o prehistorycznym wyglądzie. Po chwili zorientował się, że mężczyźni wcale nie patroszą ryb, a tylko wydobywają z ich wnętrza pomarańczową ikrę. Potem rzucali je po prostu na podłogę.

Nic dziwnego, że starzec tak źle mówił o ich pobycie. W domu po takiej operacji prawdopodobnie przez parę tygodni musiał utrzymywać się straszliwy smród. No Sądnie - pomyślał - odkryłem jakiś dziwny spisek mający ha celu gromadzenie ikry. Kim są ci ludzie, czyżby zajmowali się czarnorynkowym handlem kawiorem? Indy nigdy nie przepadał za kawiorem i być może w tej chwili nawet wiedział dlaczego.

Duchy. Żadne tam duchy; byli realni jak on sam. Prawdopodobnie piraci, którzy z braku innych możliwości chwytali się wszelkich w miarę dochodowych zajęć. Być może połów tych ryb na wodach międzynarodowych był nielegalny i stąd cała historia.

Coś chłodnego, mokrego i ostrego zamknęło się na przegubie Indy'ego. Instynktownie cofnął rękę, ale potężne szczęki czarnego psa trzymały mocno, chociaż zęby nie przebiły skóry.

– Grzeczny pies. Dobry piesek - szepnął Indy czując, jak ślina psa ścieka po jego dłoni. - Nie mam już nic dla ciebie.

Pies lekko, lecz zdecydowanie, ciągnął go za rękę, jak gdyby chciał go gdzieś zaprowadzić. Prawdopodobnie prosto w ręce piratów. Indy zdał sobie sprawę, że jeżeli chce, żeby dłoń pozostała na swym miejscu, czyli żeby w dalszym ciągu stanowiła jedność z jego ręką, nie miał wyboru i musiał pójść tam, gdzie to zwierzę zechce go zaprowadzić. Rozejrzał się za kamieniem albo deską; tylko potężne uderzenie w głowę psa mogło go uratować.

Ku zaskoczeniu Indy'ego pies odciągał go od domu, Kilkanaście stóp od tylnego wejścia zatrzymał się i szarpnął. Indy posłusznie upadł na ziemię. Zobaczył mężczyznę przechadzającego się tam i z powrotem przed wejściem do jakiejś szopy. Pies puścił jego rękę i zaskomlał cicho.

– Czy on pilnuje czegoś, piesku?

Pies znowu zaskomlał i położył się brzuchem na ziemi.

– Twój pan?

Pies warknął.

– No dobrze, zobaczmy z bliska - Indy sięgnął po bat przypięty do pasa. Strażnik miał na głowie zsunięty na oczy kapelusz, ale Indy rozpoznał i kapelusz, i twarz. To był bliźniak Hansa Beitelheimera. Indy ostrożnie podczołgał się do niego; zauważył, że jedna dłoń tego człowieka owinięta była jakimś materiałem, wyglądała na zabandażowaną. Pies nie czekał na Indy'ego. Przeskoczył przez niego, powalił mężczyznę na ziemię i chwycił jego zranioną rękę. Bliźniak wydał z siebie nieartykułowany krzyk, zdołał jednak wyciągnąć nóż i wbić go w głowę psa. Pies zaskowyczał, zanim Indy zamachnął biczem. Strażnik po raz drugi uderzył psa nożem. Pies zaskomlał rozdzierająco i upadł na ziemię. Bliźniak nie zdążył uderzyć po raz trzeci, końcówka bata wytrąciła mu nóż z ręki. Broń upadła obok stóp Indy'ego. Zobaczył wówczas, że nie był to nóż, lecz tępy żelazny pręt.

Indy złapał mężczyznę za kołnierz i wymierzył mu potężny cios w brzuch. Bliźniak zgiął się wpół i jęknął. Indy uderzył go od dołu w szczękę tak, że tamten upadł na ziemię. Szybciej niż wydawało się to możliwe, poderwał się jednak na nogi i rzucił na Indy'ego. Pies rozdzielił ich, skacząc mężczyźnie do gardła. Sobowtór Beitelheimera upadł na ziemię pod jego ciężarem, przez chwilę machał rozpaczliwie rękami i nogami, a potem zamarł bez ruchu. Dopiero wtedy Indy zauważył, że noga strażnika była przymocowana łańcuchem do kołka wbitego w ziemię.

Przyjrzał się dokładnie jego twarzy, rzeczywiście był to Beitelheimer. Teraz jednak nie był już pewien, który z nich. Pochylił się nad ciałem. Trup miał rozszarpane gardło, krew ściekała na ziemię. Indy przyjrzał się kapeluszowi. Był przekonany, że człowiek, który zaatakował go w barze, miał go na głowie.

Usłyszał warczenie psa. Teraz trzeba było zadbać o to, żeby pozostać z nim w dobrych stosunkach. Podniósł się powoli i odsunął od ciała. Pies skoczył, Indy szarpnął się do tyłu. Pies jednak atakował drzwi, a nie jego. Być może wrócił wnuk Antonia i zażądał, by intruzi wynieśli się, a tamci zamknęli go w szopie. Dlaczego jednak sobowtór był przykuty przed drzwiami?

Wejście do szopy zabezpieczone było solidnym zamkiem. Zawiasy natomiast były stare i przerdzewiałe. Indy potężnym kopnięciem zdołał je obluzować. Kopnął znowu i nagle uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, co może znaleźć wewnątrz. Pewnie w szopie było tylko jedzenie dla psa albo martwe ryby.

Wtedy ze środka dobiegł go jakiś głos. Kopnął jeszcze raz, śruby zawiasów puściły i drzwi wpadły do środka. Dobiegł go gniewny głos:

– Nie macie prawa... nie madę prawa - jakiś człowiek wyszedł na zewnątrz. Beitelheimer. Pies wspiął się na niego i zaczął lizać po twarzy.

– Hans?

– Kim pan jest?

– Jestem przyjacielem Brody'ego - Indy rozejrzał się dookoła.

– Gdzie jest Marcus? Muszę z nim pomówić.

Indy wskazał na zwłoki.

– Kto to jest? - zapytał.

Beitelheimer przyklęknął i pokręcił głową.

– Mój brat. Tama się wściekli, bo mu uciekłem. Zmusili go więc, żeby mnie pilnował.

– No dobrze, wstawaj pan. Chodźmy.

Beitelheimer poklepał psa po grzbiecie.

– Co tu się dzieje? - spytał Indy, kiedy ruszyli w stronę wzgórza. - Dlaczego uwięzili pana?

– Za dużo wiem, a teraz pan też wie za dużo - odparł Beitelheimer.

– Nic nie wiem - mruknął Indy. - Oto problem.

Kiedy zbliżali się do szczytu pagórka, pies wyczuł Brody'ego i Antonia i warknął. Beitelheimer uciszył go krótką komendą, której Indy nie zrozumiał.

Brody ucieszył się na ich widok.

– Hans, na miłość boską, co się tu dzieje? Strasznie niepokoiłem się o ciebie.

– Nie martw się, Marcus - powiedział Hans, wyciągając do niego rękę. - Wyjaśnię ci wszystko.

Antonio wpatrywał się uważnie w Beitelheimera. Zmarszczył brwi, podniósł drżącą rękę i wskazał na niego.

– Ten, którego schwytali na ulicy, był ranny w rękę, bardzo krwawił. Ten człowiek nie jest ranny.

Beitelheimer odwrócił się w jego stronę.

– Myli się pan. Byłem ranny, ale to błahostka.

Jego głos nie brzmiał już przyjaźnie, był zimny i przenikliwy.

– Nieważne - powiedział Brody, stając między nimi. - Chodźmy. Jest zimno i pada deszcz.

Indy przypomniał sobie, że drugi Beitelheimer miał zabandażowaną rękę. Sięgnął po bicz.

– Zaczekaj, Marcus. Antonio ma rację. To nie ten.

Tamten postąpił krok do tyłu i pstryknął palcami. Czarny pies przypadł do jego nóg, obnażył zakrwawione zęby i przywarował, gotowy do skoku.

– Teraz wszyscy umrzecie.

– Co tu się dzieje? - spytał Brody. - Kim jesteś?

– Możesz do mnie mówić Sacho. Idziemy.

Mężczyzna był nie uzbrojony, ale Indy widział psa w akcji, a lśniące oczy zwierzęcia wpatrzone były właśnie w niego. Pies zastępował broń.

– Schodzimy na dół! - rozkazał Sacho.

– Chwileczkę. Jeżeli pan nie jest Beitelheimerem, to gdzie on jest? - spytał Brody.

– Nie żyje - powiedział Indy - pies go zagryzł.

– O Boże - jęknął Brody.

Pies cały czas trzymał się w pobliżu nogi Indy'ego. Schodząc w dół. Indy przypuszczał, że Sacho prowadzi ich do domu, ale kiedy znaleźli się na dole, okazało się, że kieruje ich w stronę morza.

– Indy, gdzież ort nas prowadzi? - szepnął Brody.

– Zastanów się, Marcus. Skąd oni przyszli?

Zanim Brody zdążył odpowiedzieć, znaleźli się nad brzegiem, Słychać było chlupot fal rozbijających się o kamienie pod nimi. Indy wciąż myślał o ucieczce, ale zdał sobie sprawę, że wokół nich jest więcej ludzi, koleżków Sacho, marynarzy z *Caleuche*. Byli ubrani na czarno i ledwo było ich widać w ciemnościach. Kiedy marynarze zbliżyli się do nich, Sacho podszedł do Antonia i chwycił go za ubranie na karku.

– Zerwałeś układ. Miałeś nie mówić. Ostrzegaliśmy cię.

– Nie róbcie krzywdy dzieciom, proszę - wyjąkał Antonio. - Dzieci są niewinne, to moja wina.

– Masz rację, zapłacisz za to.

Sacho pchnął starca w przepaść. Antonio krzyknął, zniknął w ciemności, a szum fał zagłuszył jego krzyk.

– Zabiłeś go! - krzyknął Indy.

– Wiedział, co go czeka. Śmierć była jego jedynym przeznaczeniem.

– Co z nami zrobicie? - zapytał Brody.

Sacho odwrócił się plecami do Brody'ego i zaczął wpatrywać się w morze. Z początku Indy nic nie widział, potem jednak ujrzał złotawy pobłysk poprzez mgłę. Po chwili błysk przybrał kształt statku.

– *Caleuche* - powiedział Sacho.

– Który nie jest żadnym statkiem widmem, tak samo jak ty nie jesteś duchem - oświadczył Indy.

Sacho roześmiał się tak, jakby Indy powiedział coś niesamowicie śmiesznego.

Indy poczuł, że ogarnia go wściekłość.

– Myślisz że to śmieszne? A to?

Walnął z całej siły w brzuch Sacha, ale na tamtym nie zrobiło to większego wrażenia. Miał go uderzyć po raz drugi, tym razem w szczękę, ale nagle znieruchomiał. Widok twarzy Sacha zdumiał go. Był pewien, że ma przed sobą tego samego mężczyznę, który wyszedł z szopy, tego, który wyglądał zupełnie tak samo jak Beitelheimer, Teraz zaś ów mężczyzna wcale nie wyglądał tak samo. Miał krzaczaste brwi, ciemne, skośne oczy i haczykowaty nos.

Nagle Indy stracił wszelką pewność. Co do Sacha, co do marynarzy, co do statku. Przestał rozumieć, co się dzieje. Sacho skorzystał z jego zmieszania, złapał go za rękę i wykręcił tak, że Indy myślał, iż ją złamie. Z wolna przyciągnął go do siebie, przysunął twarz do jego twarzy.

– Nie masz o niczym pojęcia, Jones. Najmniejszego. Przybywam ze świata, o którego istnieniu nic nie wiesz. Tutaj nazywają nas duchami, ale dla nas to wy jesteście duchami.

7.

NA POKŁADZIE CALEUCHE

Wysocy mężczyźni o podłużnych, surowych twarzach stali wokół nich. Wpatrywali się beznamiętnie w Indy'ego, dreszcz przeszedł mu po karku. Cofnął się o kilka kroków, ale tuż za nim znajdowała się krawędź urwiska, skały i czarna otchłań, w której Antonio przed chwilą zakończył życie.

Sacho kościstą dłonią wskazał wąską ścieżkę prowadzącą na dół. Nie mieli wyboru.

– Chyba musimy robić, co nam każą - powiedział Brody.

– Zawsze chciałem pływać na statku widmie - mruknął Indy.

Ścieżka była stroma i śliska. Brody potknął się o występ skalny. Indy podtrzymał go. Obejrzał się do tyłu. Sacho i jego towarzysze wpatrywali się w nich i wyglądali raczej groźnie.

Kiedy wreszcie znaleźli się nad brzegiem wody, Indy mógł lepiej przyjrzeć się swym prześladowcom. Zobaczył, że wcale nie są tacy bladzi, ich twarze nie są aż tak ponure, nie są tacy wysocy. Byli różnego wzrostu, rysy ich twarzy różniły się, niektórzy z nich byli ciemnoskórzy. To dziwne, jakie figle potrafi płatać umysł. Z początku wydawało mu się, że marynarze wyglądają dokładnie tak, jak w opowieściach. A jednak legendy zazwyczaj mają w sobie ziarno prawdy, o czym właśnie przekonywali się na własnej skórze.

Marynarze wepchnęli ich do sporej szalupy ukrytej pośród skał. Zepchnęli ją na wodę. Indy spostrzegł, że na dziobie łodzi znajdowały się

pojemniki podobne do tych, które widział wewnątrz domu. Rybie jajka i piraci. Kawior i morderstwo. Ładna historia.

Zbliżali się do statku. Balustrada otaczająca pokład obwieszona była latarniami, latarnie wisiały także na maszcie; oto źródło tajemniczej poświaty, którą widział z brzegu. To był statek z innych czasów, ale zwykły, prawdziwy statek, a ci faceci też byli po prostu ludźmi. Indy pomyślał, że na pewno chowają w zanadrzu różne sztuczki, ale dużo łatwiej będzie poradzić sobie z ludźmi niż z duchami. Poza tym on też miał to i owo w zanadrzu.

Z pokładu spuszczono drabinkę sznurową, a marynarze podawali sobie z rąk do rąk pojemniki z ikrą, które przenosili na pokład. Wspięli się po drabinie, na łodzi pozostał tylko Indy, Sacho i Brody. Kiedy Indy postawił nogę na pierwszym szczeblu, jego plan już był gotowy. Szarpnął linę, którą łódź przymocowana była do drabinki. Przyjrzał się wcześniej, jak była zawiązana i wiedział, że wystarczy pociągnąć za jej koniec. Sacho rzucił się w jego stronę, usiłując złapać go za nogę, ale Indy wspiął się wyżej, odwrócił i skoczył do wody. Sacho skoczył za nim, Brody chwycił bosak i wyciągnął go w stronę Indy'ego.

– Wiosłuj! - krzyknął Indy, - Odpłyń od statku!

Sacho wynurzył się tuż obok Indy'ego. Ten wepchnął jego głowę pod wodę. Sacho schwycił go za nogi i zaczął wciągać w głębinę. Indy kopał i szarpał się, ale Sacho objął ramionami jego nogi z tak wielką siłą, że Indy czuł się jak w objęciach ośmiornicy. Ogarnęło go przerażenie, potężnym kopnięciem wyszarpnął się, wypłynął na powierzchnię łapczywie chwytając powietrze.

Teraz w wodzie było pełno marynarzy ze statku, następni skakali z pokładu. Brody wymachiwał jednym wiosłem, łódź kręciła się w kółko kilkadziesiąt stóp od statku. Indy począł płynąć w jej stronę, młócąc wodę ramionami. Jeżeli zdąży dopłynąć do niej i chwycić drugie wiosło, mają jakąś szansę ucieczki.

Był już prawie przy łodzi, kiedy ktoś chwycił go za kostkę. Odwrócił się, rozpostarł ramiona i usiłował wyrwać się z żelaznego uścisku, ale bezskutecznie. Brody śpiesząc mu na pomoc, opuścił ciężkie wiosło na napastnika. Nie trafił, wiosło nie uczyniło mu żadnej krzywdy, uderzyło w wodę. Zdesperowany Brody uderzył znowu, dokładnie w momencie kiedy Indy'emu udało się wyrwać. Było to potężne, rozpaczliwe uderzenie, które trafiło Indy'ego prosto w środek czoła. Ogłuszony pogrążył się w toni, jego płuca zalała woda, ramiona śmierci rozpostarły się na jego spotkanie.

Pierwszym wrażeniem, które dotarło do niego po obudzeniu, był dźwięk, jaki wydają trzeszczące wręgi łagodnie kołysanego statku i zapach morza. Potem usłyszał daleką muzykę, dziwną muzykę, która brzmiała tak, jakby ktoś grał na organach pod wodą. Był owinięty w coś miękkiego i ciepłego. Być może na tym statku odbywał swój ostatni rejs w zaświaty.

Potarł czoło i jęknął. Bolały go płuca i żołądek. Czuł się tak, jakby połknął kilka beczek wody morskiej. Sądząc z kwaśnego smaku, jaki miał w ustach, musiał wymiotować. Nie, żył, był jak najbardziej żywy...

Usłyszał w pobliżu jakiś szelest. Ktoś oprócz niego znajdował się w kajucie, ale było zbyt ciemno, by dostrzec cokolwiek.

– To ty, Marcus? - zapytał chrapliwym głosem. Każde słowo sprawiało mu ból.

– Nie ma tu nikogo innego poza tobą i mną - usłyszał miękki, kobiecy głos. Błysnęła zapałka, ujrzał parę szmaragdowych oczu lśniących w migoczącym świetle. Oczy hipnotyzera - pomyślał.

Indy chciał coś powiedzieć, ale chwycił go gwałtowny atak kaszlu. Wreszcie zdołał wykrztusić trzy słowa:

– Kim... ty... jesteś?

Kobieta zapaliła latarnię i podniosła ją, oświetlając wydatne kości policzkowe i orli nos. Jej twarz otaczały włosy w kolorze miedzi, spięte z tyłu.

– Nazywam się Salandra. Sprowadziłam cię z powrotem.

– Z powrotem? - Indy uniósł się i zobaczył, że owinięty jest grubym kocem. - Skąd?

– Byłeś na krawędzi śmierci. Kiedy przynieśli cię do mnie, tonąłeś, właściwie to się utopiłeś. Sprowadziłam cię z powrotem.

Usiłował rozproszyć mgłę panującą w głowie i zastanowić się, o co ma jeszcze zapytać.

– Co to za muzyka?

– Można powiedzieć, że to muzyka duchów. To jest muzyka Bramy.

– Bramy? Gdzie my jesteśmy? Czy to jest...

– Tak, jesteś na pokładzie statku widma, na pokładzie *Caleuche*.

Zaśmiał się, ale znowu schwycił go kaszel, głośny i rozdzierający, wydawało mu się, że ten kaszel miażdży jego pierś. Brody... trzeba dowiedzieć się, co się stało z Brodym.

– Gdzie jest mój przyjaciel? Byliśmy razem. Byliśmy na łodzi, kiedy...

– Nie ma go tutaj. Odszedł - odpowiedziała Salandra poważnym głosem.

Wściekłość Indy'ego wzięła górę nad oszołomieniem.

– Zabili go, prawda? Tak samo jak tego starca. Gdzie jest Sacho? - odrzucił przykrycie i zdołał wstać, ale kajuta wirowała wokół niego, nie mógł nad tym zapanować. Stracił równowagę i upadł. Powietrze było jakieś rzadkie, tak jak powietrze bardzo wysoko w górach. Salandra podniosła go, jak gdyby był workiem pierza, i ułożyła na łóżku.

– Nie rozumiesz. Twojemu przyjacielowi pozwolono odejść.

– Dokąd płyniemy?

– Pytania... pytania. Gdzie, gdzie, gdzie. Odpręż się. Nikt ci nic nie zrobi, dopóki tutaj jestem.

– Jesteś z tymi piratami?

Roześmiała się melodyjnie.

– Dlaczego sądzisz, że jesteśmy piratami?

– Bo nie jesteście duchami.

– Musisz zrozumieć tak wiele rzeczy, a jest tak mało czasu. Śpij teraz. Jesteś tu bezpieczny. Kiedy obudzisz się, porozmawiamy.

Było mu coraz trudniej jej słuchać. Z każdym słowem stawał się coraz bardziej senny. Nie mógł już otworzyć oczu.

– Ale... ja muszę...

Zapadł w głęboki sen.

Indy stał przy relingu i wpatrywał się w gęstą mgłę. Był całkowicie zdezorientowany. Nie tylko nie wiedział, jak długo spał, ale nie wiedział też, czy był świt, zmrok czy może południe. Mgła była tak gęsta, że mógł dostrzec tylko przedmioty oddalone nie więcej niż o kilka stóp.

Obudził się niedawno, czuł się zadziwiająco dobrze... W kajucie paliła się latarnia, wstał i podszedł do drzwi. Ku jego zaskoczeniu nie były zamknięte. Wyszedł nas pusty pokład.

Gdzie byli wszyscy? Dlaczego zostawili go samego i nie zamknęli drzwi? Może powinien się gdzieś ukryć. Albo skoczyć do morza. Ale gdzie się znajdowali? Przez mgłę nie widać było żadnych brzegów. Jeżeli byli na pełnym morzu, to taki skok oznaczał pewną śmierć.

– Tutaj jesteś - powiedziała Salandra tuż za nim.

Odwrócił się na pięcie.

– Skąd się tu wzięłaś?

Uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Była smukłą, wysoką kobietą o delikatnej i gładkiej skórze.

– Jak się czujesz? - zapytała.

– Lepiej.

– To dobrze. To jest napój, który musisz pić, kiedy jesteś z nami. Jeżeli nie będziesz tego pił, zachorujesz i umrzesz.

Tego tylko brakowało.

– Nie mam zamiaru niczego pić. Powiedz wreszcie, o co tu chodzi. Możesz zacząć od tego, co się stało z moim przyjacielem, Marcusem

Brodym.

– Już ci powiedziałam.

– Nie wierzę, że Marcus zdołał uciec na tej łodzi.

– Gdybyśmy chcieli, to schwytalibyśmy go bez trudu. Ale nie potrzebowaliśmy go. Pozwoliliśmy mu odpłynąć. Kiedy dotarł do brzegu, nas już nie było.

Mówiła po angielsku, ale w jej głosie słyszał akcent, który był dla niego zupełnie obcy, musiał słuchać uważnie, żeby ją rozumieć.

– A co ze mną? Do czego mnie potrzebujecie? I przede wszystkim kim jesteście...?

Indy usłyszał głosy, z mgły wyłonili się trzej mężczyźni. Przeszli obok, nawet nie patrząc na niego. Spierali się o coś, tak przynajmniej wywnioskował z ich gestów. Nie miał jednak pojęcia, w jakim języku rozmawiają. Patrząc za nimi przypomniał sobie pierwsze spotkanie z marynarzami.

– Kim oni są?

– Po prostu członkami załogi.

– Chwileczkę. Co się stało z Sachem? Jest tutaj?

– Oczywiście.

– Zamordował starego człowieka...

Salandra zmarszczyła brwi.

– Mówiłeś już wcześniej. Kogo zamordował?

– Człowieka z wyspy. Sacho powiedział, że tamten złamał umowę i za to musi ponieść karę. Zabił też Beitelheimera.

– Hans nie żyje? Jesteś pewien?

A więc znała Beitelheimera. Jeśli jednak nie kłamała, wyglądało na to, że nie wie o jego śmierci.

– Pies Sacha rozszarpał jego gardło, - Indy miał ją zapytać, co wie o Beitelheimerze, ale zamiast tego zadał inne pytanie: - Jak on to zrobił, żeby wyglądać tak jak Beitelheimer? Co to za sztuczka?

Salandra nie odpowiedziała mu od razu. Zastanawiała się nad tym, co od niego usłyszała.

– Sacho jest twórcą iluzji, tak jak wielu Pincoyan. Właściwie nie zmienił wyglądu, sprawił tylko, że tobie się tak zdawało. To istotna różnica.

– To ciekawe. Kim są Pincoyanie? Nigdy nie słyszałem o nich. Gdzie oni mieszkają?

– Pincoyanie pochodzą z Pincoya. To takie wyspy. Wkrótce je zobaczysz.

– Przypuszczam, że również stamtąd pochodzisz?

– Mój ojciec jest Pincoyaninem.

Owszem - pomyślał - a twoja matka ośmiornicą.

– A moja matka - dodała, jakby czytała w jego myślach - pochodzi z Wayua, z wielkiej pustyni.

Indy wpatrywał się we mgłę. Sądził, że zna trochę geografię, ale nigdy nie słyszał żadnej z tych nazw. Co więcej, wcale nie miał ochoty zwiedzać tych miejsc, w każdym razie nie pod przymusem.

– No dobrze, teraz możemy już wracać. Myślę, że na dziś to już dość. Chyba że możesz mnie podrzucić na Wyspę Wielkanocną. Zaoszczędziłbym trochę czasu.

Zaśmiała się.

– Niestety, Jones, twoja praca na Wyspie Wielkanocnej musi poczekać. Jesteś nam potrzebny.

– Potrzebny? Doprawdy? A tak przy okazji, skąd znasz moje nazwisko i skąd wiesz o mojej pracy?

Uśmiechnęła się.

– Gdybyś przestał mi przerywać, to już byś wiedział.

Mimo woli odpowiedział jej uśmiechem. Nie wiedział o niej nic, nie rozumiał nic z tego, co się działo podczas paru ostatnich dni, ale czuł sympatię do Salandry. Nawet nie dlatego, że była interesującą kobietą, - ale

w jej sposobie bycia było coś, co sprawiało, że jej ufał. Tylko że oszustwo może przybierać różne formy, a on już wcześniej dał się oszukać.

– Jestem kimś w rodzaju prywatnego detektywa - wyjaśniła Salandra. - Dlatego wiem, kim jesteś.

Ach tak. Prywatny detektyw i do tego kobieta na pirackim statku udającym statek widmo. Co jeszcze usłyszy? - zastanawiał się.

– Teraz pewnie mi powiesz, że zostałaś najęta przez ducha jakiegoś pirata, który chce, żebym znalazł ukryty skarb.

Wyraz jej twarzy wskazywał, że nie była pewna, czy żartował, czy nie.

– To dużo bardziej skomplikowana historia.

Nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Co to wszystko znaczy?

– Dobre pytanie - powiedziała Salandra. - To kwestia znaczeń, między innymi.

Indy potrząsnął głową.

– Nie rozumiem.

– Nic dziwnego - dotknęła jego ramienia. - Przykro mi, że zostałeś wbrew swej woli zabrany na statek. Mimo to większość drogi przebyłeś sam. Wiedziałam, że to zrobisz, od chwili kiedy dowiedziałam się, że Hans Beitelheimer napisał do twojego przyjaciela, Marcusa Brody'ego. Zadziwiający zbieg okoliczności. Jestem pewna, że to znak dany przez samą Wielką Matkę.

– Bez wątpienia - powiedział Indy, zastanawiając się, kim jest Wielka Matka. - Skąd znasz Beitelheimera?

– Obserwowałam go.

– No tak. Zapomniałem, że jesteś szpiclem.

– Jednak natknęłam się na ciebie. Prawie rok temu. Podążałam twoim śladem od uniwersytetu na Wyspę Wielkanocną i potem na Chiloe.

– Wierzę ci na słowo. Nie widziałem cię nigdzie po drodze. Kto cię wynajął?

– Nikt.

– Więc dlaczego śledziłaś mnie?

– Ponieważ musiałam dowiedzieć się, kim jesteś i w jaki sposób mogę cię tu sprowadzić.

– Po co?

– Chodzi o to, Jones, że zrobiłeś coś, co trzeba naprawić. Jesteś jedyną osobą, która może tego dokonać. To nie tylko sprawa żyda i śmierci, chodzi tu o przyszłość mojego świata, a być może również twojego.

Mojego świata, twojego świata - pomyślał. - Czy dzieje się ze mną to samo co z Beitelheimerem i z Teotorem, czy postradałem zmysły?

– Nie wiem, o czym mówisz.

Poczuł, że pot spływa po jego czole. Ogarnął go dziwny lęk, chciał uciec przed nim w sen. Upadł ciężko, jakby ważył tysiąc ton, czuł, że zaraz zwymiotuje na pokład. Mimo wszystko wiedział, że mówiła o czymś, co było prawdziwe. To było coś, co zagrzebał głęboko w sobie i o czym chciał zapomnieć.

8.

BERŁO

Kiedy upewniła się, że Jones usnął na dobre, zajęła się przygotowaniem *nalcy*. Pierwszy raz podała mu tylko kilka łyków. Teraz musi wypić więcej, zwłaszcza że nie zechce wypić z własnej woli. Ufał jej coraz bardziej, ale nie był to ktoś, kogo łatwo można przekonać...

Usiadła przy nim.

– A teraz wypijesz to - powiedziała miękkim głosem raz, potem drugi. Uniosła jego głowę i przyłożyła czarę do ust. Wypił łyk, nie otwierając oczu. Potem wypił znowu, pił tak długo, aż opróżnił naczynie. Delikatnie ułożyła jego głowę na poduszce i zaczęła mu się przyglądać.

Jak można opisać jej świat komuś, kto w niego nie wierzy? Bardzo trudno przekonać kogoś takiego jak Jones. To był człowiek, który wierzył tylko w to, co zobaczył na własne oczy, co stanowiło jego doświadczenie i wydawało mu się sensowne. Wszystko trzeba było zweryfikować, to słowo było kluczem do jego sposobu myślenia. Kiedy jakiś element nie pasował do całości i nie dało się go zweryfikować, odrzucał tę sprawę, spychał w tę część swego umysłu, gdzie spoczywały podobne zjawiska, czekając na ponowne rozpatrzenie. Spędziła obok niego już dość czasu, by móc go zrozumieć. Będzie mii trudno zaakceptować realność nowego otoczenia. Będzie szukał innych wyjaśnień. Była jednak pewna, że w końcu potraktuje jej świat jako rzeczywistość nie mniej realną niż jego własna.

Musiała być cierpliwa i czekać. Nie miała wyboru, nie mogła obejść się bez jego pomocy. Zorientowała się ku swemu zaskoczeniu i rozczarowaniu, że bardzo niewiele może zrobić bez niego. Powróciła myślą do tego, co nastąpiło po znalezieniu berła przez Maleiwę.

Kiedy Maleiwa opuścił Cieśniny Raju, dzierżąc znalezione berło, Salandra powróciła do Pincoya i opowiedziała ojcu o tym, co się zdarzyło. Maleiwa niepokoił go i chciał się dowiedzieć czegoś o tym znalezisku. Należało za wszelką cenę powstrzymać potężnego Wayua w jego dążeniu do władzy. Ojciec Salandry polecił jej udać się do Roraima, gdzie zaczęła wypytywać mistrzów i nauczycieli. Żaden nie pomógł jej. Wszyscy powtarzali, że nie mogą jej pouczyć i że musi działać samodzielnie.

Salandra nie to chciała usłyszeć. Potrzebowała konkretnych wskazówek. Potrzebowała odpowiedzi. Czyż nie wiedzieli, jakie to ważne, że nie jest już zwykłym uczniem? Owszem, wiedzieli i dlatego właśnie musi działać samodzielnie.

Wreszcie zrozpaczona weszła na szczyt *tepui*. Tam zagłębiła się w swój własny umysł, szukając w nim rady. Z początku sny były chaotyczne i pomieszane, nie mogła dopatrzyć się sensu w żadnym z nich. Niemal poddała się i powróciła już do Pincoya, kiedy Wielka Matka Rhea objawiła jej się podczas snu na jawie, snu, który nie był snem.

Nigdy coś takiego nie zdarzyło jej się wcześniej. Takie objawienia znała z mitów, istniały w legendach, ale nigdy nie przydarzyły się nikomu, kogo znała. Słyszała jedynie o tym i zawsze odbywało się to w zamierzchłych czasach. Teraz wiedziała, że legendy były prawdziwe.

Matka Rhea objawiła jej się pod postacią kobiety promieniejącej urodą i młodością. Salandra od razu wiedziała, przed kim stoi. Było to niemal nie do zniesienia, jednocześnie wiedziała, że niewiarygodna istota stojąca przed nią mogła być zaledwie częścią prawdziwej natury Wielkiej Matki.

Salandra nie byłaby w stanie znieść ani odrobiny więcej, przestałaby istnieć.

„Równowaga może ulec zachwianiu - powiedziała Matka Rhea. - Musisz odebrać berło Maleiwie, w przeciwnym razie wszystko przepadnie. Strzeż się, to jest święte berło, atrybut władzy, i nie można mu go odebrać, jeśli nie odda go z własnej woli".

„Ale jak go powstrzymać? - spytała Salandra. - Jeśli jest przedmiotem o takim znaczeniu, to nigdy mi go nie odda".

„Berło może zostać odebrane jedynie przez tego, kto miał je w przeszłości. Oto twoja odpowiedź".

Salandra zastanawiała się, co należy uczynić. Być może Matka Rhea chciała ją tylko sprawdzić. Salandra rozsądnie korzystała z dawanych jej wskazówek, ale nie pozwalała, by ograniczały ją w działaniu. Musi dowiedzieć się sama. Taka zresztą nauka płynęła między innymi z objawienia Wielkiej Matki.

Obraz nie zniknął dopóty, dopóki Salandra w swym śnie na jawie nie przeistoczyła się w sokoła, ptaka będącego jej opiekunem i jej skrzydłami. Wzleciała wysoko ponad *tepui* Roraimy, przemierzyła przestrzeń ponad zakazanymi Bagniskami i nad pustynią Wayua. Przez otwarte okno dostała się do komnaty w zamku Maleiwy. Przybrała na powrót postać kobiety, ale nie powróciła w pełni do fizycznego kształtu.

Znajdowała się w alkowie w pobliżu głównej sieni pałacu. Zatrzymała się przy otwartych drzwiach sieni, gdy usłyszała śmiech i podniesione głosy. Służba sprzątała puste nakrycia i wnosiła tace z jedzeniem.

Maleiwa siedział u szczytu stołu pośród tłumu biesiadników. Miał na sobie złotą, lśniącą tunikę. Patrzyła na jego brązową skórę, głowę pozbawioną włosów, ciemne oczy i wyraźne rysy - przypomniała jej się ich dawna przyjaźń, kiedy oboje jeszcze byli uczniami w Roraima. Chciała wejść do środka i usłyszeć wszystko, co miał do powiedzenia, przybyła tu jednak w ważnej sprawie, nie miała czasu. Odwróciła się plecami do

biesiadników i poczęła przemierzać korytarze pałacu. Musi znaleźć berło. Musi ujrzeć je znowu. Zaglądała do wszystkich pomieszczeń, bez rezultatu. Potem drzwi otworzyły się właśnie w chwili, kiedy miała przeniknąć przez nie. Wyszła z nich służąca i zamknęła je na klucz. Odwróciła się od drzwi i popatrzyła w jej stronę, zmarszczyła brwi i pokręciła głową. Potem wzruszyła ramionami i odeszła. Utalentowana - pomyślała Salandra. - Wyczuła jej obecność.

Salandra weszła do pokoju. Od razu zorientowała się, że komnata jest swoistym sanktuarium Maleiwy. Była wypełniona trofeami, wspomnieniami licznych przygód przeżytych przez wojownika. Było tam mnóstwo broni najrozmaitszego rodzaju, złote i srebrne statuetki przedstawiające postacie pół ludzi, pół zwierząt. Wypchane zwierzęta, między innymi wielki wąż pustynny i ryba o głowie niemal ludzkiej, spoglądały martwymi oczyma.

Potem dostrzegła berło. Wisiało na ścianie nad dużym stołem. Jeśli stanowiło tak potężny atrybut władzy, to dlaczego było umieszczone w tak dostępnym miejscu, obok zwykłych przedmiotów? Podeszła do ściany i położyła ręce na berle. Zazwyczaj podczas snu na jawie bez trudu mogła przemieszczać przedmioty. Teraz jednak w żaden sposób nie zdołałaby zdjąć berła ze ściany.

Niespodziewanie ujrzała obraz Maleiwy w chwili, kiedy zawieszał je w tym miejscu. Słyszała jego myśli w tamtym momencie, tak jakby mówił na głos. Wiedział, że berło jest atrybutem władzy, ale myślał o tym, że przecież już ma władzę. Przedmiot nie miał dla niego większego znaczenia, był tylko pamiątką, ciekawostką z zewnętrznego świata, choć pochodził niewątpliwie ze świata wewnętrznego.

Jednak Maleiwa zaczął rozmyślać nad powiązaniem przedmiotu i jego natury. Berło było talizmanem opieki. Zdał sobie sprawę, że z jego pomocą może przebywać wszystkie bramy wiodące do świata zewnętrznego i nikt nie zdoła go powstrzymać. Berło dawało też inną korzyść, mogło

umożliwić mu dłuższy pobyt w świecie zewnętrznym. Uśmiechnął się, jego plan był już gotów.

Salandra usłyszała wszystko. Musi odebrać berło Maleiwie i zniszczyć je, nie może dopuścić do urzeczywistnienia jego planu. Przybrała całkowicie cielesną postać. Ktoś, kto wszedłby w tej chwili do pokoju, mógłby ją zobaczyć, ale musiała spróbować. Sięgnęła po berło, uwiesiła się na nim. Nie było w żaden sposób przymocowane, ale mimo jej wysiłków ani drgnęło.

Matka Rhea miała rację. Nie mogła go zabrać, a Maleiwa nigdy go jej nie odda. Co miała zrobić?

Kiedy tylko zadała pytanie, odpowiedź sama jej się objawiła. Berło odpowiedziało jej. Ujrzała mężczyznę z zewnętrznego świata, mężczyznę, który był właścicielem berła przed Maleiwą. Był to ten sam człowiek, który porzucił je przy wejściu do Cieśnin Raju. Nie ukrywał go, odrzucał je i dlatego właśnie Maleiwa mógł panować nad nim. Wyczuła kim był ten człowiek, ale musiała się dowiedzieć o nim czegoś więcej, dużo więcej. Wtedy będzie mogła zbliżyć się do niego i powierzyć mu to niezwykłe zadanie.

* * *

Myśli Salandry powróciły do teraźniejszości. Spojrzała raz jeszcze na Jonesa i wyszła na pokład. Tak wiele zależało od niego, a tak niewiele mógł zdziałać.

Sacho stał przy drzwiach kajuty, jakby na straży. Skłonił głowę w tradycyjnym geście pozdrowienia.

– Czy wszystko w porządku, Wasza Wysokość?

Przyglądała mu się przez chwilę.

– Powiedziano mi, że zabiłeś Hansa Beitelheimera i pewnego starca. Czy to prawda?

Zaśmiał się nerwowo.

– Skądże. Zwykła iluzja. Chciałem, żeby Jones bał się mnie i żeby nie próbował uciec.

Pokiwała głową.

– Byłeś przekonujący. - Wskazała bat przypięty do jego pasa. - Do czego to służy?

Sacho dotknął bata i ruchem głowy wskazał drzwi kajuty.

– To należało do niego. To służy do bicia zwierząt, czasami także ludzi.

Musi spytać o to Jonesa. Nie potrafiła wyobrazić go sobie bijącego zwierzęta czy też ludzi.

– Pilnuj, żeby nikt mu nie przeszkadzał, dopóki nie dopłyniemy do portu. Musi wypocząć.

Znów pochylił głowę.

– Do usług, księżniczko.

Mam nadzieję - pomyślała, - Jeżeli okaże się, że nie może zaufać Sachowi, to będą poważne kłopoty.

9.

PINCOYA

We śnie Indy był znów dzieckiem i zwiedzał Egipt razem z ojcem. Przechadzali się u stóp Wielkiej Piramidy, ojciec rozmawiał z człowiekiem w płaskim kapeluszu z zawojem. Indy nie przysłuchiwał się ich rozmowie, bawił się w swoją własną zabawę. Piramidy, ubrania, język, muzyka... Wszystko było dziwne i egzotyczne. Wyobrażał sobie, że znajduje się na innej planecie i że przybył tu rakietą, tak jak w książce Juliusza Verne'a o podróży na Księżyc.

Skrzypnęły drzwi. Teraz jesteśmy wewnątrz piramidy - pomyślał. Nie, to nie ma sensu. W piramidach nie ma drzwi.

Obudził się i zaczął nasłuchiwać. Kroki. Zbliżające się. Był na statku. Ta kobieta.

– Salandra?

Zamrugał oczyma. W mroku dostrzegł sylwetkę. Ktokolwiek to był, zbliżał się do niego.

– Kto to?

Sylwetka zbliżyła się, pochyliła się nad Indym. W półmroku dostrzegł twarz.

– Ojcze, co tu robisz?

Nie odpowiedział. To nie mógł być jego ojciec. Na pewno jeszcze śnił, ale wszystko wydawało się takie rzeczywiste.

– Witaj, synu.

To był jego ojciec, ale Indy nie mógł uchwycić żadnego sensu.

– Co tu robisz? - Indy zobaczył bat w rękach ojca. - Gdzie go znalazłeś?

– Jesteś nieostrożny, synu.

Indy podniósł się, ale ręce jego ojca z szybkością i zwinnością atakującego grzechotnika owinęły bat wokół jego szyi i zacisnęły pętlę. Indy poczuł, jak bat przebija skórę na jego szyi. Chwycił ręce ojca, ale były z żelaza.

Obudzić się, obudzić się. To tylko sen. Zaczęło mu brakować powietrza, dusił się. Szarpnął gwałtownie i zarzucił koc na głowę ojca. Wyswobodził się. Łapczywie chwytając powietrze, uderzył pięścią z całej siły w przykrytą głowę i zerwał koc. Ojciec zachwiał się, Indy uderzył znowu. Ciało napastnika zwiotczało, upadł.

– Tato? Wszystko w porządku? Wpatrywał się w jego twarz, dostrzegł gęste brwi i wąskie, ciemne oczy. To nie był jego ojciec, to był Sacho. Jak mógł się tak pomylić?

Wstał, ale Sacho podciął go, usiadł na nim okrakiem. Indy dostrzegł błysk metalu, zobaczył sztylet w ręce Sacha. Nagle szybkim ruchem uniósł biodra, zrzucając go z siebie. Zerwał się na nogi, ale Sacho był tuż za nim.

– Nie, Sacho! - usłyszał krzyk Salandry. W następnej chwili Sacho upadł na podłogę z rozkrzyżowanymi ramionami, w jego karku tkwiła krótka strzała.

Salandra stała w otwartych drzwiach, trzymając w rękach coś, co przypominało kuszę. Skinęła na ludzi stojących za nią. Weszli do kabiny i wywlekli ciało Sacha.

– On żyje. Te strzały nie zabijają, jest jedynie chwilowo obezwładniony.

– A szkoda - mruknął Indy. Potarł krtań, zastanawiał się, skąd wziął się dziwny, gorzkawy smak w jego ustach.

– Nie używacie broni palnej?

– Nie działa w naszym świecie. Tutaj broń palna nie istnieje.

Indy nie zrozumiał, ale nie to było w tej chwili najistotniejsze.

– Mówiłaś chyba, że nic mi nie grozi.

– Myliłam się - odwróciła się w stronę drzwi. - Chodź na pokład, jesteśmy już prawie w porcie.

– Wróciliśmy na Chiloe? - spytał Indy z nadzieją w głosie.

– Nie, jesteśmy w Pincoya.

Dopiero kiedy wyszła, dotarło do niego to, co się naprawdę wydarzyło. Sacho był twórcą złudzeń. Najpierw wyglądał jak Beitelheimer, a potem jak jego ojciec. Indy rozpaczliwie próbował znaleźć jakieś wyjaśnienie, jakieś rozsądne wytłumaczenie tego absurdalnego świata, w którym się znalazł. Przede wszystkim jednak musiał się zorientować, dokąd przybył na tym dziwnym statku.

Kiedy znalazł się na pokładzie, spostrzegł, że mgła się rozproszyła, po raz pierwszy widział wyraźnie cały statek i wody, po których płynął.

– Musisz pokazać mi Pincoya na mapie. Nigdy nie słyszałem tej nazwy.

– Mam lepszy pomysł - odparła Salandra. - Pokażę ci miasto.

Podeszli do teleskopu umocowanego na relingu na dziobie statku. Salandra spojrzała w okular, ustawiła lunetę we właściwym kierunku.

– To jest Pincoya. Zobacz.

– Dobrze. Ale chciałbym wiedzieć... - Indy przerwał w pół zdania. To, co zobaczył przez lunetę, było wprost niewiarygodne. Słońca nie dostrzegł, ale było dostatecznie jasno i wyraźnie widział miasto, wieże i budynki. Wyglądało jednak nie tak, jak powinno. Ujrzał miasto zbudowane na wzgórzu, a budynki stały prostopadle do jego zbocza...

Uniósł głowę i spojrzał na horyzont. Widział miasto, ale wydawało mu się, że unosi się ono na powierzchni morza. Dostrzegł jakąś plamkę w pewnej odległości od miasta i skierował lunetę w tamtą stronę.

Zobaczył statek stojący na kotwicy.

– Nie rozumiem. To jakaś fatamorgana.

Salandra się zaśmiała.

– Chciałam, żebyś zobaczył Pincoya, zanim spróbuję ci coś wytłumaczyć.

– Co to za kraj? - spytał Indy.

– Pincoya. Miasto i wyspa, na której zostało wybudowane, i okoliczne wyspy. To wszystko nosi nazwę Pincoya. Witaj w naszym świecie.

Odwrócił się i popatrzył na nią.

– Jak to „naszym świecie"? Chyba nie zawiozłaś mnie na Księżyc, kiedy spałem, przecież jesteśmy oboje z tego samego świata.

– Nie, nie jesteśmy, ale pomimo to nasze światy stanowią jeden świat, to jest najważniejsze.

– Opowiedz mi o tym.

– Chętnie. Wyobraź sobie naszą planetę ze wszystkimi kontynentami. Jeżeli przetniesz ją na pół wzdłuż równika i zajrzysz do środka, to w dolnej połówce dostrzeżesz zagłębienie, a w nim kontynenty, wyspy i wielkie morze. Kiedy jesteś na tym lądzie, nie widzisz horyzontu takiego, do jakiego jesteś przyzwyczajony, a ląd z pewnej odległość wygląda, jakby był położony na boku.

– Naprawdę chcesz mi wmówić, że znajdujemy się w środku Ziemi?! - zapytał zdumiony Indy. - Jeśli tak, to przykro mi, ale ci nie wierzę!

Salandra uśmiechnęła się do niego.

– W środku Ziemi, powiadasz? Moja odpowiedź na to pytanie będzie dla ciebie jeszcze bardziej niejasna, ale dobrze: i tak, i nie.

– Masz rację - skrzywił się Indy. - To dość niejasne.

– Parę lat temu przemierzałeś dżunglę, szukając człowieka, który zaginął. Natknąłeś się na miasto i wiele dziwnych rzeczy w tym mieście.

– Skąd wiesz o tym?

– To miasto chyba nazywa się Ceiba, przypomina kraj Pincoya. Stanowimy część legendy, jesteśmy jakby ze snu. Mógłbyś nazwać nas śniącymi, których przebudzono. W gruncie rzeczy tak jest rzeczywiście.

– W takim razie ja gotów jestem się obudzić. - Dla Indy'ego ciekawsze niż jej wywody były źródła informacji, które miała na jego temat. - Skąd wiesz o Ceibie? Powiedz mi.

– Mówiłam ci, Jones, jestem detektywem. Dowiedziałam się o tobie bardzo wiele od czasu, kiedy zaczęłam się tobą interesować.

Miał ochotę zadać jej kilka pytań jednocześnie. Wciąż nie rozumiał, czym zasłużył sobie na tę przejażdżkę prosto w otchłań koszmaru i był zdecydowany dowiedzieć się tego. Zanim zdążył jednak cokolwiek powiedzieć, ich rozmowę przerwały okrzyki marynarzy.

– Jesteśmy już prawie w Pincoya - powiedziała Salandra - wrócę za parę minut.

Wpływali do zatoki, zza skały, którą opłynęli, wyłoniła się Pincoya. Ku jego uldze miasto wyglądało normalnie, wszystkie budynki wznosiły się we właściwym kierunku. Musiał przyznać, że wyjaśnienia Salandry były dość spójne.

Oczywiście nieraz słyszał rozmaite podania o krainie we wnętrzu Ziemi. Wiele dawnych mitów i legend wspominało o tym. Kiedy Gilgamesz, legendarny bohater dawnych eposów sumeryjskich i babilońskich, udał się z wizytą do swego przodka, Utanapisztima, zszedł w tym celu do wnętrza Ziemi. Również Orfeusz tam właśnie poszukiwał duszy Eurydyki. Kiedy Ulisses dotarł do krańców zachodniego świata, złożył ofiarę, dzięki której dusze przodków powstały z wnętrza Ziemi i służyły mu radą.

Pluton, znany również jako Hades, miał rządzić w świecie podziemnym, a pierwsi chrześcijanie wierzyli, że dusze potępionych były skazane na życie w otchłani znajdującej się we wnętrzu Ziemi. Dawni Egipcjanie wierzyli, że wody oceanów wpływają do świata podziemnego, który jest królestwem umarłych i lustrzanym odbiciem niebios. Niektóre plemiona Indian były przekonane, że pochodzą ze świata podziemnego.

To wszystko jednak miało niewielkie znaczenie w tej chwili. W dzisiejszych czasach - pomyślał Indy - tylko kompletni szaleńcy wierzyli w

to, że Ziemia jest pusta w środku, a jeżeli ktoś opowiadał, że zwiedzał jej wnętrze, to prędzej lub później trafiał do szpitala psychiatrycznego i zdaniem Indy'ego to było właściwe miejsce. Musiało być jakieś inne wytłumaczenie.

Wpływali do zatoki, Indy przyglądał się miastu. W przeciwieństwie do miast średniowiecznych nie było ufortyfikowane, nie dostrzegł żadnych murów chroniących przed napaścią od strony morza. Domy były ustawione gęsto obok siebie, dzięki czemu miasto zdawało się jednym wielkim budynkiem składającym się z wielu części.

– Kiedy zejdziemy na brzeg, chciałabym, żebyś spotkał się z moim ojcem - Salandra znów stanęła koło niego.

– Twój ojciec tu mieszka? Jest marynarzem?

Roześmiała się.

– Mój ojciec jest królem. Rządzi tym krajem.

Indy zaniemówił na chwilę.

– Nie wiedziałem, że podróżuję w towarzystwie księżniczki. Czy może powinienem raczej powiedzieć księżniczki z bajki?

– W zasadzie jestem czarownicą i uzdrowicielką, chyba tak to najlepiej można określić, używając waszych pojęć. Dzięki temu przeżyłeś. Kiedy moi ludzie wyciągnęli twoje ciało z wody, byłeś prawie martwy. Sprowadziłam cię z powrotem.

No proszę. Jeżeli wierzyć Salandrze, to jest ona jednocześnie prywatnym detektywem, księżniczką i znachorką. Ciekawe, czego jeszcze się dowiem. Zachował jednak dla siebie te rozważania nie pozbawione pewnego sceptycyzmu.

– Dziękuję ci - powiedział. - Bardzo się cieszę z tego, że żyję.

Statek zarzucił kotwicę w przystani. Wokół znajdowało się kilka mniejszych jednostek. Być może dla mieszkańców Chiloe *Caleuche* było statkiem widmem, ale Pincoyanie najwyraźniej nie dostrzegali w nim nic nadzwyczajnego. Indy spostrzegł również, że załoga odnosi się z wielkim

szacunkiem do Salandry co wskazywało, że przynajmniej prawdą było to, że jest księżniczką. Być może...

Zeszli do łodzi. Indy spostrzegł pojemniki z ikrą, które przeładowywano na inne szalupy.

– Po co wam te rybie wnętrzności?

Salandra usiadła obok niego.

– Z ikry wytwarza się *nalcę*, ten sam napój, który podałam ci podczas snu.

– *Nalca*? Możesz mi powiedzieć coś więcej na ten temat?

– To jest ikra ryb żyjących głęboko W wodach, pod Antarktydą, w lodowatych wodach. Każdej wiosny ryby te udają się na tarło w pobliże wyspy Chiloe.

Zbliżali się do wybrzeża.

– Widzisz - ciągnęła Salandra - ta sama substancja, dzięki której ryby nie zamarzają pod lodami Antarktydy, pozwala nam i tobie przebyć niebezpieczne granice między naszymi światami.

Znowu zaczyna - pomyślał Indy.

– A co się stanie, jeżeli nie będę pił tego twojego napoju?

– Płyny twojego ciała wyschną, osłabniesz i ulegniesz dezintegracji. Tak więc przechodząc przez bramę, musisz wypić łyk napoju i spożywać go co parę dni podczas pobytu tutaj.

Łódź dopłynęła do wybrzeża.

– Gdyby to Sacho powiedział mi o tym napoju, to myślę, że nie uwierzyłbym mu wcale. Podejrzewałbym, że chce mnie okłamać.

– Lepiej będzie, jeśli uznasz, że mówię prawdę.

Nie bardzo wiedział, w co ma wierzyć i czego się spodziewać. Pomógł Salandrze wysiąść z łodzi, udali się pieszo do miasta. Był bardzo ciekaw tego, co zobaczy, choć cokolwiek nie dowierzał słowom Salandry. Miał nadzieję, że zrozumie coś więcej, kiedy wreszcie dowie się, po co został tu sprowadzony.

Nagle zastąpiło im drogę trzech długowłosych mężczyzn w mundurach. Indy nigdy nie widział takiego ubioru. Mieli na sobie tuniki i obcisłe spodnie w srebrzystym kolorze, lśniące jak rybie łuski.

– Niezłe duszki - mruknął Indy pod nosem. - Nawet pasują do rybiej ikry.

Każdy z nich trzymał w rękach kuszę podobną do tej, którą Salandra obezwładniła Sacha. Przyglądając się jednej z nich dostrzegł rurkę, przez którą wylatywały strzały. Broń, ogólnie rzecz biorąc, wyglądała jak połączenie kuszy i wiatrówki.

– O co chodzi? - spytała Salandra ostrym głosem.

– Pójdziecie z nami - powiedział najbardziej ciemnoskóry z nich.

– Najpierw powiedzcie mi dokąd i dlaczego - odparła.

– Twój ojciec już tu nie rządzi. Uciekł do Roraima.

– Nie wierzę ci. Zejdź mi z drogi.

Salandra ruszyła do przodu, odpychając strażników. Jeden z nich chwycił ją za ramię, Indy walnął go pięścią w brzuch. Miał właśnie wymierzyć następny cios, kiedy drugi strażnik zamachnął się na niego potężnym sierpowym. Uchylił się w ostatniej chwili i pięść wylądowała na szczęce ciemnoskórego, który padł na ziemię.

– Dzięki - powiedział Indy i walnął tamtego w nos. - Do zobaczenia.

Przebiegli pod kamiennymi arkadami, wbiegli po szerokich schodach wiodących na otwarty korytarz wychodzący na rozległy plac. Indy zwolnił na moment, żeby zobaczyć jak najwięcej. Plac otaczały budynki, ale nie były to budynki z cegieł czy kamieni, lecz domy wykute w litej skale. Nagle uświadomił sobie, że całe miasto jest jedną wielką rzeźbą wykutą w masywie góry. W odległym rogu placu dostrzegł wodospad, którego wody przelewały się przez szczyt jednego z kamiennych domów, wpadając do jeziorka, z którego prawdopodobnie woda odpływała jakąś podziemną rzeką. Wokół jeziorka, a także na całym placu wznosiły się kamienne rzeźby ni to ludzi, ni zwierząt. Były wśród nich postaci mężczyzn z rogami

jelenia, skrzydlatych kobiet, postaci ludzkie o rybich i ptasich głowach. Zauważył także podwójne rzeźby - jedna niezwykła postać siedziała na grzbiecie drugiej. Pomiędzy tymi kamiennymi stworzeniami poruszali się ludzie egzotycznie ubrani, ale zupełnie normalnie wyglądający. Mieli dwie nogi, dwie ręce, głowę na ramionach.

– Szybko - krzyknęła Salandra.

Indy obejrzał się do tyłu i dostrzegł ścigających ich strażników; rzucił się pędem za Salandrą. Wbiegli w kolejny korytarz i wypadli na szerokie schody wiodące w dół. Zbiegli parę stopni, nagle Salandra zatrzymała się. Kilku uzbrojonych mężczyzn czekało na nich na dole.

Salandra zwróciła się do gromadzących się przechodniów:

– Powstrzymajcie ich. To zdrajcy.

Nikt się nie poruszył. Mężczyźni unieśli broń gotową do strzału.

– Nie strzelajcie! - krzyknęła Salandra. - Wiecie, kim jestem.

Mężczyźni stojący na dole zawahali się i opuścili kusze, ale Indy poczuł ból w nodze i zobaczył strzałę sterczącą z jego łydki. Strażnicy ścigający ich strzelali z góry. Wyrwał strzałę i w tej samej chwili zobaczył, że Salandra również usunęła strzałę ze swego boku.

– Celny strzał - powiedział, myśląc o tym, że nie zdołają już uciec.

– To się wam nie uda! - krzyknęła Salandra. - Mój ojciec... mój...

Indy zachwiał się i przyklęknął na jednym kolanie. Zobaczył, jak Salandra toczy się w dół po schodach. Chciał jej pomóc, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, były jak z gumy. Ogarnęła go ciemność, usłyszał jakieś głosy, a potem wszystko znikło.

10.

MALEIWA

Nie potrafił określić, ile czasu upłynęło, nim ciężkie drzwi kamiennej celi otworzyły się po raz pierwszy. Do tej pory jedynym urozmaiceniem jego więziennej egzystencji była miska kaszy pozbawionej smaku i dzbanek wody wsuwany przez otwór w drzwiach. Światło w celi było blade, przedostawało się przez ciasną metalową kratę w wysokim suficie, poza zasięgiem jego rąk. Nie było możliwości, by się do niej dostać, a gdyby nawet zdołał tego dokonać, to nie byłby w stanie przecisnąć się przez okienko. W celi znajdował się jeszcze jeden otwór, dziura w rogu pomieszczenia, pełniąca funkcję toalety. Urzędowały w niej szczury i karaluchy. Od czasu do czasu zasypiał na swoim legowisku, ale nigdy nie trwało to długo. Głównie przechadzał się tam i z powrotem, przemierzając bez końca przestrzeń, jaką dano mu do dyspozycji. Chciało mu się pić. Wypił wszystko, co dostał, a wciąż dokuczało mu pragnienie. Przez ostatnią godzinę walił w drzwi, wreszcie - ku jego zaskoczeniu - otworzyły się.

Dwaj strażnicy wypełnili swymi ciałami wąskie wejście, potem wkroczyli do środka. Pierwsi goście. Schwycili Indy'ego za ręce. Gdy próbował się im wyrwać, zobaczył trzeciego strażnika stojącego z kuszą gotową do strzału.

– Pójdziesz, czy mamy cię zaciągnąć? - warknął strażnik trzymający kuszę. Był to potężnie zbudowany mężczyzna o groźnym wyglądzie, szerokich ramionach, grubej skórze i gęstej czuprynie białych włosów.

Jedno z jego oczu zezowało pod dziwnym kątem, przez co wyglądał jeszcze bardziej dziko.

– Dokąd mnie zabieracie? - spytał Indy.

– Do innej celi, razem z twoją przyjaciółką.

– Nie wierzę - odrzekł.

Strażnik przyłożył mu broń do szyi.

– Nie obchodzi mnie, w co wierzysz.

Indy zrozumiał, że wszelki opór nie ma sensu. Zaprowadzili go jakimś korytarzem, potem w górę krętymi schodami. Stopami prawie nie dotykał podłogi, strażnicy trzymali go tak mocno, że niemal go nieśli.

Otworzyły się drzwi, wepchnęli go do środka. Usłyszał trzask zamykanych drzwi.

– Jones!

Salandra wstała z łóżka i objęła go mocno. Strażnik powiedział prawdę, ale co to wszystko miało oznaczać? Teraz jednak nie zastanawiał się nad tym. Czuł ciepło rozchodzące się po jego ciele. Dotyk Salandry wart był tych wszystkich godzin spędzonych samotnie w celi.

Wreszcie odsunęła się od niego.

– Jak się czujesz? - zapytała.

– Teraz już dobrze. Naprawdę umiesz leczyć.

– Czy czujesz się chory?

– Nie, tylko bardzo chce mi się pić.

Salandra podała mu swój dzbanek z wodą, Indy wypił ją do dna.

– Przepraszam, nic ci nie zostawiłem.

– Nie szkodzi. Jeszcze mamy czas - wzięła go za rękę i poprowadziła do łóżka.

– Na co mamy czas?

Salandra patrzyła na niego poważnie.

– Usiądź. Muszę ci opowiedzieć o różnych rzeczach.

– Mów - zwrócił się do niej, kiedy usiadła obok.

Znajdowali się w kolistej celi, nad ich głowami było jedno małe zakratowane okienko. Indy domyślał się, że zamknięto ich wewnątrz wieży.

– Co się stało? Nikt mi nic nie powiedział.

– Mój ojciec został zdetronizowany. Ukrywa się w Roraima.

Indy nie miał pojęcia, gdzie znajduje się Roraima, ale to nie było w tej chwili ważne.

– Kto to zrobił?

– Maleiwa. To on nasłał zdrajców.

– Kto to jest Maleiwa?

– Maleiwa jest władcą Wayua. Mój ojciec obawiał się go, obawiał się, że zwolennicy Maleiwy są również wśród nas i że kradną transporty *nalcy*. Teraz wiem, że to prawda, Sacho z pewnością był jednym ze szpiegów.

– Dlaczego Maleiwie tak zależało na rybich jajkach?

– Mówiłam ci już, że mając *nalcę* każdy może przedostać się do świata zewnętrznego. Wymaga to jednak zgody Rady Głównej, a trudno ją uzyskać. Maleiwa działa na własną rękę. Usiłuje zawrzeć pakt z jednym z najbardziej niebezpiecznych ludzi z twojego świata, a dzięki tobie dysponuje odpowiednimi narzędziami.

– Dzięki mnie? O czym ty mówisz? Przecież ja nawet nie wiem, co to jest Wayua i kto to jest Maleiwa.

Salandra przyłożyła palec do jego ust.

– Nie tak głośno. Mogą nas podsłuchiwać. Wiem, że nie możesz wszystkiego od razu zrozumieć, wiem, że trudno ci uwierzyć. Niemniej jednak powodem twojego pobytu tutaj jest... berło.

– Co za berło? - spytał, ale domyślał się już, o czym Salandra mówi. Nie mógł w to uwierzyć, miał nadzieję, że udało mu się unicestwić ten przedmiot. Wiedział też, że i jego dotyczyć może złowrogi wpływ.

Indy znajdował się wówczas w Stanach Zjednoczonych i prowadził badania malowideł naskalnych pewnego szczepu Indian. Natrafił na ślad rogu jednorożca zwanego też Berłem Jednorożca. Wyrzeźbiony był w kości

i miał srebrną rękojeść w kształcie dwóch orlich głów. Berło zostało zdobyte podczas oblężenia Konstantynopola w roku 1201 i przez kilkaset lat znajdowało się w katedrze św. Marka w Wenecji. Następnie dostało się w ręce pewnej angielskiej rodziny, która przeniosła się do Ameryki. Wszystkich posiadaczy berła spotykało wielkie szczęście, ale przeżywali także wielkie niepowodzenia. Wreszcie ukryto je w indiańskich ruinach i tam Indy je odnalazł.

– To przedmiot, który pozostawiłeś przy wejściu do Cieśnin Raju - powiedziała Salandra.

Tak jakby to cokolwiek wyjaśniało - pomyślał Indy. Nie wierzył w to, że przedmiot ten odznaczał się jakimiś szczególnymi właściwościami, lecz po serii wypadków, kiedy to niemal cudem uniknął śmierci, postanowił umieścić berło z powrotem tam, gdzie je znalazł. Nie było sensu kusić losu, zwłaszcza że chodziło o jego własny los. Nie wiedział jednak nic o żadnych cieśninach.

– Pozostawiłem berło z kości w szczelinie skalnej w Novenweep w stanie Utah.

– Wiem - powiedziała Salandra - a potem spowodowałeś eksplozję, która zamknęła wejście.

– Tak, dynamitem - potwierdził Indy - ale skąd...

– Widziałam to... od wewnątrz. Śledziłam Maleiwę i widziałam, jak znalazł Berło Jednorożca.

Indy nie wiedział, co ma o tym myśleć. Wyglądało na to, że dziewczyna wie o nim wszystko.

– Tak więc ten cały Maleiwa ma berło i chce zawrzeć pakt. Ale z kim?

– Z człowiekiem o nazwisku Hitler. Jego ludzie mówią o sobie...

– Naziści - przerwał Indy - słyszałem o nich. To banda awanturników, a cała ta historia nie potrwa długo. Hitler prawdopodobnie skończy u czubków.

– Nie bądź tego taki pewien. Stąd wiele rzeczy widać wyraźniej. Wkrótce Hitler stanie się najpotężniejszym człowiekiem w twoim świecie.

– Dobrze - Indy słyszał już takie opinie, chociaż osobiście sądził, że nie ma czego się obawiać - ale o jakim pakcie mówisz?

– Maleiwa chce, żeby naukowcy z zewnętrznego świata stworzyli substancję, która będzie mogła zastąpić *nalcę*. Chodzi tu o duże i ciągłe dostawy, tak żeby można było do waszego świata wprowadzić armię.

– Hitler jest stuknięty, ale nie jest głupi - powiedział Indy. - Co on z tego będzie miał?

– To proste. Maleiwa da mu berło, dzięki czemu Hitler stanie się bardzo potężny w krótkim czasie, znacznie prędzej, niż gdyby go nie miał. Nic nie będzie go w stanie powstrzymać, przynajmniej do momentu gdy Maleiwa go pokona, a taki w ostatecznym rozrachunku jest jego zamysł.

Indy pomyślał, że plan ten brzmi całkiem sensownie. Nieraz już bywało, że z wojowniczym przywódcą sprzymierzał się ktoś potężny, kto sam potem przejmował władzę. Na przykład upadek imperium Inków. Kiedy pojawił się Pizarro, w kraju panował chaos, dwaj bracia walczyli o władzę. Jeden z nich przyjął pomoc tajemniczego wojownika przybyłego z innego kontynentu. Wkrótce Pizarro obrócił się przeciw Atahualpie, swemu sprzymierzeńcowi, pojmał go i zażądał niezwykle wysokiego okupu, a potem zabił go, kiedy okup został zapłacony.

– Czy Maleiwa spotkał się z Hitlerem?

– Jeszcze nie. Korzystał z pośrednika, Hansa Beitelheimera. Beitelheimer opowiedział Hitlerowi o święcie wewnętrznym i obiecał mu berło.

– Beitelheimer?

Kiwnęła głową.

– Owszem. Człowiek, którego szukaliście. Beitelheimer nie dotrzymał obietnicy danej Maleiwie. Miał zabrać Hitlera do świata wewnętrznego na spotkanie z Maleiwą. Zamiast tego Beitelheimer ukrył się w lasach na

Chiloe. Maleiwa nie zapomniał o nim i jego ludzie dostali go w swoje ręce, zanim ty i Brody przybyliście na wyspę.

– A teraz Beitelheimer nie żyje. Cóż więc to wszystko ma wspólnego ze mną?

– Nie rozumiesz? Istnieją siły, które działają w obu światach. Z pozoru wygląda to na zbieg okoliczności, wszystko ma jednak głębszy sens i zachowany jest określony porządek. Tak właśnie postępuje Wielka Matka.

– Wielka Matka. No tak.

– Spróbuję ująć to inaczej. Twoje powiązanie z Berłem Jednorożca i z Beitelheimerem, który był z kolei powiązany z Maleiwą, nie jest przypadkowe.

– Dobrze, ale co to znaczy?

– To znaczy, że jesteś jedyną osobą, która może odebrać berło Maleiwie.

Indy się roześmiał.

– Nic z tego nie rozumiem.

Salandra dotknęła jego ręki.

– Uwierz mi, gdyby był inny sposób, zrobiłabym to. Próbowałam i nie zdołałam osiągnąć niczego, lecz przy tej okazji dowiedziałam się o tobie. Berło wskazało mi ciebie.

– Podejrzewam, że wierzysz również w jednorożca - mruknął Indy.

– Oczywiście. To nie jest kwestia wiary, one naprawdę istnieją. Jednorożce pochodzą właśnie z tego świata. Tu też ma swoje źródło większość waszych mitów i legend.

– Szkoda, że nie zostałem na Wyspie Wielkanocnej. Powiedz mi coś, co można sprawdzić, co da się udowodnić.

– Tak, właśnie o tym miałam mówić. Potrzebujesz *nalcy* i to szybko. Zostało ci niewiele czasu.

Na Indym nie zrobiło to większego wrażenia.

– Odkąd nas uwięziono, nie dostałem ani trochę tej *nalcy* i czuję się zupełnie nieźle.

– Jones, dawali ci *nalcę* w jedzeniu. Trzy dni temu Maleiwa rozkazał, aby tego zaprzestano i dlatego właśnie tu jesteś. On chce, Ażebym patrzyła na to, co się z tobą stanie.

Indy się uśmiechnął.

– Będziesz się przyglądać, jak zacznę schnąć niczym jesienny liść.

– Nie żartuję. Jest jeszcze coś więcej.

– Cóż jeszcze może mnie spotkać - spytał śmiejąc się. Potarł przedramię palcami. Skóra była wysuszona. Zdał sobie sprawę, że zaschło mu w gardle. To nic - pomyślał - efekt sugestii, wyobraźni.

– Otóż jeśli nie dostaniesz *nalcy*, to nie czeka cię śmierć, przynajmniej w dosłownym znaczeniu. Twoje dało na nowo ożyje w Krainie Zagubionych. To miejsce pomiędzy światami. Bardzo paskudne miejsce. Kiedy się tam dostaniesz, nie masz możliwości ucieczki.

– Yhm.

Rysy jej twarzy stwardniały nieco, a głos - chociaż pozbawiony gniewu - stał się ostrzejszy i konkretny.

– Posłuchaj, Jones. Doceniam twój sceptycyzm, nawet go podziwiam. Zechciej jednak oszczędzić mi tej ironii, nie mam na to czasu.

– Posłuchaj, księżniczko, ja tylko chciałbym się stąd wydostać - wstał i przeszedł się po celi. Bolały go stawy. Oparł się ramieniem o drewniane drzwi, ale nie drgnęły. Nacisnął mocniej, bez skutku.

– Zachowuj się spokojnie - powiedziała Salandra - nie nadużywaj swoich sił, nie pozostało ich wiele. Jeden ze strażników chce nam pomóc, ale na to potrzeba czasu.

Czas, czas, czas - pomyślał Indy.

– Powiedziałam mu, gdzie może zdobyć *nalcę*. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to wkrótce tu będzie.

– A jeśli wszystko nie pójdzie dobrze?

Nie odpowiedziała.

Indy błyskawicznie rozważył rozmaite możliwości. Być może strażnik kłamał. Być może zachowywał się w przyjazny sposób po to, by Salandra zdradziła, skąd wziąć ową cenną *nalcę*. Możliwe, że Salandra padła ofiarą podstępu, a on sam był przynętą.

– Posłuchaj! - szepnęła Salandra. Dźwięk kroków. Wizjer w drzwiach otworzył się na moment, błysnęło w nim oko i wizjer się zamknął.

– Czy to on?

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem.

Usłyszeli brzęk kluczy, skrzypienie zawiasów. Drzwi się otworzyły.

Niezwykle wysoki mężczyzna wszedł do celi. Miał brązową skórę i głowę ogoloną na łyso. Ubrany był w długą, jasnobłękitną tunikę sięgającą połowy uda, przepasaną szeroką taśmą z czarnego materiału. Jego muskularne nogi nie były niczym okryte.

– Maleiwa! - w głosie Salandry brzmiało zaskoczenie.

Kiedy przemówił do niej, jego czarne oczy błyszczały.

– Już dawno temu trzeba było mnie posłuchać Salandro. Mówiłem ci, że moim przeznaczeniem jest rządzić światem i zmienić kształt zarówno naszego świata... jak i jego świata. Ale dla ciebie jeszcze nie jest za późno, Salandro. Przyłącz się do mnie. Twoje umiejętności będą przydatne na zewnątrz.

– Daj Jonesowi *nalcy* i to natychmiast! - zażądała.

Maleiwa się roześmiał.

– Nie ma mowy.

Jedynym słowem, które Indy zrozumiał z tej wymiany zdań, było jego nazwisko i słowo *nalca*, ale pojmował jej ogólny sens.

– Z jakiej racji ktokolwiek miałby ciebie posłuchać? - zapytała Salandra. - Powiedzą, że jesteś zwykłym szaleńcem, jeśli powiesz im, kim jesteś.

– Nie byłbym, tego taki pewien - odrzekł Maleiwa, wpatrując się w nią. - Czy wiedziałaś o tym, że mój ojciec przed śmiercią nawiązał kontakt?

Powiem ci, co ludzie z zewnątrz mówili o nim.

Salandra nie odpowiedziała. Odwróciła się do Jonesa i przetłumaczyła mu słowa Maleiwy.

– Możemy rozmawiać w jego języku - rzekł Maleiwa tym samym dziwnym angielskim, którym porozumiewała się z Jonesem Salandra. Zwrócił się do Indy'ego:

– Salandra i ja studiowaliśmy w swoim czasie obyczaje twojego ludu, miałem jednak bardzo ograniczoną możliwość pobytu na zewnątrz. Ojciec Salandry jest odpowiedzialny za zamknięcie bram przed moim ojcem - po nawiązaniu przez niego kontaktu - oraz za narzucenie restrykcji na wszystkich mieszkańców Wayua.

– To była decyzja Rady Głównej, a nie mojego ojca.

– Tak, ale za jego sprawą.

Indy'emu nagle przyszło coś do głowy. Maleiwa wybierał się do jego świata i pomimo ostrzeżeń Salandry mogła to być jakaś szansa.

– Może chcesz zabrać mnie ze sobą? - powiedział chrapliwym głosem. - Pokażę ci Nowy Jork. Spodoba ci się tam, jestem tego pewien.

– Jones, nie wiesz co mówisz! krzyknęła Salandra.

Maleiwa spojrzał na nią gniewnie, a potem uśmiechnął się do Indy'ego.

– Profesorze Jones, pan nie rozumie.

– Ależ przeciwnie, rozumiem. Chce pan jechać do Niemiec i zawrzeć ugodę. Po co zawracać sobie głowę Hitlerem? On do niczego nie dojdzie. Jestem pewien, że prezydent mojego kraju będzie zachwycony, mogąc nawiązać stosunki z waszym światem. Czy był pan kiedyś w Waszyngtonie? Czy widział pan kiedyś...

Indy paplał bez sensu w nadziei, że uda mu się zainteresować czymś rozmówcę, ale Maleiwa nie dał się oszukać. Złapał Indy'ego za kołnierz.

– ...grób generała Granta, pomnik Waszyngtona? - dokończył Indy.

– Nie traktujesz mnie poważnie. Myślisz, że jestem małpą, którą możesz pokazywać w jednym z waszych cyrków. Nie wiesz, kim jestem.

Maleiwa sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął z niej poskładany kawałek papieru. Podał go Indy'emu.

– Przeczytaj to. Autorem jest człowiek, który założył organizację znaną w waszym świecie pod nazwą Złotej Jutrzenki. Nie tylko wiedział o istnieniu świata wewnętrznego, ale szukał kontaktu z nami. Te słowa napisał po paru spotkaniach z moim ojcem i jego ludźmi.

Indy rozłożył kartkę. List adresowany był do członków Zakonu Drugiego i datowany na rok 1896, podpisany przez Samuela Mathersa. Zaczął czytać na głos:

„Jeśli chodzi o Tajemnych Wodzów, z którymi jestem w kontakcie i od których otrzymałem mądrość Zakonu Drugiego, nic wam powiedzieć nie mogę. Nie znam nawet ich ziemskich imion i rzadko widziałem ich w cielesnej postaci. Spotykali się ze mną o czasie i w miejscu ustalonym z góry. Ze swej strony wierzę, że ludzkie istoty żyją wewnątrz tej Ziemi, obdarzone są jednak strasznymi i nadludzkimi potęgami.

Moje cielesne spotkanie z nimi ukazało, jak trudno jest śmiertelnemu, choćby był „wtajemniczony", znieść ich obecność. Nie chcę przez to powiedzieć, że podczas moich rzadkich spotkań z nimi doświadczyłem uczucia intensywnej depresji fizycznej towarzyszącej utracie magnetyzmu. Wręcz przeciwnie, czułem się, jakbym miał do czynienia z siłą tak okrutną, że mogę ją porównać jedynie ze wstrząsem, jakiego doznałby ktoś, kto znalazłby się w pobliżu miejsca, gdzie uderzył piorun podczas wielkiej burzy. Doświadczałem też takiej samej trudności w oddychaniu".

Indy przerwał i złożył kartkę. Wywody Mathersa nie zrobiły na nim większego znaczenia. Słyszał o Zakonie Złotej Jutrzenki i uważał ich za gromadę opętańców.

Nagle znalazłem się w samym środku tego opętania - pomyślał, oddając list Maleiwie.

– Ja nie odczuwam reakcji, o której pisał Mathers w związku z pana ojcem.

– Dlatego, że znajdujesz się w naszym świecie. Zapewniam cię, że na zewnątrz moja obecność byłaby równie intensywnie odczuwana. O tym jednak nie obędziesz miał okazji się przekonać. Nie zostało ci wiele czasu. Kiedy odejdziesz, również plany Salandry obrócą się wniwecz, Wówczas osobiście złożę wizytę twojemu światu i człowiekowi, który będzie moim sprzymierzeńcem.

– Co ty wiesz o moich planach? - żachnęła się Salandra.

– Mam swoich szpiegów. Wiem, że śledziłaś mnie i że donosiłaś ojcu o moich poczynaniach. Wiem też, że chciałaś użyć tego głupca, by ukradł mi berło.

– Czy nie zdajesz sobie sprawy z konsekwencji tego, co zamierzasz zrobić? - powiedziała. - Doprowadzisz oba nasze światy do chaosu.

– Salandro, spędziłem wiele lat mojego życia, przygotowując się do spotkania światów. Jestem świadom tego, że zginą miliony ludzi, ale czas już, aby mieszkańcy obu światów przebudzili się. Ich sen trwał zbyt długo.

– Myślę, że postradaliście zmysły - powiedział Indy. - Oboje. Nie wierzę ani jednemu waszemu słowu.

Maleiwa nie zwrócił na niego uwagi.

– Wrócę, kiedy obejrzysz odejście twego przyjaciela do Krainy Zagubionych. Potem zabiorę cię ze sobą na zewnątrz i albo będziesz współpracować ze mną, albo pójdziesz w zapomnienie śladem Jonesa.

11.

UCIECZKA Z PINCOYA

– Posłuchaj, nie chciałem cię obrazić - wychrypiał Indy, kiedy Maleiwa odszedł. - Wcale tak naprawdę nie uważam, że oszalałaś. Być może ja oszalałem.

Salandra siedziała na podłodze z ramiona oplecionymi wokół kolan.

– Nie przepraszaj. Nie trzeba. - Uniosła głowę i dodała: - Przywiozłam cię tu wbrew twojej woli, a to stanowi pogwałcenie pierwszego z naszych praw. Nie jestem lepsza niż Maleiwa. Zasługuję na ten sam los, który on zgotował tobie.

Indy usiadł ciężko na łóżku. Nie czul się najlepiej. Dokuczało mu pragnienie, z każdą chwilą coraz mocniejsze.

Minęło kilka minut. Nagle drzwi do celi znów zaskrzypiały. Tym razem był to ów potężnie zbudowany strażnik z białą czupryną i zezowatym okiem. Wygląda jak ludożerca, któremu obiad uciekł z garnka - pomyślał Indy i zaczął się zastanawiać, czy nie przyszedł on tutaj po to, żeby powetować sobie tę stratę.

Ku jego zaskoczeniu olbrzym stanął z boku i zza jego pleców wyłonił się mężczyzna niemal dwa razy niższy od niego. Niósł tacę, na której stały dwie pełne czarki. Postawił ją na ziemi i spojrzał pytająco na Salandrę.

Strażnik z *nalcą* - pomyślał Indy. A więc jednak przyszedł. Niższy mężczyzna skierował się do wyjścia, ale olbrzym złapał go za kark i zmiażdżył jego głowę, uderzając nią o ścianę. Strażnik runął na ziemię.

– Masz! - olbrzym podszedł do Indy'ego i podał mu naczynie w wyciągniętej ręce. - Pij. Teraz. Szybko.

Indy spojrzał najpierw na niego, a potem na naczynie. Zdjął przykrywkę i wypił do dna. już nic nie mogło go zaskoczyć.

Salandra odebrała mu naczynie.

– Chodźmy. Musimy iść.

Biegli za strażnikiem kręconymi schodami, potem nagle znaleźli się w kolistym pomieszczeniu, w którym znajdowało się kilku długowłosych strażników odzianych w srebrzyste szaty. Ich monstrualny sprzymierzeniec chwycił dwóch z nich i roztrzaskał im głowy, uderzając jedną o drugą. Zwalili się na podłogę, wtedy złapał kolejnego strażnika i zmiażdżył jego twarz kolanem.

Jeden z mężczyzn rzucił się do drzwi, ale Indy chwycił go z tyłu, potoczyli się po podłodze. Indy chwycił go za kołnierz i właśnie miał uderzyć, kiedy zobaczył na jego głowie swój kapelusz. Trzasnął strażnika w twarz, tamten stracił przytomność. Indy chwycił kapelusz i nacisnął na głowę.

Już czuję się lepiej - pomyślał.

Kolejny strażnik skoczył Indy'emu do gardła i zaczął go dusić. Indy już myślał, że jego krtań pęknie, kiedy na głowie napastnika roztrzaskało się krzesło i dołączył on do swych towarzyszy spoczywających na podłodze.

Indy spojrzał w stronę Salandry ściskającej w dłoniach resztki krzesła.

– Dzięki - rozejrzał się dokoła. W ręku jednego z leżących zobaczył swój bicz. - To a niepotrzebne, a mi się przyda.

Białowłosy olbrzym otworzył drzwi wiodące na zewnątrz.

– Szybko - ponaglił ich. - Dacie radę.

– A co z tobą? - spytała Salandra.

– Ja sobie poradzę. Nie upadaj na duchu. Twój ojciec zwycięży. - Zwrócił się do Indy’ego: - Trzymaj się blisko Salandry. Będzie ci tak samo potrzebna, jak ty jej.

Pchnął ich do drzwi.

– Idźcie!

Salandra i Indy wybiegli na otwarty korytarz wychodzący na wielki plac.

– Dokąd teraz? - spytał indy, pocierając kark.

– Tędy.

Zbiegali po szerokich schodach. Przebiegli obok posągów, pędzili prosto w stronę wodospadu. Plusk wody brzmiał dziwnie melodyjnie, falujące dźwięki otoczyły ich jak eteryczna mgła.

– Co my tu robimy?! - wrzasnął Indy, starając się przekrzyczeć szum wody. Pora nie była najodpowiedniejsza na zwiedzanie okolicy.

Salandra przymocowała bukłak do paska. Sprawdziła węzeł i rzuciła przez ramię:

– Już idą! Skacz! - krzyknęła.

– Co takiego? Nigdzie nie skaczę. Czyś ty oszalała?

Kilkunastu ludzi w uniformach biegło w ich stronę, z kuszami uniesionymi i gotowymi do strzału. Chwyciła go za rękę, pchnęła do wody i skoczyła za nim.

Lecieli we mgle i pośród kropelek wody, spadali i spadali. Salandra mocno trzymała go za rękę, ale on jej nie widział, nie widział w ogóle nic. Pomyślał, że będą tak spadać bez końca, ale po chwili uświadomił sobie, że nie spadają już, lecz pędzą z prądem wzburzonych wód podziemnej rzeki. Prąd niósł ich ze sobą i wpychał pod powierzchnię wody, walczyli o każdy oddech.

Kiedy już niemal zabrakło im tchu, nagle wypłynęli i zanim zdążyli nabrać powietrza w płuca, woda wypchnęła ich na kamienną i śliską płaszczyznę znajdującą się kilkanaście centymetrów pod wodą, po której mknęli z oszałamiającą prędkością. Indy czuł, że prąd zamiast zwalniać, jest coraz silniejszy i szybszy. Spodziewał się, że w każdej chwili mogą roztrzaskać się o głaz lub ścianę skalną. Nic jednak nie stanęło na ich drodze. Nagle poczuli, że dno, którego dotykali stopami, choć nie stanowiło

żadnego oparcia, gdzieś zniknęło. Tak jakby dno świata nagle odpadło. Indy runął w otchłań głową do przodu, nie czuł już uścisku ręki Salandry. Znów pogrążył się w wodzie. Machał rękami i nogami, aż wypłynął na powierzchnię i łapczywie zaczerpnął powietrza.

– Salandra! Zawołał ją po imieniu. Głos odbijał się echem od kamiennej ściany. Tu było jakoś inaczej. Ależ tak, oczywiście: woda była spokojna. Znajdował się w stawie, w jeziorze, może w podziemnym oceanie, tego nie wiedział.

– Salandra! - krzyknął znowu.

– Indy! Wszystko w porządku... porządku... porządku?

Jej zwielokrotniony przez echo głos brzmiał jednak gdzieś blisko.

– Żyjesz... żyjesz... żyjesz! - odpowiedział.

– Chyba tak... tak,,, tak.

Pływał w koło, szukając jej. Przez chwilę pozwolił nieść się falom, znów wyciągnął rękę i napotkał jej ramię.

– Jakie niezwykłe echo... echo... echo...

Roześmiał się. Czuł zawrót głowy. Przeżyli upadek. Oboje. Śmiali się histerycznie, ich śmiech odbijał się zwielokrotnionym echem. - Dom strachów, jak w wesołym miasteczku - pomyślał.

– Płyńmy... płyńmy... płyńmy.

– W którą stronę?... stronę?... stronę?...

– Którąkolwiek... kolwiek... kolwiek... - odpowiedział.

Nagle woda wokół nich zaczęła kipieć, podnosić się i opadać.

– Co do... do...

Salandra krzyknęła. Indy poczuł, że coś otarło się o niego, dotknął ręką oślizgłej, gumiastej powierzchni. Coś owinęło się wokół jego nóg. O mało nie wyskoczył ze skóry, tak się przeraził. Salandra zniknęła pod powierzchnią, potem wypłynęła na chwilę.

– Indy, to mnie złapało... złapało...

Ryby nie chwytają, raczej gryzą, nie było jednak czasu na kłótnie. Nagle coś złapało go za nogę i pociągnęło w dół. Indy sięgnął do kostki i wyczuł owiniętą wokół niej mackę.

– To chyba jest - to wciągnęło go pod powierzchnię, potrzymało chwilę, potem puściło - ośmiornica,,, - dokończył. Salandra znów zniknęła pod wodą, a kiedy się wyłoniła, przyszła kolej na Indy'ego. Bawiła się z nimi jak kot z myszą.

Znienacka między nimi pojawiło się potężne cielsko w kształcie grzyba. Oko rozmiarów piłki futbolowej wpatrywało się w Indy'ego. Walnął w nie pięścią z całej siły, jego ręka aż po łokieć zapadła się w galaretowatą masę przypominającą w dotyku ciepłe błoto. Zanim zdążył uderzyć powtórnie, potwór zaczął rzucać się na wszystkie strony, wydając wysoki i skrzekliwy dźwięk. Indy został wyrzucony w górę z taką siłą, że spadając uderzył o powierzchnię wody jak płaski kamień.

Wylądował na kolanach w płytkiej wodzie. Zawołał Salandrę, ale na jego krzyk odpowiedział ten sam straszliwy jęk odbijający się wokół. Nie potrafił stwierdzić, gdzie znajduje się to stworzenie i jak daleko od niego. Poczuł ruch wody tuż obok siebie. Coś złapało go za ramię i potrząsnęło nim.

– Jones - szepnęła Salandra - to ja.

Przycisnął ją do siebie.

– Co ty zrobiłeś temu stworzeniu? - spytała.

– Rąbnąłem w oko.

– Chyba dałeś mu niezłą nauczkę. Wyglądało jak dokazujący dzieciak - powiedziała.

– Też tak sobie pomyślałem. Miejmy nadzieję, że nie poszło po mamusię.

Postąpili kilka kroków do przodu. Woda sięgała im do kolan i wydawało się, że jest coraz płyciej.

– Jones! - w głosie Salandry brzmiało przerażenie. - Czuję coś miękkiego.

– Mam nadzieję, że nie stoimy na głowie mamusi.

Salandra wydała stłumiony krzyk.

– Coś pełznie mi po ramieniu.

– Pewnie tylko wodorosty. Też to czuję - wyciągnął rękę, dotknął jej ramienia i przesunął palcami wzdłuż jej ręki. Natrafił na coś miękkiego i mokrego. Było płaskie i szersze niż jego dłoń. Chwycił za brzeg i pociągnął. Przysunął to coś do twarzy, żeby się przyjrzeć.

– To tylko pijawka. Ale duża.

– Tu jest jeszcze jedna - powiedziała - na mojej nodze. Nie, dwie.

Przesunął rękami wzdłuż nóg i ramion, zaczął odrywać pijawki jedną po drugiej.

– Och, jest ich pełno, cała jestem nimi pokryta! - krzyknęła Salandra. - Uciekajmy stąd! Szybko! Widzę brzeg - pobiegła do przodu, znikając w ciemnościach.

– Zaczekaj chwilę... chwilę - zawołał Indy. Pobiegł na oślep w tę samą stronę... On nie widział żadnego brzegu.

– Tutaj... tutaj - głos Salandry dochodził ze wszystkich stron naraz. - Idź do przodu... przodu - powiedziała.

Indy usiłował biec przed siebie, poziom wody opadł do jego kostek. Nagle i niespodziewanie stanął na powierzchni skalnej nie pokrytej wodą, poczuł także pod stopami coś innego: ubranie Salandry ciśnięte na ziemię.

– Chyba wyskoczyłaś z ubrania - powiedział i roześmiał się.

– Nie ma w tym nic śmiesznego. Czy mógłbyś mi ją zdjąć z pleców. Proszę cię.

Wyciągnął rękę, dotknął jej mokrych włosów, potem natrafił na pijawkę. Ostrożnie oderwał ją i cisnął do wody. Zdjął ubranie i zaczął odrywać pijawki z własnego dała. Nie było czasu na wstyd, panowała zresztą taka ciemność, że nie miało to większego znaczenia. Z trudem dostrzegał własną

dłoń. Kiedy był już pewien, że oderwał wszystkie, namacał ubranie i wycisnął z niego wodę. Słyszał, że Salandra robi to samo.

Tak bardzo zajęci byli pijawkami, że zupełnie zapomnieli o tym drugim wodnym stworzeniu.

– Ta ośmiornica nie wyglądała na zachwyconą, kiedy się żegnaliśmy.

– Szczęście, że wyszliśmy z tego żywi. Niestety, nie jesteśmy w najlepszej sytuacji. Znajdujemy się wewnątrz Minhocoa.

– A co to albo kto to?

– Wielki wąż.

– Co?!

– Pincoyę wybudowano wokół wodospadu, o którym nasze legendy powiadają, że jest to wodopój gigantycznego węża, który pilnuje przejścia pomiędzy światami. W dawnych czasach składano ofiary z ludzi i wielu niewinnych wrzucano do wodospadu i do paszczy węża.

– Nie lubię węży, zwłaszcza od środka - powiedział Indy.

– Nie bierz tej legendy tak dosłownie.

Słuszna uwaga. Księżniczka z bajki o świecie wewnętrznym mówi mi, żebym nie brał legend zbyt dosłownie - pomyślał.

– Ale w tej historii jest ziarno prawdy - ciągnęła.

– Zwykle tak bywa.

– Widzisz, ojciec kiedyś wyjaśnił mi, że legendę tę rozpowszechniono po to, by zniechęcić ludzi do przemierzania tych podziemnych korytarzy wiodących do świata zewnętrznego.

– Chcesz przez to powiedzieć, że możemy tędy dostać się do prawdziwego świata? - mówił powoli, starając się, by nie dać się ponieść niespodziewanej radości.

– Prawdziwego?

– Wiesz, co mam na myśli. Do mojego świata.

– Jeżeli zdołamy tam dotrzeć. Problem polega na tym, że Minhocoa znajduje się między naszymi światami, to jakby świat pośredni. Nie

możemy dostać się do twojego świata, nie przechodząc przez jego żołądek.

– Żołądek? - przez moment wyobraził sobie siebie połkniętego przez mitycznego węża oraz proces trawienia. - Czy dobrze usłyszałem? Żołądek?

– Według legendy żołądkiem Minhocoa jest miejsce, o którym już słyszałeś, Kraina Zagubionych.

12.

JASKINIA W JASKINI

Za wszelką cenę - myślał Indy - za wszelką cenę musi dostać się gdziekolwiek, gdzie będzie się czuł choćby w przybliżeniu tak, jak w świecie, do którego się przyzwyczaił. Jego świat był światem niezwykle urozmaiconym. Nigdy jednak nie widział nic, co dałoby się porównać z zadziwiającymi rzeczami, jakie przydarzyły mu się w ostatnim okresie. Nie był w stanie nawet powiedzieć, ile dni minęło od czasu, gdy został porwany z Chiloe. Teraz to było jednakże najmniej ważne.

– Sądzisz, że jesteśmy na wyspie?

– Nie, to występ lądu, rodzaj półwyspu. Idąc w tamtą stronę, znajdziemy się na stałym lądzie.

– Skąd wiesz? - zdziwił się Indy. - Byłaś tu już kiedyś?

– Mówię ci tylko to, co widzę.

– Kpisz sobie? Ja nie widzę nic.

– Nie jest tak ciemno, przynajmniej dla mnie. Tylko że moje oczy są inne niż twoje, są bardziej czułe na światło.

– O do licha - Indy chwycił mokre ubranie, odwrócił się i zaczął się ubierać.

Roześmiała się.

– Przepraszam. Sądziłam, że wiesz. Trzeba już iść.

– Myślę, że czasami warto być mieszkańcem twojego świata, przynajmniej w ciemności. - To powiedziawszy, uświadomił sobie, że

odkąd opuścili Chiloe, ani razu nie widział słońca. Przez cały czas było ciemno albo rozciągała się mgła, zarówno na statku, jak i w mieście.

– Jeżeli mieszkacie wewnątrz Ziemi, jak mówiłaś, to skąd bierze się światło?

– Oczywiście nie ma tutaj słońca. Jest natomiast rodzaj oświetlenia, który wygląda jak nieustający świt w waszym świecie.

Wytłumaczyła mu, że zjawisko to wynika z interakcji zachodzącej między polem magnetycznym Ziemi i strumieniami naładowanych cząsteczek dobywających się z jądra planety.

– Jest to zjawisko porównywalne z waszą zorzą polarną.

– Co wszystko tłumaczy - mruknął, przypominając sobie nie kończące się spory o istotę zjawiska zorzy polarnej.

– Oczywiście również atmosfera jest inna - powiedziała - właśnie dlatego dopóki tu jesteś, dopóty musisz co jakiś czas zażywać *nalcę*, tak jak ja jej potrzebuję, kiedy jestem na zewnątrz.

Zastanawiał się nad jej słowami i uświadomił sobie, że za wszelka cenę pragnie przyłapać ją na jakiejś nieścisłości.

– Skoro nie ma słońca, Salandro, to dlaczego mówiłaś, że *nalcę* należy zażywać co parę dni? Czy możecie mówić o godzinach?

Uśmiechnęła się, jej szmaragdowe oczy zrobiły się jakby większe.

– To prawda, że nie mamy słońca, które prowadzi was po waszym świecie. Niemniej jednak dysponujemy rodzajem wewnętrznego zegara, według którego dzień trwa dwadzieścia pięć godzin. Już trzyletnie dzieci mogą intuicyjnie określić czas z dokładnością do minuty lub dwóch. W każdym dniu obowiązuje umowny okres przeznaczony na odpoczynek. Rozumiesz?

– Mniej więcej. To znaczy wszyscy śpią o tej samej porze?

– Oczywiście, że nie. Podobnie jak u was, nikt nie musi spać w nocy, jeśli nie ma ochoty.

Ma odpowiedź na wszystko - pomyślał.

– Chodźmy. Będę szedł za tobą, bo ty masz oczy. Właściwie moglibyśmy przewiązać się moim batem, wtedy nie odejdziesz zbyt daleko do przodu.

– Zapomniałeś o kapeluszu - powiedziała, kiedy byli już obwiązani.

– Dotknął odkrytej głowy, pochylił się i zaczął obmacywać kamienie.

– Na lewo - wskazała Salandra.

Chwycił fedorę i wcisnął ją na głowę. Ruszyli. Nie uszli zbyt daleko, kiedy Indy zaczął odczuwać coś dziwnego pomiędzy oczami. Uniósł kapelusz i wymacał pijawkę zsuwającą się z czoła na nos. Odrzucił ją na bok, nie zwalniając kroku.

Idąc tak, wciąż rozmyślał o tajemniczej Salandrze i świecie wewnętrznym. Polubił tę dziewczynę, nawet bardzo i naprawdę nie sądził, by chciała go okłamać. Musiało w tym być coś innego, coś czego wciąż jeszcze nie był w stanie pojąć.

Światło. Tego brakowało Indy'emu bardziej niż czegokolwiek innego. Całkowita ciemność sprawiała, że wokół siebie nie dostrzegał absolutnie nic. Nie miał zupełnie pojęcia o kierunkach. Gdyby nie lekko napięty bicz pomiędzy nimi, prawdopodobnie dawno już spadliby w jakąś przepaść.

Nagle Salandra zatrzymała się i Indy wpadł na nią. Poślizgnął się, potknął o własną stopę. Chwyciła go za ramię i roześmiała się.

– Wszystko w porządku. Jesteśmy już daleko od urwiska, ale wkrótce znowu będziemy się wspinać.

– Wkrótce? Miałem wrażenie, że robiliśmy to przez cały czas - powiedział Indy.

– Tak, ale chodzi teraz o prawdziwą wspinaczkę. Przed nami znajduje się góra.

Indy wbił wzrok w ciemność i potrząsnął po chwili głową. Jego oczy widziały gruby czarny koc...

– Wiesz mniej więcej, jak może wyglądać ten brzuch Minhocoa?

– To rodzaj labiryntu. Tego właśnie szukamy.

– Ty tego szukasz. Ja nie widzę mojej własnej ręki i nie wiem, w jaki sposób mógłbym znaleźć drogę w labiryncie.

– Masz, wypij łyk *nalcy* - podała mu swoje naczynie, które przypominało bukłak.

– Nie potrzebuję rybich jajek. Czuję się dobrze.

– Będziesz lepiej widział. Poza tym zastępuje pożywienie. Przez parę godzin nie będziesz czuł głodu.

Indy przełknął gęsty, lepki płyn i zmarszczył nos, rozpoznając ten sam gorzki smak. Chociaż dzięki *nalcy* ustąpił ból w stawach i minęło dokuczające mu pragnienie, wciąż nie był przekonany do tego napoju. Nie miał pojęcia, jakie mogą być jego efekty uboczne, ale czy miał wybór?

Ścieżka stopniowo pięła się coraz bardziej stromo. Teraz Indy widział co nieco. Salandra nie była już tylko głosem. Mógł dostrzec jej długie nogi, włosy w kolorze miedzi i smukłą figurę.

– Robi się jaśniej - powiedział.

– Nie, to tylko wpływ *nalcy*.

Odsunęła się na bok, teraz on szedł przodem. Kiedy wspinali się na skały i trawersowali kamieniste zbocze, Indy coraz bardziej czuł, że chce wydostać się stąd i wrócić do swojego własnego świata.

– Czy wiesz, dokąd dojdziemy, kiedy już wydostaniemy się stąd?

– Nie. Myślę, że będzie to jakieś sanktuarium.

– Coś w rodzaju kościoła?

– Być może.

Wyobraził sobie, jak wychodzą przez dziurę w podłodze jakiegoś kolonialnego kościółka w południowej Ameryce. Wyjdą zza złoconego ołtarza, miną posągi świętych, Matki Boskiej i Dzieciątka Jezus. Będą grały organy, ujrzy wieśniaków, modlących się na klęcznikach, a przez witraże będzie wpadać światło słońca. Wyjdzie z kościoła i znajdzie się w świecie, który choć nie jest doskonały, to przynajmniej jest zrozumiały. I

natychmiast wyśle telegram do Brody'ego, napisze, że wszystko jest w porządku i że jedzie do Nowego Jorku. Manhattan nigdy nie wydawał mu się tak piękny jak teraz, kiedy rozmyślał o nim w ciemnościach.

– Co zrobisz, kiedy się wydostaniemy? - spytał, przyglądając się półce skalnej. Zaczynała się kilkadziesiąt stóp nad ich głowami i łagodnie prowadziła ku górze. Gdyby się udało wejść na nią, to zaoszczędziliby sporo czasu i wysiłku, związanych ze wspinaczką po stromym i kamienistym zboczu.

– Wrócę przez inną bramę, bezpieczniejszym przejściem. Nie mogę pozostawać w twoim świecie, w każdym razie niezbyt długo. Poza tym muszę powstrzymać Maleiwę i mam nadzieję, że ty wrócisz ze mną.

Nie liczyłbym na to - pomyślał Indy, wyszukując wzrokiem uchwytów dla rąk i nóg.

– Maleiwa zdążył już zakłócić równowagę między światami, a to dopiero początek - ciągnęła Salandra. - Może być jeszcze dużo gorzej. Jego armia może opanować cały twój świat w bardzo krótkim czasie.

– Nie liczyłbym nas to. Ten świat jest całkiem spory.

– Wojownicy Maleiwy używają energii ognia. Mogą skierować palec w stronę budynku czy osoby i zamienić swój cel w popiół. Potrafią przenosić przedmioty siłą woli. Mają znaczną przewagę nad waszymi armiami, które posługują się zupełnie inną bronią.

– Najpierw wydostańmy się stąd, potem porozmawiamy o przyszłości - wskazał jej skalną półkę i wyjaśnił, na czym polega jego plan. Znalazł oparcie dla stopy, potem kolejne i uchwyt dla dłoni. Ściana nie była pionowa, ale jednak zbyt stroma, by można było wspiąć się na nią bez pomocy rąk. Wdrapał się na półkę, położył na brzuchu i zwijając bicz, pomógł Salandrze dostać się na górę.

Spojrzał w kierunku, z którego przybyli.

– Chyba mamy towarzystwo - zobaczył w oddali dwa wielkie czworonogi wdrapujące się na skały. Po chwili dojrzał jeszcze kilka

stworzeń.

– Psy. Przypominają wielkiego czarnego psa, którego Sacho miał na Chiloe.

– Pewnie wrzucili je do wodospadu i kazali nas zabić - powiedziała Salandra.

– Wygląda na to, że całkiem nieźle potrafią się wspinać.

– To są górskie psy z Roraimy. Bez trudu wdrapią się po tej ścianie. Nic nie jest w stanie ich powstrzymać, kiedy dostaną rozkaz, żeby zabić.

– Myślę, że gdybym miał tu moją czterdziestkępiątkę, to jakoś dałoby się je powstrzymać.

Psy dostrzegły ich i z głośnym szczekaniem rzuciły się w ich stronę. Indy nie wierzył, że zdołają wspiąć się po skalnej ścianie, ale wkrótce miał się przekonać, że Salandra nie myliła się. Ruszyli biegiem wzdłuż skalnej półki, która po jakimś czasie doprowadziła ich na łagodnie pochylone zbocze.

Zatrzymali się na moment. Salandra odwiązała bicz.

– Teraz możemy iść szybciej.

Szczekanie stało się donośniejsze. Indy spojrzał za siebie właśnie w chwili, kiedy jeden z psów dopadł do ściany urwiska. Z głośnym stukiem uderzył o skałę i zsunął się. Indy odetchnął z ulgą, ale w tym samym momencie skoczył drugi pies. Jeden z jego pazurów znalazł zaczepienie, przez chwilę bestia zwisała tuż nad skalną półką, wreszcie ze skomleniem spadła.

– Jones, patrz tam! - Salandra wskazała ręką w stronę wąwozu.

Cztery, może pięć psów ominęło ścianę urwiska i usiłowało przedostać się na górę po zboczach wąwozu. Nie mówiąc już ani słowa więcej, rzucili się pędem do przodu, najprędzej jak tylko mogli. Indy wiedział jednak, że prędzej lub później psy ich dopadną. Oczywiście dookoła było pełno kamieni i na pewno uda się rozbić kilka głów, jeżeli jednak miał wyciągnąć

wnioski ze spotkania z psem na Chiloe, to przypuszczał, że bestie puszczone ich tropem nie dadzą się zniechęcić kilkoma kamykami.

Zawsze jednak warto było spróbować.

– Tędy - skręcił w stronę wąwozu.

– Ale psy...

– Wiem. Przywitamy je odpowiednio.

Zatrzymali się na skraju wąwozu. Indy schylił się i usiłował podnieść głaz wielkości szafki nocnej. Kamień ani drgnął, spróbował ruszyć drugi, trochę większy, ale ten równie mocno trzymał się podłoża. Salandra usiłowała mu pomóc, kamień poruszył się nieznacznie, ale w dalszym ciągu nie byli w stanie przesunąć go. Wściekłe szczekanie zbliżało się coraz bardziej.

– Jones, są coraz bliżej!

Spróbował znowu. Bezskutecznie.

Chwycił kamień wielkości piłki i cisnął go w dół. Kamień odbił się dwa razy, uderzył w jakiś inny, który zaczął się toczyć.

– Mniejsze kamienie, spróbujmy spowodować lawinę!

Ciskali jeden po drugim i nagle cale zbocze się ożywiło, kamienie toczyły się w dół. Lawina wzbiła chmurę pyłu, rumor zagłuszył ujadanie psów. Przez chwilę jeszcze Indy widział zwierzęta, potem zaś już tylko pył i kamienie.

Stali i patrzyli. Lawina spadała poza ich pole widzenia, ale słychać było jej łoskot w oddali. Pył powoli opadał. Nie było już psów w wąwozie.

– Chyba się udało - ucieszył się.

Ledwo to powiedział, usłyszał warczenie za swoimi plecami. Poczuł zimny dreszcz, gdy odwrócił się i zobaczył czarne psisko przyczajone do skoku, szczerzące śnieżnobiałe kły. Napięte mięśnie potężnych łap i barków grały pod lśniącą skórą, bestia miała w sobie coś z drapieżnika, wielkiego kota. Zwykły pies od razu skoczyłby na nich, ten nie śpieszył się, przyglądał się im.

– Najlepszy skoczek w drużynie - mruknął Indy, ostrożnie odczepiając bicz od pasa. Cofali się powoli, ale już po paru krokach oparli się plecami o skałę. Indy był pewien, że pies skoczy właśnie w tym momencie i strzelił z bicza. Pies zeskoczył niczym lew w cyrku, uszy położył po sobie, zachowywał się dziwnie niepewnie. Wyglądało na to, że nie wie, co ma zrobić. Pewnie nigdy nie widział bata pomyślał Indy. Kolejny pies przybiegł ich śladem, a za nim jeszcze jeden. Nie mógł długo bronić siebie i Salandry przed trzema psami naraz.

– Jones, tutaj!

Nie ośmielił się odwrócić wzroku od psa, ale kątem oka dostrzegł Salandrę, która wspięła się na szczyt skały. Wszystkie trzy bestie tylko się im przyglądały, nie atakując. Indy nie mógł zrozumieć ich nagłej nieśmiałości, wiedział tylko, że wyłącznie dzięki niej on i Salandra wciąż jeszcze żyją.

– Nie mogę odwrócić się do nich plecami.

– Możesz. Nie będą cię napastować. Zaczarowałam je.

A więc teraz znów była czarownicą. Nie poprawiło to jego samopoczucia. Podciągnął się na szczyt skały, nie odwracając się plecami do psów. Kiedy był na górze, Salandra znikła mu już z oczu.

– Tędy! - zawołała. - Szybko. Zaklęcie nie powstrzyma ich na długo.

Stała w wejściu do jaskini. Indy zeskoczył ze skały i oboje wbiegli do środka. Jaskinia była wysoka, można było poruszać się w niej bez trudu. Był zaskoczony, że widzi i to nawet bardzo dobrze.

– Coś ty zrobiła z tymi psami? Zachowywały się jak grzeczne szczeniaczki.

– Dotarłam do ich umysłów i uspokoiłam je, ale one zostały wytresowane w Wayua. W ich naturze nie ma nic łagodnego, za parę minut znów pobiegną naszym śladem.

– Chyba nie bardzo lubisz mieszkańców Wayua - powiedział Indy.

– Ja sama jestem z Wayua. - Tak jakby nie mówiła całkiem niedawno, że pochodzi z Pincoya.

– Co ty opowiadasz? - Wciąż mu coś takiego opowiadała. Wszystko było tym, czym było i tym, czym nie było albo też jednym i drugim. - Mówiłaś mi przecież...

– Wiem, co ci mówiłam. Mój ojciec jest z Pincoya, a moja matka pochodziła z Wayua. Oboje byli ambasadorami w Roraima. Tam się wychowałam.

– To wszystko tłumaczy - mruknął.

Korytarz stał się szerszy i przekształcił się w obszerną komnatę. W jej najodleglejszym końcu dostrzegł zielono-niebieski otwór przypominający staw pełen wody, odwrócony bokiem. .

– Co to jest, kolejne złudzenie?

– Światło i kolor oznaczają, że zbliżamy się - powiedziała Salandra. - Atmosfera twojego świata sięga już tutaj.

– Ja ten świat pamiętam trochę inaczej - odparł Indy.

– Mimo że jest to coś z twojego świata - powiedziała, gdy przemierzali jaskinię - to nie wygląda tak samo tutaj. Wciąż jeszcze jesteśmy między światami i czeka nas długa droga, nim wydostaniemy się na zewnątrz.

Z każdym krokiem wydawało się, że zieleń jest coraz mocniejsza, a odcień błękitu zanikał. Indy zwolnił, ogarnęła ich szmaragdowa poświata, w której źle widział. Zdecydowanie jednak to, na co patrzył, było niebem, niebem, jakiego nikt nigdy nie widział.

– Którędy do wyjścia? - Spojrzał w dół i zaniemówił na widok tego, co zobaczył. Poniżej u stóp znacznego urwiska znajdowało się coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak kombinacja linii i kwadratów, łuków i krzywych. Najpierw pomyślał, że to ruiny, miasto bez dachów. Potem jednak zdał sobie sprawę, że spoglądają na ogromny labirynt.

– Oto on - powiedziała Salandra przyciszonym głosem - labirynt, Kraina Zagubionych. Odnaleźliśmy ją... a może to ona nas odnalazła.

– Dlaczego tak mówisz?

– Według legendy żołądek Minhocoa zamieszkany jest przez głodne bestie polujące, by zdobyć pożywienie. Powiadają, że bestie potrafią zwabić swe ofiary.

– Doprawdy? A co one jedzą?

– Zagubione dusze.

– Rozumiem.

Próbował znaleźć wzrokiem drogę przez labirynt, ale nie był w stanie jej dostrzec wśród setek przejść.

– Jeżeli nie dostaniemy się na drugą stronę, to po nas - powiedziała Salandra.

– Damy sobie radę.

– Nie mógł zrozumieć, dlaczego tak obawiała się tej Krainy Zagubionych. Przecież to był zwykły labirynt. Cała reszta to legenda, jeżeli jest jakieś wyjście, to je znajdą. Spoglądając jednak w dół na strome zbocze zrozumiał, że nie będzie to łatwe. Labirynt zaczynał się tuż pod nimi.

– Te skały należą już do labiryntu - powiedziała Salandra.

– Widzę.

Zsuwał się, aż natrafi! stopą na pierwszą ścianę. Salandra wczołgała się za nim przez wąski otwór. Próbował stanąć, ale było zbyt stromo, zaczął zjeżdżać w dół korytarza. Chwycił się ściany odstającej od zbocza, żeby powstrzymać upadek i nie roztrzaskać się na dole, zatrzymał Salandrę zsuwającą się za nim.

Inny korytarz znajdował się pod kątem do tego, którym schodzili w dół. Ponieważ prowadził w poprzek zbocza, mogli przemierzać go idąc i opierając się o ścianę. Wkrótce jednak doszli do kolejnego rozgałęzienia i znów musieli podjąć decyzję. Działo się tak przy każdym miejscu przecięcia się korytarzy. Postanowili dalej iść drogą obraną wcześniej.

Błąd. Prowadziła do pomieszczenia, z którego nie było wyjścia. Cofnęli się wspinając, spróbowali przejść kolejnym korytarzem biegnącym pod

innym kątem i bardziej stromym.

Indy oparł się o ścianę i złapał zjeżdżającą w dół Salandrę.

– To przygnębiające - powiedziała.

– Owszem. Spróbujmy teraz pójść tym.

– Dlaczego? - spytała.

– Bo jeszcze nie próbowaliśmy. Nie wiem. Masz lepszy pomysł?

– Owszem. Idźmy prosto przed siebie, przechodząc przez każdą ścianę, którą napotkamy. W ten sposób znajdziemy się bardzo szybko na dole.

Indy uderzył się głową w czoło.

– Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej?

Zaczął zjeżdżać na butach, nie dbając już o to, by nie przyśpieszać za bardzo. Wyczuł właściwy moment i tuż przed następną ścianą skoczył w górę. Ściana miała co prawda około dwudziestu stóp wysokości, ale wybudowana była pionowo, a więc jej szczyt był zdecydowanie bliżej płaszczyzny zbocza, z której się wybił. Chwycił go obiema rękami, podciągnął się, przerzucił jedną nogę, potem drugą.

Spuścił rozwinięty bat Salandrze, która wbijając pięty w ziemię, starała się zwolnić i wyhamować przed ścianą.

– Łap, wciągnę cię na górę.

Chwyciła koniec bicza. Indy zaczął wciągać ją do góry, nagle zatrzymał się, uniósł głowę nasłuchując. Szczekanie.

– Znowu się zbliżają.

Szybko wciągnął ją na górę.

– Czy możesz je powstrzymać? Tak jak wtedy?

Skoncentrowała się, jej oczy stały się szkliste. Po chwili potrząsnęła głową.

– Myślę, że nic z tego. Są sprytne. Teraz już się nie dadzą nabrać. Potrafią blokować dostęp do swych umysłów, nie mogę nic zrobić.

Zeskoczyli na drugą stronę i ruszyli pędem w kierunku kolejnej ściany. Znów Indy bez trudu dostał się na jej szczyt i spuścił bat, by wciągnąć

Salandrę. Tym razem jednak widok był przerażający. Trzy psy przeskakiwały ściany bez trudu. Kierowały się prosto na nich.

13.

KRAINA ZAGUBIONYCH

Na szczycie kolejnej ściany znaleźli się jednocześnie. Salandra na widok psów doznała przypływu sił na tyle, że nie potrzebowała już pomocy. Teren, na którym się znaleźli, był prawie płaski, natomiast ściany stały się zbyt wysokie, by wspinać się na nie. Pędzili przez labirynt, wbiegając w kolejne przejścia; za każdym razem, kiedy trafiali w ślepą uliczkę, Indy spodziewał się, że gdy się odwrócą, zobaczą na swej drodze psa blokującego jedyną drogę ucieczki. Okazało się jednak, że psy radziły sobie z tropieniem tak, jak Indy i Salandra z odnajdywaniem drogi w labiryncie.

Nagle szczekanie stało się głośniejsze i bliższe. Psy były niedaleko, ale nie widzieli ich. Indy i Salandra przywarli do ściany nie wiedząc, w którą stronę uciekać. Ich jedyną nadzieją były te wszystkie przejścia i korytarze, które mogły zmylić węch zwierzaków.

– Widziałaś? - szepnął.

– Co?

– To!

Ich oczom ukazały się dwie potężne łapy, a potem wyszczerzone kły. Pies napiął mięśnie usiłując wciągnąć się na szczyt ściany. Indy uniósł rękę, gotów uderzyć go batem w nos. Nagle rozległ się donośny skowyt i pies zniknął im z oczu.

Indy nie czekał na wyjaśnienie.

– Tędy! - Ruszyli pędem przed siebie, skręcili w prawo, potem w lewo, potem znowu w prawo. Ciągle odwracał się do tyłu, oczekiwał, że jedna z bestii wyłoni się zza któregoś zakrętu. Wiedział, że psy mogą zaatakować z każdej strony. Być może biegli właśnie na spotkanie niebezpieczeństwa, zamiast uciekać przed nim.

Skręcili znów i wtedy ujrzeli otwór w ścianie w końcu długiego korytarza. Za tym otworem znajdowała się powierzchnia porośnięta trawą, przecięta błotnistą drogą. Indy nie mógł uwierzyć własnym oczom: zobaczył forda takiego samego jak ten, którego kupił sobie zeszłego lata. Samochód pędził prosto w stronę labiryntu.

– Zobacz! - krzyknął. - Chodźmy!

Indy ruszył biegiem przez korytarz. Za kierownicą siedział mężczyzna w kapeluszu, a obok niego... Indy widział wyraźnie jego twarz. To był jego stary kumpel, Jack Shannon. Co on tu robi? Indy był o parę kroków od łąki, kiedy znów spojrzał na kierowcę samochodu. Zwolnił. Pole znikło i zmieniło się z powrotem w ścianę. Indy uderzył w nią pięścią.

– Jones, co ty robisz? Co tam zauważyłeś? - spytała Salandra, wyraźnie zaskoczona jego postępowaniem.

– Nie widziałaś? Była tam łąka i ford. Potem wszystko znikło.

Potrząsnęła głową.

– Nie widziałam tego. Tylko przez chwilę wydawało mi się, że widzę pokój, w którym kiedyś mieszkałam w Roraima.

– A więc to kolejny ślepy zaułek. Nie podoba mi się to miejsce. W tym samochodzie był mój najlepszy przyjaciel. I ja również. Wyobrażasz sobie?

Cofnęli się wchodząc w kolejne przejście. Nagle w pobliżu rozległo się wściekłe ujadanie psów... Indy pomyślał, że te psy chyba nie szczekają ani na niego ani na Salandrę, ponieważ w ogóle ich nie widział. Potem rozległ się dziki, nieziemski wrzask. To nie były psy, to musiało być coś zupełnie innego. Coś gorszego. Przerażony skowyt przerodził się w rozdzierające skomlenie. Chwilę potem jeden z psów rozbił się o ścianę obok nich.

– On nie skoczył - szepnął Indy. - Ktoś zrzucił tego psa.

– Uciekajmy stąd - radziła Salandra.

Wyszli z kolejnego ślepego zaułka, rozdzierający chaos przeraźliwych wrzasków raczej zbliżał się, niż oddalał, ale mogli iść tylko w tamtym kierunku. Wrzask był coraz głośniejszy, Indy czuł, że w każdej chwili mogą stanąć twarzą w twarz z samym szatanem. Tak. Może właśnie o to chodzi. Szatan i węże, i świat podziemny - to wszystko nawet trzyma się kupy.

Jeden z psów wypadł zza rogu i biegł prosto na nich. Indy przygotował bat, ale pies przebiegł obok nich, nawet nie patrząc w ich stronę. Biegł prosto w ślepy zaułek, wspiął się na ścianę. W jego oczach widać było graniczące z szaleństwem przerażenie.

Indy spojrzał na Salandrę, pewnie on też miał równie ogłupiały wyraz twarzy.

– Gdybym musiał wypowiedzieć trzy życzenia, wszystkie brzmiałyby tak samo. Wyjść, wyjść, wyjść stąd.

Znaleźli się w korytarzu szerszym niż te, które przemierzali dotychczas. Indy przypomniał sobie, że kiedy spoglądał z góry na labirynt, spostrzegł, iż szerokie przejścia prowadziły prosto przez gąszcz ścian i korytarzy.

Doszedł do zakrętu i właśnie miał ruszyć dalej, kiedy skowyt zamilkł nagle. Cisza była równie przerażająca jak poprzedzający ją zgiełk. Ostrożnie posuwał się do przodu, spodziewając się w każdej chwili, że jakiś upiorny stwór zastąpi im drogę. Nie powinni biec, to mogłoby przyciągnąć uwagę. Skradali się więc powoli, w milczeniu nasłuchując. Korytarz skręcił, Indy nie był w stanie stwierdzić, czy oddalali się od miejsca, w którym czaiło się szaleństwo, czy też zbliżali się do niego.

Odpowiedź zjawiła się sama. Ujrzał psy, czy też raczej to, co z nich pozostało. Były wypatroszone, miały oderwane głowy, ich poszarpane członki rozrzucone były na wszystkie strony.

– Myślę, że nie będziesz chciała na to patrzeć - powiedział Indy.

Salandra spoglądała w drugą stronę, ale bynajmniej nie po to, by uniknąć przykrego widoku.

– Spójrz.

Wskazała na krwawe ślady na ziemi. Wyglądały tak, jakby stworzenie, które je pozostawiło, miało kopyta. Indy przyjrzał się śladom, przyklęknął na jedno kolano i położył dłoń z rozpostartymi palcami na jednym z nich. Odcisk był o jakieś kilka cali większy.

– To wszystko nie ma sensu. To coś porusza się jak stworzenie dwunożne i sądząc po wielkości kopyt powiedziałbym, że to jest...

– Jones!

Nie był w stanie podnieść wzroku. Poczuł, że ogarnia go mroźny podmuch, dotykając lodowatymi palcami. Chłód przenikał do jego piersi i mroził jego serce. Po chwili podmuch ustał i Indy zmusił się, żeby spojrzeć.

Stwór stał na ich drodze. Jego oczy, para żarzących się węgli, wpatrywały się w niego. Potwór był niemal tak wysoki jak ściany. Jego nogi pokryte były futrem, pierś grubą skórą, ale budową z grubsza przypominał człowieka. Wokół jego ramion i szyi wiły się węże. Miał potężne pazury u rąk, lecz głowę ludzką, pomijając rogi sterczące z czoła, haczykowaty nos i wyłupiaste oczy.

Jeżeli byli w piekle, to Indy wiedział, z kim ma do czynienia. Wstał powoli i cofnął się nieco. Stwór podszedł bliżej i skrzywił się z pogardą. Wskazał palcem na Indy'ego.

– Angielski?

To coś mówiło.

– Tak, angielski. Mówię po angielsku.

– Wyjść po angielsku, angielska flegma, ziele angielskie! - stwór roześmiał się, ale w jego śmiechu słychać było groźny pomruk.

– Dzięki za uwolnienie nas od psów - powiedział Indy czując, jak śmiesznie brzmią jego słowa.

– Psom wstęp wzbroniony.

To coś zbliżyło się do niego i teraz wyglądało jak wąż z ludzką głową.

– Czego tu szukacie?

– Szukamy wyjścia.

– A może ja nie chcę, żebyście stąd wyszli - znów to coś wyglądało jak kudłaty diabeł. - Może chciałbym, żebyście tu zostali razem ze mną.

Bestia rzuciła się w jego stronę, rozpościerając potężne ramiona, gotowa zmiażdżyć go w jednej chwili. Nogi Indy'ego odmówiły posłuszeństwa. Pochylił głowę i wyciągnął ręce przed siebie, ale zderzenie, którego się spodziewał, nie nastąpiło. Otworzył oczy i spojrzał. Stwór znikł. Rozpłynął się w powietrzu.

Salandra odetchnęła głęboko.

– Gdzie to się podziało?

– Nie wiem.

– Widziałeś jego głowę? - spytała. - To coś miało troje oczu, jedno oko na czole. I mówiło do mnie moim ojczystym językiem.

– Co takiego? To coś mówiło po angielsku i wcale nie miało trzech oczu. Za to miało rogi, ale potem był to wąż.

Opisał stworzenie i powtórzył jej, co od niego usłyszał.

Pokręciła głową.

– Ja widziałam i słyszałam co innego. Ten stwór miał korpus srebrnego niedźwiedzia i powiedział mi, że mój ojciec nie żyje.

– Spójrz na ślady. To są kopyta, a nie łapy.

W tym samym momencie jednak zobaczył, że niektóre ze śladów przypominają odciski niedźwiedzich łap.

– Ale mówiłeś, że to był również wąż, prawda?

– Wiem tylko tyle, ile zobaczyłem, tak czy inaczej mamy szczęście, że nie rozprawił się z nami tak jak z tamtymi psami.

Ruszyli naprzód.

– Wydaje mi się, że to coś czyta w naszych myślach - powiedziała. - Ty widziałeś diabła, ponieważ myślisz, że jesteśmy w piekle. Ja usłyszałam, że

mój ojciec nie żyje, ponieważ niepokoję się o niego.

Szli dalej, wchodząc w kolejne korytarze. Na labirynt zaczęła opadać świetlista, zielona mgiełka. Widoczność ograniczona była do kilkudziesięciu stóp, zresztą ściany labiryntu i tak nie pozwalały widzieć wiele dalej.

– Powiedziałbym, że ten stwór był tylko halucynacją, gdyby nie to, że widziałem, co zrobił z psami.

– Psy także spotkało to, co kłębiło się w ich głowach, to, co zamierzały zrobić z nami - powiedziała Salandra.

Indy zajrzał do kolejnego korytarza.

– Szkoda, że nie mamy mapy.

– Mieliśmy mapę, patrząc na labirynt z góry. Pamiętasz?

– Nie na wiele nam się to przydało. Nawet nie widziałem drugiego końca labiryntu. Ciekawe, gdzie jest góra, z której zeszliśmy; gdyby mogli określić ten kierunek, wiedzieliby przynajmniej, w którą stronę z całą pewnością nie chcą iść. Mgła stawała się coraz gęstsza.

– Chyba tam.

– Tam - powiedziała Salandra w tym samym czasie.

Wskazywali przeciwne kierunki.

– Chyba któreś z nas straciło orientację.

– Albo oboje - stwierdził Indy.

– Jestem zmęczona. Myślę, że powinniśmy odpocząć - powiedziała Salandra po chwili.

– Tutaj?

– A czy mamy wybór?

Przyszło mu do głowy, że być może nigdy stąd nie wyjdą, że zginą w tym labiryncie w szponach jakiegoś straszliwego potwora albo po prostu z braku wody.

– Pamiętasz tę masę wody w podziemnej rzece? Nie została nam ani kropelka.

– Mamy *nalcę*. *Nalca* zaspokoi głód i uchroni nasze organizmy przed odwodnieniem.

– A niech to. Kawior na śniadanie, obiad i kolację.

Znaleźli się w kolejnym ślepym zaułku, zakończonym niewielkim pomieszczeniem.

– Może tu?

– Nie wiem - powiedział Indy. - Jeżeli coś tu przyjdzie, to nie ma dokąd uciekać.

– Jeżeli coś tu przyjdzie podczas naszego snu, to nie będzie miało znaczenia. Jeśli w ogóle są tu jeszcze jakieś inne stworzenia, to jest mniej prawdopodobne, że znajdą nas tutaj niż w głównym korytarzu.

– Pewnie masz rację - zgodził się. - Nie ma sensu spać na Promenadzie Upiorów.

– Przynajmniej nie straciłeś poczucia humoru - otworzyła bukłak.

– Czy w twoim świecie istnieje poczucie humoru?

– Co za niemądre pytanie. Jesteśmy pod każdym względem tak samo ludzcy jak wy.

– Sądząc z tego, co mi opowiadałaś, twój świat jest tylko legendą. Tylko w ten sposób mogę to opisać.

– A to miejsce jest legendą zarówno dla mojego świata, jak i dla twojego - powiedziała.

Indy wypił łyk *nalcy*, oddał jej naczynie, położył zwiniętą kurtkę na twardej posadzce.

– Mam nadzieję, że będę mógł usnąć.

Salandra ułożyła się obok niego.

Nalca nie działa jak kawa. Za to niekiedy zastępuje afrodyzjak.

Usłyszał coś miękkiego w jej glosie, czyżby to stwierdzenie było zaproszeniem? - Zamknął oczy, oddał się bez reszty swoim odczuciom: dotyk jej ust na jego szyi, jego ręka gładząca jej włosy, ubrania odrzucone na bok. Jego krew zawrzała od *nalcy* i od pożądania.

Salandra. Obudził się z tym imieniem na ustach. Postać ze snu. Pracował do późnej nocy, odczytując inskrypcje *rongo-rongo* wykute na ścianie i usnął w jaskini. Usiadł. Urywki snu powróciły do niego. Coś o jakimś innym świecie, labirynt, dziwne stwory, psy... miłość. Cała masa rzeczy, których sensu nie potrafił już odtworzyć.

Wstał i znów zagłębił się w mroczny korytarz. Chciał jeszcze raz spojrzeć na inskrypcje. Dzięki Davinie i Raoulowi był już dosłownie o krok od rozszyfrowania znaczenia tajemniczych znaków.

Stanął przed ścianą przyglądając się pół ludzkim, pół ptasim postaciom wykutym w skale po obu stronach inskrypcji. Spoglądał na stylizowane rośliny i zwierzęta, znaki pisma *rongo-rongo*. Przez chwilę Indy zastanawiał się, skąd dochodzi światło, skoro nie trzyma w ręku lampy. To jednak było mało istotne. Najważniejsze jest to, że rozumiał. Wreszcie rozumiał, tekst brzmiał spójnie i sensownie. Jego praca doprowadziła wreszcie do upragnionego wyniku: był w stanie odczytać inskrypcje!

„Pierwsi ludzie Tepito Te Henua przybyli z podziemia. Odkrycie tego nowego lądu było przełomem w ich dziejach. Była to Pierwsza Brama wiodąca do świata zewnętrznego. Przybywało coraz więcej i więcej ludzi. Budowano łodzie i statki, wielu pożeglowało w poszukiwaniu innych lądów. Jednak Tepito Te Henua na zawsze pozostanie Pępkiem Świata".

– Jones!

Kobiecy głos wołający go po nazwisku przerwał jego rozmyślania.

– Davina?

Odwrócił się w jej stronę. Kim była ta kobieta? Nie był w stanie stwierdzić, skąd dobiegał jej głos. Spojrzał jeszcze raz na rzeźbione hieroglify i ruszył mrocznym korytarzem. Minął jeden zakręt, drugi.

– Jones?

– Teraz głos dobiegał z większej odległości. Coś tu się nie zgadzało. Nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Musiał skręcić nie w tę stronę. Ale to nie wszystko. Davina nigdy nie wołała go po nazwisku, za to ktoś inny miał ten zwyczaj.

– Davina?

Milczenie. Dotknął ręką ściany. Dlaczego była taka gładka?

Poza tym skąd brało się to dziwne, zielonkawe światło?

Sen. To musiało mieć coś wspólnego z tym snem. Wreszcie zrozumiał. Po prostu chodził po labiryncie przez sen, to, co wydawało mu się snem, było rzeczywistością.

– Salandra?

14.

OBIETNICA

– Jones? - zawołała go znowu.

Gdzie on poszedł i dlaczego jej nie obudził? Zaczynała się niepokoić. Zaczeka na niego jeszcze chwilę i pójdzie go szukać. Miała nadzieję, że nie odszedł zbyt daleko. Zdecydowanie nie chciała błąkać się po labiryncie samotnie.

Wypoczynek był jej bardzo potrzebny, ale podczas snu prześladowały ją koszmary, w których Maleiwa rósł w potęgę i unicestwiał subtelną równowagę między światami. Przywódca nazistów, którego wszyscy lekceważą, najpierw dojdzie do władzy we własnym kraju, a potem szybko rozszerzy swe panowanie. Hitler zafascynowany był czarną magią i zamierzał wykorzystać ją do swych własnych celów. Maleiwa wiedział o tym i dlatego właśnie Hitler był dla niego idealnym sprzymierzeńcem.

Niewidzialne Przymierze, jak zostanie w przyszłości nazwany ten niezwykły sojusz, zapewni Hitlerowi wszystko, czego potrzebuje. Wojownicy Wayua z wewnętrznego świata będą w jego oczach wspaniali i straszni, zapragnie, by połączyły ich więzy krwi z jego ludem. Dysponując potęgą Berła Jednorożca i mając u boku wojowników z wewnętrznego świata, stanie się niepokonany. Niepokonany dopóty, dopóki Maleiwa nie zdradzi swych prawdziwych i ostatecznych zamiarów.

Salandra musiała przekonać Jonesa do tego, by powrócił razem z nią, a także do tego, by odebrał mu berło. Bez niego Maleiwa będzie miał

trudności w porozumieniu z Hitlerem. Wiedziała jednak, że nie tak łatwo uda się nakłonić Jonesa do powrotu do świata wewnętrznego, a nie mogła go do tego zmusić, nic dobrego by z tego nie wynikło.

Jones, co się z tobą dzieje? Gdzie się podziewasz?

Musiała zachować spokój. Oparła się o ścianę, krzyżując ręce na piersiach, uspokajając wzburzony umysł. Uśmiechnęła się na myśl o tym, co przydarzyło im się przed zaśnięciem. Kochali się gwałtownie, namiętnie, z desperacją. Tak jakby niebezpieczeństwo, któremu stawiali czoło, wzmogło ich pożądanie. Mimo to Jones był przez cały czas czuły i delikatny.

Indy wszedł do pomieszczenia, w którym się znajdowała.

– Dobrze, że jesteś - powiedziała z ulgą. - Przez chwilę bałam się, że już cię więcej nie zobaczę - podeszła do niego, ale coś, nie wiadomo co, sprawiło, że go nie objęła. - Niepokoiłam się o ciebie.

Nie odpowiedział, zapytała go, czy dobrze się czuje.

– Jones, powiedz coś wreszcie!

Stał patrząc bezmyślnie przed siebie. Powoli uniósł rękę i wyciągnął ją w stronę Salandry. Otworzył usta, ale nie powiedział ani słowa. Potem zaczął się rozmywać... i zniknął w zielonej mgle, rozpłynął się.

– Jones!

Salandra jednym skokiem znalazła się w miejscu, gdzie stal jeszcze przed chwilą i poczuła lodowaty chłód w powietrzu. To nie był on, lecz jakaś zjawa. To nie było bezpieczne miejsce. Trzeba się stąd wydostać. Jej zdolności i umiejętności były tutaj nie wystarczające. Na przykład udało jej się zatrzymać psy, ale na krótko i kosztowało ją to wiele wysiłku. Czuła się bezsilna wobec potęg, o których wiedziała mało albo w ogóle nic.

Wybiegła z pomieszczenia, stanęła na skrzyżowaniu dwóch korytarzy. Patrzyła w obie strony i znów zawołała Indy'ego po nazwisku. Czuła, że jej gardło chwycił skurcz i słowa stawały się ledwo słyszalne. Wchodziła w przejścia i korytarze, skręcała i zawracała. Biegła do następnego

skrzyżowania, potem do kolejnego. Nagle znalazła się w miejscu, z którego prowadziło pięć korytarzy. Nie wiedziała, w którą stronę powinna pójść, nie wiedziała, jak wrócić do pomieszczenia, z którego wyszła. Salandra zgubiła się, zaczęło ogarniać ją przerażenie.

Jej umysł krzyczał:

– Wyjść stąd, wyjść stąd. Natychmiast. Natychmiast.

Było jasno, bardzo jasno, Salandra znajdowała się w miejscu, które skądś znała. To był uniwersytet, na którym wykładał Jones, a ona szła za nim zatłoczonym chodnikiem w kierunku jakiegoś budynku. Wtedy widziała go po raz pierwszy, to znaczy po raz pierwszy od momentu, gdy ujrzała go w wizji, dotykając berła w zbrojowni Maleiwy, kiedy objawił jej się jako poprzedni właściciel. Dowiedziała się o nim dostatecznie dużo podczas tych kilku chwil, by móc go odnaleźć. Tak oto trafiła właśnie tutaj i zastanawiała się, jak ma go przekonać, by zjednoczyli swe siły.

Kiedy tylko wszedł do budynku, otoczyła go grupka studentów. Podeszła bliżej, usłyszała, jak studenci wypytują go o prace prowadzone przez niego w ciągu lata. Jones idąc opowiadał im o studiach nad petroglifami na Południowym Zachodzie.

– Czy odkrył pan coś naprawdę ważnego? - zapytała jakaś dziewczyna.

– Szczerze mówiąc, to nie chodziło mi o wykopanie jak największej liczby przedmiotów i rzeczywiście nie znalazłem ich zbyt wiele.

– Ale czy sama praca była ciekawa?

– Dla niektórych z nas malowidła naskalne były fascynujące, ale obawiam się, że dla większości ludzi byłyby śmiertelnie nudne.

– Słyszałam, że bił się pan z kimś? - zapytała inna młoda kobieta.

Jones zwolnił na chwilę, ale natychmiast przyśpieszył znowu.

– Kto pani naopowiadał takich rzeczy?

Roześmiała się.

– Nikt. Wymyśliłam to na poczekaniu.

– Świetny dowcip - powiedział Jones. - Przepraszam, ale,,.

– A co z Rogiem Jednorożca? - Salandra zadała to pytanie bezgłośnie, tak że usłyszał je tylko profesor w swoich myślach. Zatrzymał się, odwrócił i zaczął przyglądać się otaczającym go twarzom. Stała w niewielkiej odległości od grupki studentów i była zasłonięta przez nich, widziała jego zaskoczony wyraz twarzy.

– Czy coś się stało? - spytał jeden ze studentów.

Minęło kilka sekund.

– Nie, nic się nie stało. Muszę już iść, zaraz mam wykład.

Wiedziała, że to nie będzie łatwe. Nigdy jej nie uwierzy, jeśli nie zobaczy sam na własne oczy.

Nagle nie była już na terenie uniwersytetu. Znalazła się na Wyspie Wielkanocnej, gdzie przybyła pod postacią sokoła z płaskowyżu Roraima, pokonując dystans między dwiema przestrzeniami w ciągu kilku sekund. Była noc, Jones szedł wzdłuż plaży. Woda lśniła w świetle księżyca, chlupotała cicho u jego stóp. Szedł w stronę ogniska płonącego w oddali, wokół ognia zgromadzeni byli jacyś ludzie.

Usłyszał krzyk ptaka, spojrzał tam, skąd dobiegał dźwięk. Postąpił kilka kroków, rozejrzał dookoła. Wyczuł jej obecność. Po chwili wzruszył ramionami i ruszył dalej.

– Nie opuszczaj Marcusa Brody'ego - powiedziała, gdy Jones podchodził do ogniska. - Tylko o to cię proszę.

Obraz znów nagle się zmienił. Teraz widziała siebie i Maleiwę. Był wysoki i muskularny, o wyrazistych rysach, haczykowatym nosie i ciemnych, przenikliwych oczach. Wówczas jeszcze nie golił głowy na łyso, miał krótkie, sterczące włosy. Oboje studiowali w Roraimie. Pod koniec dnia stali na krawędzi *tepui* spoglądając w dół na górzysty krajobraz daleko pod nimi. Było to tak realne, że Salandra niemal zapomniała, iż na nowo przeżywa wspomnienie.

Oboje byli cudzoziemcami, to ich zbliżyło, Maleiwę wysłano do Roraimy, ponieważ wykazywał szczególne zdolności w dziedzinie manipulacji, a sztuki związane z przeznaczeniem kwitły właśnie w Roraimie, Opowiadał jej z zapałem o jednej z dziedzin ich studiów zwanej grą cieni. Polegała ona na specyficznych metodach kierowania wydarzeniami i ludźmi. Próbował przekonać ją, że jego studia otwierają nowe perspektywy, nowe możliwości. Był to przedmiot powszechnie uważany za pozbawiony praktycznego znaczenia, niemniej jednak należał do obowiązkowych.

Powtarzano im już wiele razy o zgubnych efektach, jakie niesie ze sobą nadużywanie mocy i stosowanie jej w celu sprawowania kontroli nad innymi ludźmi. Maleiwa jednak był zafascynowany przywódcami, którzy niegdyś rządzili z pomocą podobnych metod. Wyraźnie imponował mu sposób, w jaki udawało im się pogwałcić pierwszą z zasad postępowania: Nie działaj stosując siłę.

– Salandro, czy nie dostrzegasz wszystkich możliwości, jakie pojawiają się, jeśli zechcemy zastosować grę cieni w świecie zewnętrznym?

– To doprowadziłoby do zakłócenia równowagi. Przecież wiesz, że nie można do tego dopuścić.

– Wiem, że wydarzenia w naszym świecie są powiązane z wydarzeniami na tamtym świecie. Jeden świat jest odbiciem drugiego. To, co my robimy, wpływa na nich. To, co oni robią, oddziałuje na nas. Równowaga nie ulega zakłóceniu.

– Posłuchaj - tłumaczyła mu cierpliwie - siła powoduje jedynie pojawienie się siły przeciwstawnej, akcja powoduje reakcję. W ostatecznym rezultacie doprowadzimy jedynie do dalszego użycia siły i zużycia energii.

Zaśmiał się i powiedział, że przemawia jak ich nauczyciele.

– Jesteś dobrą uczennicą - kpił z niej. - Ale ja poznaję prawdziwą naturę władzy i uczę się, jak z tej wiedzy skorzystać.

Po tej rozmowie na krawędzi *tepui* skończyła się ich przyjaźń. Nie ufała Maleiwie. Kiedy ukończył pobieranie nauk, powrócił do Wayua i tak szybko doszedł do władzy, że była przekonana, niemal pewna, że stosował w tym celu metody gry cieni.

Obraz Maleiwy stal się słabszy, ale teraz umysł Salandry przywoływał kolejne wspomnienia o przywódcy Wayua. Salandra uświadomiła sobie, że śni i postanowiła usunąć senne mary ze swego umysłu. Miała w tym duże doświadczenie, potrafiła według własnej woli kształtować i przerywać sny.

Ku swemu zdziwieniu i zaniepokojeniu nie była w stanie kontrolować myśli i obrazów. Przemykały pośpiesznie i jakoś powiązane były z dziwnym odczuciem, którego nie potrafiła zrozumieć. Pogrążyła się we własnych snach, dociekając ich dna, tak jak tylko ktoś o jej zdolnościach i umiejętnościach potrafi zrobić. Natknęła się na coś, czego zupełnie nie oczekiwała i co niemal przerastało jej zdolność rozumienia.

Myśli-sny nie były jej własne, były narzucone jej przez jakąś inną istotę, która dokonała inwazji na jej świadomość. Starała się umysłem dotrzeć do tamtego. Kontakt trwał tylko moment, ale wstrząsnął całą jej istotą. Serce omal nie eksplodowało z przerażenia.

– Salandro!

Znów znajdowała się w labiryncie. Jones biegł ku niej korytarzem, było ich kilku i pędzili kilkoma korytarzami. Zbliżali się do niej ze wszystkich kierunków. Zacisnęła oczy. Chwycili ją i potrząsnęli nią, krzyknęła. Nic z tego nie było rzeczywiste.

– Salandro, już dobrze. Jestem tutaj.

Otworzyła oczy. Stał przed nią. Był sam. Jones.

– To ty?

– Oczywiście, że ja. Co się stało? - Cofnął się.

– To miejsce. To jest... - rozłożyła bezradnie ręce.

– Wiem... wiem. Oszaleć można.

– Nie jest tym, czym się wydaje.

– A czym jest? Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć.

– To jest żywa istota. Myśląca istota. Dotknęłam jej umysłu, ta istota bada nas. Chce wiedzieć, co tu robimy.

Jones się rozejrzał.

– Doprawdy? No cóż, sam chciałbym to wiedzieć. Posłuchaj, mów mi Indy, dobra?

Indy. Imię potoczyło się przez jej umysł jak okrągły, gładki kamień. Indy.

– Grozi nam niebezpieczeństwo, jeśli nie zdołamy w jakiś sposób uspokoić tej istoty. Nigdy nie znajdziemy wyjścia.

– A czego ona chce?

– Nie wiem.

W tej samej chwili przez ułamek sekundy zobaczyła coś dużego, co mignęło w końcu korytarza.

– Indy, widziałeś?

– Co?

– To!

To pojawiło się w całej okazałości. Poczuła falę gorąca, bała się, że jej skóra się zwęgli, a krew wyparuje. Żar był niemal nie do wytrzymania. Po krótkiej chwili gorąco znikło równie nagle, jak się pojawiło.

Stworzenie było połączeniem ogromnego kota i człowieka. Miało ludzką głowę z dużymi kocimi oczami i długie kły. Dolna część dała była zdecydowanie koda, tors ludzki od strony brzucha, ale plecy, barki i łapy również raczej przywodziły na myśl jakieś stworzenie z rodziny kotów.

Stwór zbliżył się do nich.

– Wasze sny mówią mi wszystko.

– Czego chcesz? - spytała.

– Prosić o przysługę. Wtedy pozwolę wam opuścić mnie.

– Jaką? - spytała.

– Przyślij mi tu tego Maleiwę.

– Jak mogę tego dokonać?

– Znajdź jakiś sposób. Tutaj prowadzi wiele dróg.

– A jeżeli nie uda mi się?

– Dotrę do ciebie przez twoje sny i zniszczę cię od środka.

– Jak mamy stąd się wydostać?

Stworzenie nie odpowiedziało. Odwróciło się i przeszło przez ścianę, jakby ściany w ogóle nie było.

– Na miłość boską, co to takiego? - spytał Jones.

– Projekcja umysłu labiryntu.

Salandra opisała to, co przed chwilą zobaczyła, i nie była zaskoczona, kiedy Jones opisał jej coś zupełnie innego.

– Wyglądało jak ogromna żaba z ludzką głową - powiedział. - Ogromne czarne oczy, szeroki płaski nos, prawie nie miało warg.

– Złożyłam mu obietnicę, będziemy mogli wydostać się stąd - odrzekła.

– Tak - zaśmiał się. - Ja też. Powiedziałem temu czemuś, że nie opuszczę cię, dopóki nie dotrzymasz obietnicy. W co ja się wpakowałem?

Salandra nie chciała pozostać ani chwili w miejscu, gdzie mieli wizję, czymkolwiek ona była. Ruszyła naprzód. Żadne z nich nie myślało o tym, dokąd należy iść. Skręcili w jedno z przejść, nie zastanawiając się nad wyborem drogi...

– Jeżeli Maleiwa jest rzeczywiście taki, jak mówiłaś, to obawiam się, że nie będzie tak łatwo dotrzymać tej obietnicy.

– Dotrzymamy jej. Nie wiem jak, ale zrobimy to.

Doszli do miejsca, w którym korytarz rozchodził się w trzy strony i stanęli. Jones wskazał jedno z rozgałęzień, kończyło się otworem w kształcie rombu.

– Czy widzisz tam coś?

– Widzę otwór w ścianie.

– Ja też.

– Zobaczmy dokąd prowadzi.

Podeszli do otworu, nie śpiesząc się i nie ociągając. Oboje wpatrywali się w niego, jakby w obawie, że zniknie nagle, jeśli spuszczą go z oczu. Salandra wiedziała, że jeżeli labirynt wciąż ich zwodzi, nie będzie w stanie nic zrobić, żeby temu przeciwdziałać. Mimo to zajrzała głęboko do wnętrza własnego umysłu, skoncentrowała wolę na otworze w ścianie. Myślała o tym, by pozostał w miejscu.

Jones przyklęknął na jedno kolano i zajrzał do mrocznego pomieszczenia.

– To chyba wyjście z labiryntu.

Otwór był ciasny, Jones z trudem przed snął się. Salandra przeszła zaraz za nim. Minęła chwila, nim przyzwyczaili się do mroku. Ziemia pachniała wilgocią, powietrze było gęstsze. Była pewna, że są tuż pod powierzchnią świata zewnętrznego.

Obejrzała się przez ramię.

– Indy, popatrz. Otwór znikł.

– Nie chcę nic o tym wiedzieć - powiedział Jones i nie odwrócił się.

Dotknęła ręką miejsca, przez które przeszli. Zdawało się, że nigdy nie było w nim żadnego otworu. Pogłaskała je tak, jak się głaszcze domowe zwierzątko.

– Jesteśmy na dobrej drodze.

15.

POWRÓT DO RZECZYWISTOŚCI

Wciąż znajdowali się pod ziemią, ale Indy czuł, że coś się zmieniło. To dziwne, ale czuł się niemal tak, jak gdyby był w domu. Przeszli łukowato sklepionym przejściem do kolejnej, większej pieczary, w której było nieco jaśniej, a ściany pokryte były romboidalnymi, czerwono-czarnymi rysunkami. Malowidła przywodziły Indy'emu na myśl otwór, przez który dostali się tutaj.

– Zobacz, Indy!

Salandra zaglądała do niszy wykutej w ścianie. W środku znajdowały się spróchniałe kości; wyglądały na ludzkie. Poniżej stały rzędy glinianych naczyń wymalowanych w takie same czerwono-czarne wzory geometryczne jak ściany.

– Znajdujemy się wewnątrz jaskini służącej za cmentarzysko, z pewnością indiańskie, ale tak na oko nie jestem w stanie od razu powiedzieć d, jacy to Indianie.

– To należy do twojego świata - odrzekła Salandra, otwierając pojemnik z *nalcą*. Był głodny i spragniony, ale nie podała mu naczynia, a on nie prosił jej o to. Spodziewał się, że niedługo będzie jadł prawdziwe jedzenie. Jakieś piwo albo dwa też nie byłyby od rzeczy.

Weszli do następnej pieczary, w której również znaleźli szkielety ukryte w niszach i naczynia. Indy był bardzo zaciekawiony tym, co zobaczyli, ale nade wszystko pragnął wydostać się na zewnątrz. W kolejnej pieczarze było

najjaśniej. Doszli do trzech stopni prowadzących w górę. Radość Indy'ego przerodziła się w rozczarowanie: światło miało kolor zielony, tak jak światło w labiryncie.

Wspiął się na stopnie, mając nadzieję, że nie prowadzą do kolejnego labiryntu - czy też z powrotem do tego samego. Coś zasłaniało widok. Przez chwilę poczuł lęk przed ujrzeniem kolejnego dziwacznego stwora. Okazało się jednak, że był to tylko krzak. W każdym razie miał nadzieję, że to krzak. Dotknął go, a on nie zmienił kształtu. Przypominał w dotyku krzak i wydawał z siebie zapach taki, jaki zazwyczaj wydają rośliny.

– Indy? - zawołała Salandra.

– Idę na górę.

Przedarł się przez gąszcz zasłaniający dokładnie wejście do jaskini i zmrużył oczy oślepiony jaskrawym światłem słońca bijącym mu prosto w twarz. Ostrzegł Salandrę idącą za nim, żeby osłoniła oczy i wydostał się na zewnątrz. Rozejrzał się dokoła. Znajdowali się na grzbiecie góry, wokół roztaczał się widok na porośnięte lasem wzgórza i doliny. Widok był swojski, bliski, chociaż wcześniej tutaj nie był. Spojrzał w błękitne niebo i uśmiechnął się. Chyba nigdy dotąd nie cieszył się tak bardzo ze słonecznego dnia. Prawdopodobnie był ranek. Jak miło jest funkcjonować w znanym sobie czasie, w swojskim rytmie dnia i nocy - pomyślał. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak brakowałoby mu tego, zawsze traktował dzień i noc jako coś naturalnego. Nigdy więcej. Dostrzegł smużkę dymu. Wiła się z komina na dachu domu stojącego na zboczu. Dym, znak żyda i czegoś do jedzenia.

– Czy wiesz, gdzie jesteśmy? - spytała Salandra.

– Nie, raczej nie. Chodźmy przedstawić się tubylcom i dowiedzieć się tego.

Schodzili w kierunku dymu. Po godzinie dotarli do poletka, na którym w równych rzędach rosły krzaki pokryte niewielkimi, ciemnoczerwonymi jagodami. Indy zerwał jedną z nich i uśmiechnął się.

– Kawa. Kto wie, może jesteśmy w Kolumbii - powiedział ze śmiechem. Było absolutnie niemożliwe, żeby przebyli cały kontynent południowoamerykański w tak krótkim czasie, nawet jeśli rzeczywiście przemieszczali się wewnątrz Ziemi.

Wkrótce doszli do niewielkiego drewnianego domku ze spadzistym dachem. Powitało ich szczekanie dwóch psów. W porównaniu z psami, z którymi midi już do czynienia, te były zupełnie niegroźne. Kiedy zbliżyli się do chatki, otworzyły się drzwi i na zewnątrz wyszła para starszych ludzi.

– *Buenos dias* - powiedział Indy.

Mężczyzna odpowiedział na jego powitanie. W każdym razie mówili po hiszpańsku. Wytłumaczył im, że wędrowali po górach i zgubili się, prosił, żeby wskazali im drogę do najbliższego miasta.

Starzec przyglądał mu się uważnie.

– A skąd przybyliście?

To nie było dobre pytanie. Indy udał, że nie zrozumiał. Machnął ręką w stronę góry.

– Jesteśmy ze Stanów.

Rolnik spojrzał na górę, wydawało się, że oczekuje na wyjaśnienia. Mruknął coś pod nosem do żony, która powiedziała, że są cudzoziemcami...

Starzec wskazał w kierunku przeciwnym do góry.

– Najbliżej jest wioska San Andres de Pisimbala.

Kobieta uśmiechnęła się, dotknęła ramienia Salandry, wskazała na usta.

– *Tietie hambre*?

– *Si, claro* - odpowiedziała Salandra i wyjaśniła, że zwierzęta dobrały się zeszłej nocy do ich bagażu i wszystko zjadły.

Niezłe wytłumaczenie - pomyślał Indy, wchodząc do środka. Ciekawe, gdzie Salandra nauczyła się tak dobrze hiszpańskiego.

Kobieta podgrzała garnek z gęstą zupą, w której pływały kawałki ziemniaków i mięso z kurczaka. Zjedli zagryzając pajdami świeżo

upieczonego chleba. Po zupie na stole pojawiły się czarki z gorącą kawą. W tym momencie Indy nie potrafił wyobrazić sobie nic, co smakowałoby mu bardziej niż ten prosty posiłek. Kiedy skończyli jeść, wieśniacy wytłumaczyli im, że najbliższym miastem było Popayan, a to oznaczało, że rzeczywiście byli w Kolumbii. Indy nie potrafił wytłumaczyć sobie, jak dotarli aż tutaj, ale nie dbał o to. Kiedy znajdą się w Popayan, będą mogli wsiąść do pociągu jadącego na północne wybrzeże, prawdopodobnie do Kartageny. Przypuszczał, że starczy mu pieniędzy, które wraz z paszportem ukrył w bucie. Kiedy znajdą się w Kartagenie, wyśle do Brody'ego telegram i poprosi o pieniądze na statek do Stanów.

Już wyobrażał sobie, jaką minę zrobi Brody na widok telegramu... Ale być może Brody jeszcze nie wrócił do Nowego Jorku. W sumie przecież nie trwało to aż tak długo. To może być pewien kłopot. Zresztą coś na pewno wymyśli.

– Musimy już iść - powiedział do Salandry. Podziękowali staruszkom. Indy zapytał, w jaki sposób mogą dojechać do Popayan.

– Może któryś z tutejszych jadących na targ was podwiezie, ale to może potrwać parę dni. Od marca do czerwca codziennie jeżdżą wozy z kawą, ale we wrześniu... - machnął ręką, co miało oznaczać, że nie jest to najlepsza pora na złapanie okazji.

– We wrześniu? Przecież jest chyba jeszcze czerwiec, no nie?

Wieśniak spojrzał na Indy'ego i powiedział do żony coś na temat zwariowanych cudzoziemców.

– Dzisiaj jest trzeci września.

– On wiedział - wtrąciła Salandra, poklepując Indy'ego po ramieniu - lubi żartować.

Wszyscy się roześmieli.

Schodząc w kierunku wioski, Indy miał wrażenie, jakby przejechał go czołg.

– Przecież to nie może być wrzesień, to niemożliwe.

– W podziemnym świecie czas biegnie inaczej - powiedziała Salandra. - Czas jakby rozciągnął się dla ciebie. Wydawało a się, że trwało to kilka dni, tymczasem to był długi okres.

– A co ze snem - żachnął się. - Przecież to bzdura.

– Wiem, że trudno ci się z tym pogodzić. Ponadto nie pamiętasz wszystkiego. Spędziłeś prawie trzy tygodnie na pokładzie *Caleuche*, zanim dotarliśmy do Pincoya. Potem spędziliśmy w więzieniu ponad miesiąc, nim zdołaliśmy uciec. Trudno powiedzieć, ile czasu upłynęło podczas naszego pobytu między światami. Moim zdaniem w samym labiryncie spędziliśmy co najmniej tydzień.

Musiała żartować sobie z niego.

– Masz rację. Nie pamiętam tego, w każdym razie nie w ten sposób.

– Ale to prawda, teraz już wiesz.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy? - rozgniewał się. - Pozwoliłaś mi wierzyć, że spędziłem tam tylko kilka dni.

– Nie - odrzekła - powiedziałam d, jak my postrzegamy czas wewnątrz, ale nie powiedziałam ani słowa o tym, jak ty będziesz go postrzegał. Wiedziałam, że miałbyś od tego jeszcze większy zamęt w głowie.

To dziwne przesunięcie w czasie miało przynajmniej jedną zaletę - pomyślał Indy. - Brody z pewnością będzie już w Nowym Jorku, Ciekaw byt czy dyrektor muzeum rozpowiadał o tym, że Indy został porwany przez statek widmo. Jeżeli tak, to jego zniknięcie może stać się równie głośne, jak sprawa pułkownika Fawcetta, angielskiego podróżnika, którego Indy poszukiwał swego czasu w Amazonii.

– Przepraszam, niepotrzebnie się uniosłem.

– Nietrudno to zrozumieć - odpowiedziała Salandra spokojnie.

– Gdzie nauczyłaś się hiszpańskiego? - spytał. Mówisz po hiszpańsku, jakby to był twój ojczysty język.

– Często podróżuję po twoim świecie - odpowiedziała, - Poza tym mam talent do języków, podobnie jak ty.

Wciąż nie dowierzał jej.

– Dlaczego podróżujesz tak wiele?

– Należę do grona osób, których zadaniem jest sprawowanie pieczy nad zachowaniem równowagi - odparła. - Można powiedzieć, że należy to do moich obowiązków uzdrowicielki.

– Masz na myśli równowagę między twoim światem a tym światem?

– Moim światem i twoim światem, a także między Ziemią i kosmosem.

– Sporo rzeczy wymaga utrzymywania w równowadze.

– To nie byłoby takie skomplikowane, gdyby nie utrudniano nam naszych wysiłków. Zbyt wielu jest ludzi takich jak Maleiwa czy Hitler. Ten ostatni i tak zdobędzie władzę, niezależnie od tego, czy Maleiwa mu pomoże, czy nie.

– Ja z nim nie mam nic wspólnego. Powiedziałaś mi, kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, że jesteś prywatnym detektywem.

– Owszem, również. Dzięki Maleiwie i dzięki tobie.

– Skąd wiesz, że Hitler jest tak niebezpieczny? - spytał Indy.

– To kwestia układu sit pewnego wzorca, który już się utworzył. Widzę to bardzo wyraźnie. Problem polega tylko na tym, w jaki sposób się to dokona i jak daleko pozwoli mu się zajść.

Szli w milczeniu ścieżką wijącą się po porośniętym zboczu. Indy myślał o obietnicy, którą złożył labiryntowi, o tym, że nie opuści Salandry. A przecież była to obietnica złożona pod przymusem, a dla niego oznaczało to, że nie istniała. Poza tym nie bardzo wiedział kto, a może co, żądało od niego tego przyrzeczenia.

Mimo wszystko nie chciał sprawić zawodu Salandrze. Był w swoisty sposób przywiązany do niej. Nie, to nie miłość. Nie sądził, że pokocha kogokolwiek tak, jak kochał Deirdre, swoją żonę, która zmarła trzy lata temu w Amazonii. Nigdy nie spotka już nikogo takiego jak Deirdre. To, co łączyło go z Salandrą, wynikało bez wątpienia z niezwykłych i przerażających przygód, które przeżyli razem. Wiedział, że zbliżenie nie

potrwa długo. Przede wszystkim sama Salandra stwierdziła, że jest z innego świata i powróci tam.

– Wrócisz ze mną do Roraimy, prawda? - spytała. - Muszę odnaleźć mego ojca, a przede wszystkim, jak wiesz, potrzebuję twojej pomocy, żeby odebrać Maleiwie berło.

– Chcesz, żebym wrócił do tego labiryntu! - wy krzyknął Indy. - Po tym wszystkim, co tam przeszliśmy? Nie, dziękuję.

– Na pewno nie tą drogą. Są inne bramy, które pozwalają ominąć przestrzeń między światami. Poza tym chciałabym, żebyś poznał Strażników.

– Strażników?

– Żyją w twoim świecie. Urodzili się tu i tutaj mieszkają. Mieszkają tu, ale nie są stąd. Oni powiedzą ci więcej o obu światach.

Chciał się dowiedzieć czegoś o Strażnikach, ale nagle przypomniał mu się dziwny sen, który nawiedził go w labiryncie, kiedy podczas snu bez trudu odczytał inskrypcje *rongo-rongo*. Opowiedział o nim Salandrze.

– We śnie przeczytałem, że Wyspa Wielkanocna jest bramą między światami. Pierwszą bramą.

– To nie był zwykły sen - odpowiedziała. - To, co przeczytałeś, jest prawdą. W pewnym sensie Wyspa Wielkanocna jest pępkiem świata, ponieważ jest bramą.

– Przecież istnieje mnóstwo miejsc, które niegdyś nazywano pępkiem świata, na przykład Delfy, Stonehenge, Kanion Chaco i tak dalej - stwierdził Indy.

– Oczywiście. Wszystkie te miejsca były ongiś bramami. Podobnie jak brama znajdująca się w pobliżu Orongo na Wyspie Wielkanocnej.

– Byłaś tam kiedyś?

– Przeszłam przez tę bramę, kiedy odwiedziłam cię na wyspie.

– Nie przypominam sobie żadnej wizyty.

– To była krótka wizyta. Mogłeś spostrzec mnie jako przelatującego ptaka.

– Obawiam się, że nie rozpoznałem cię - tak się przyzwyczaił do niezwykłych wypowiedzi Salandry, że niewiele mogło go zaskoczyć.

Zza zakrętu ścieżki wyłoniła się wioska. Było to kilkanaście domów stojących po obu stronach drogi. Indy zastanawiał się, jak długo przyjdzie im czekać, aż ktoś ich podwiezie do miasta, kiedy nagle dostrzegł stojącą przy drodze kamienną rzeźbę.

Podeszli do niej. Kamienna figura miała około siedmiu stóp wysokości. Przedstawiała pół człowieka, pół kota. Kocie oczy, zęby, pazury.

– Wygląda tak, jak stwór, którego widziałam w labiryncie - powiedziała Salandra. - Kot i człowiek.

– O ile się nie mylę, to jest człowiek-jaguar. To bardzo częsty motyw w mitologii i legendach od Amazonii aż po Andy.

– Jak sądzisz, co on oznacza? - spytała.

– Podobno koci bóg jest symbolem walki sił dobra ze złem - odpowiedział Indy.

– Zobacz, jest ich więcej.

Podeszli do kolejnego posągu.

– Sowa trzymająca węża w dziobie - powiedziała Salandra.

– Myślę, że to raczej orzeł, ale to nieistotne. Jedno i drugie symbolizuje światło i moc.

Podchodzili kolejno do trzech innych posągów. Wszystkie z nich miały cechy ludzkie i zwierzęce zarazem. Człowiek-jaszczurka, człowiek-wąż i stworzenie przypominające wielką żabę. Dwie ostatnie postaci przypominały Indy'emu jego wizję w labiryncie.

– Skąd wiesz tak dużo o tych stworzeniach? - spytała Salandra. - Byłeś tu już kiedyś?

– Nie, ale studiowałem mitologię i kulturę tego regionu.

– Czy w waszych książkach piszą, że te mityczne istoty inspirowane są wewnętrznym światem?

– Nie w tym sensie, o jakim myślisz.

– Świat pośredni, przez który przeszliśmy, jest miejscem, z którego wywodzi się wiele mitycznych istot. Tylko że w moim świecie są jednocześnie mitem i faktem.

Dostrzegli kolejną rzeźbę. Był to następny człowiek-jaguar, ale inny niż ten pierwszy. Na jego grzbiecie siedziała druga postać, obdarzona podobnymi kocimi cechami. Głowa jej znajdowała się bezpośrednio ponad głową postaci poniżej.

– To tak zwane przedstawienie podwójne - wyjaśnił Indy.

– Wiem. Kilka takich posągów znajduje się na Wielkim Placu w Pincoya. Mają swoje tajemne znaczenie.

Indy niejasno przypominał sobie posągi stojące na placu. Pincoya i świat wewnętrzny wydawały mu się już odległe i naprawdę nie z tego świata.

– Nie sądzę, żeby było w tym coś szczególnie tajemniczego. Myślę, że ta postać na górze jest rodzajem bóstwa lub ducha opiekuńczego.

– To możliwe - przyznała Salandra i dodała:

– Ale jest w tym coś więcej.

– To powiedz mi o tym - Indy go irytował jej sposób mówienia o różnych rzeczach, tak jakby nie była pewna, czy zdoła pojąć jej słowa. - Czy tego typu mityczne istoty są czczone w twoim świecie?

– Kamienne obrazy nie są czczone przez nikogo. Każdy z nich ma dla nas pewne znaczenie, reprezentuje sobą część tego, czym jesteśmy. Kiedy teraz spoglądam na te posągi, przypominam sobie, że wszyscy jesteśmy jednością w naszych sercach.

– Wydaje mi się, że można w nich dopatrzyć się dosłownie wszystkiego. To mi z kolei przypomina o moim zawodzie, do którego bardzo chętnie powrócę - odpowiedział.

Powrócili na drogę. Ujrzeli wóz zaprzężony w konia, zbliżający się od strony, z której przyszli. Po chwili rozpoznali starego wieśniaka siedzącego na koźle, pomachali mu rękami. Wieśniak zatrzymał wóz.

– Chcecie jechać do Popayan?

– No jasne - powiedział Indy.

– To niech pan weźmie lejce i powozi. Chcę odwiedzić mojego syna, który tam mieszka, ale bardzo szybko się męczę.

– Z przyjemnością - Indy pomógł Salandrze wsiąść na wóz, zajął miejsce starca i wziął wodze do ręki. Uświadomił sobie, że nie zna imienia tego człowieka. Gościli u niego, a nawet się nie przedstawili. Powiedział więc mu jak się nazywa, przedstawił Salandrę i dowiedział się, że ich gospodarz ma na imię Mariano.

– Przyglądaliśmy się tym posągom. Bardzo interesujące - powiedział Indy.

Mariano machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że nie mają żadnego znaczenia.

– W pobliżu San Agostin jest ich dużo więcej. Setki. Ale to nie po drodze.

– Od jak dawna mieszka pan tutaj? - zapytał go Indy.

– Siedemdziesiąt osiem lat. Urodziłem się tutaj. Przez całe życie hodowałem kawę.

Ani Indy, ani Salandra nie powiedzieli dotąd nic o indiańskim cmentarzysku w jaskini, przez którą przeszli wychodząc z labiryntu. Indy ciekaw był, czy starzec wie o niej.

– Czy zna pan tę jaskinię na górze?

– Nie chodzę tam, nie byłem tam od bardzo wielu lat. Tam mieszkają duchy.

– Cieszę się, że nas nie uważa pan za duchy - powiedział Indy.

Mariano się zaśmiał.

– Wy dwoje jesteście obcy, dziwni, ale nie jesteście duchami. Duchy nigdy nie wychodzą w dzień. Słońce razi je w oczy.

– Widział pan kiedyś te duchy? - spytała Salandra zaciekawiona.

– Trzy razy w moim życiu słyszałem ich krzyki. Pewnego razu spotkałem się z duchem twarzą w twarz. Myślałem, że to jakiś człowiek, który potrzebuje pomocy. Próbowałem zanieść go na dół, ale umarł i rozpadł się, wyglądał jak z papieru. Uciekłem, a kiedy wróciłem razem z ludźmi z wioski, nic z niego nie pozostało. Od tego dnia już tam nie chodzę.

To, co opowiadał Mariano, przypominało opowieści Salandry o tym, co się dzieje z ludźmi przechadzającymi się po nie swoim świecie bez *nalcy*.

– Myślałem, że duchy już są nieżywe - powiedział Indy.

– Wszystkie te duchy umierały. Tak przynajmniej to wyglądało. Te góry pełne są wspomnień po dawnych mieszkańcach.

Mijały godziny. Przejechali obok plantacji trzciny cukrowej i wjechali do rozłożystej doliny, w której rosły palmy, bambusy i agawy. O zachodzie słońca ujrzeli miasto.

– Popayan - oznajmił Mariano.

Niebo miało kolor różowy, pomarańczowy i jasnozielony. Temperatura nie była zbyt wysoka, co oznaczało, że znajdowali się kilka tysięcy stóp nad poziomem morza. Wkrótce dostrzegli dzwonnice, kopuły, wieże kościołów. Przyglądali się placom i fontannom, śnieżnobiałym domom, różnokolorowym kwiatom. O zmroku miasteczko wyglądało jak miasta, które Indy widział w Hiszpanii. Kiedy dojechali do dworca kolejowego, pożegnali się ze starym wieśniakiem.

Indy nie powiedział jeszcze Salandrze o swoich zamiarach, i nie był do końca pewien, jakie były jej plany wobec niego. Weszli do budynku, Indy przestudiował rozkład jazdy, wypisany na kartce przyklejonej do szyby. Ku jego rozczarowaniu okazało się, że z Popayan można było dojechać do Santa Marta, a nie do Kartageny. Prawdopodobnie będzie musiał wsiąść na statek do Kartageny i dopiero stamtąd płynąć do Stanów.

Odwrócił się do Salandry przyglądającej mu się ciekawie.

– No cóż, jadę do Santa Marta. Możesz pojechać ze mną, jeśli chcesz - powiedział.

Uśmiechnęła się.

– Miło mi, że nie zapomniałeś o mnie. Santa Marta jest właśnie miejscem, do którego się wybieramy. Tam właśnie chcemy jechać.

– Naprawdę?

Nie spodobało mu się to, co powiedziała. Sięgnął do buta i wyciągnął pieniądze, wsadził głowę do okienka.

– O której odjeżdża pociąg do Santa Marta?

– Zgodnie z rozkładem dziesięć minut temu.

– Spóźniliśmy się?

– Nie. Pociąg się spóźnił. Jeździ, jak chce.

Indy kupił dwa bilety, weszli na peron.

– Z Santa Marta jest pięć dni drogi na piechotę do miejsca w górach, gdzie spotkamy Strażników - wyjaśniła Salandra. - Góry są bardzo blisko oceanu, zobaczysz. To bardzo piękna okolica.

Indy miał ochotę powiedzieć jej, że nigdy nie zamierzał odwiedzać jej świata, a tym bardziej nie ma zamiaru tam powracać. W tym momencie jednak zerwał się wiatr, wznosząc wokół nich tuman kurzu. Zasłonił twarz ramieniem i cofnął się o krok.

– Dobrze się czujesz? - spytała Salandra tak, jakby nic nie zauważyła.

– Salandro, nie sądzę,..

Jego słowa zagłuszył pociąg wtaczający się na stację.

– Co mówisz? - krzyknęła.

Potrząsnął głową.

– Nic takiego.

Powie jej, kiedy będą już siedzieli na swoich miejscach w wagonie.

16.

PRZEŁOM

Santa Marta, Kolumbia, wrzesień 1929

Salandra oparła głowę na ramieniu Indy'ego, kiedy tylko pociąg ruszył. Wziął ją za rękę i chciał powiedzieć o wszystkim, ale ona usnęła w ciągu kilku sekund. Trudno, będzie musiał zaczekać do rana. Zamknął oczy. We śnie ujrzał koszmarny pociąg, który go gonił. Potem lokomotywa przekształciła się w głowę potwornego węża i połknęła go. Był uwięziony w środku, wnętrze pociągu dziwnie przypominało labirynt. Przed nim pojawił się ten stwór w kształcie żaby, przysunął głowę do jego twarzy. „Spędzisz tu całą wieczność, jeśli nie dotrzymasz obietnicy. Wieczność... wieczność" - powiedział.

Kiedy o ósmej trzydzieści rano pociąg przybył do Santa Marta, Indy'emu było raczej śpieszno, ale Salandra wciąż spała.

– Obudź się. Jesteśmy na miejscu.

Dziwił się, że śpi tak mocno. On sam nie mógł zmrużyć oka już od świtu.

Z trudem otworzyła powieki i wyszeptała:

– Nie czuję się dobrze. *Nalca*. Proszę.

Indy sięgnął po pojemnik, który Salandra miała przytroczony do paska. Wypiła łyk i wyciągnęła dłoń.

– Zamknij je.

– Jest dużo - powiedział Indy. - Wypij więcej.

– Trzeba oszczędzać. Będzie ci potrzebna, kiedy wrócimy.

– No tak. Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. Wiesz...

Konduktor stanął przed nimi i zażądał biletów do sprawdzenia. Spojrzał na nie pobieżnie i poszedł dalej.

– Czy możesz pomóc mi wstać? - poprosiła Salandra, - Jest mi słabo.

Wziął ją pod ramię, prędzej czy później musiał jej to powiedzieć.

– A więc tak jak mówiłem, myślę, że…

– Au! - duża i ciężka walizka uderzyła go w dół pleców. Odwrócił się i ujrzał kobietę o podwójnym podbródku, przepychającą się za nimi.

– *Senora*, mogłaby pani uważać.

Pomógł Salandrze wysiąść z pociągu. Zachwiała się, podtrzymał ją.

– Dobrze się czujesz?

Słabo kiwnęła głową. Miała szkliste oczy, ale Indy postanowił, że wreszcie powie jej to, co ma do powiedzenia.

– Posłuchaj, jeśli chodzi o tę podróż. Moim zdaniem...

– Jesteście ze Stanów?

Indy odwrócił się i zobaczył chłopaka, około czternastu lat. Czarne, potargane gęste włosy, brązowa skóra i lśniące oczy.

– Dlaczego pytasz?

– Będę waszym przewodnikiem - powiedział po angielsku z silnym akcentem hiszpańskim. - Mogę wam pokazać całe miasto i zabrać was do hacjendy San Pedro Alejandrino. Tam umarł Simon Bolivar. Niedrogo wezmę.

Natrętny dzieciak.

– Nie teraz.

Nogi pod Salandrą ugięły się, zemdlała. Indy obejmował ją w talii.

– W tej chwili nie wybieramy się nigdzie, najwyżej do hotelu.

– Pomogę panu - powiedział chłopak. Stanął z drugiej strony i usiłował przełożyć sobie rękę Salandry przez ramię, ale była dla niego za wysoka.

– Ja zajmę się panią - zadecydował Indy - ty tylko zaprowadź nas do hotelu.

– *Si, senor*. Mam na imię Ricardo. Proszę za mną, załatwię wam pokój i sprowadzę lekarza, żeby zajął się panią.

– Lekarza nie... - wyszeptała Salandra.

– Tylko znajdź nam pokój, to wystarczy, Ricardo.

Indy i Salandra przeszli przez dworzec i wyszli na ulicę.

Ricardo wezwał taksówkę - zdezelowanego forda T, do którego wsiedli wszyscy. Miasto okazało się nieduże, a budynki bardzo stare. Było to jedno z pierwszych miast założonych w Ameryce. W szesnastym wieku, kiedy osiedlili się tu Hiszpanie, było odcięte od świata i ludzi i nawet teraz w roku 1929 wciąż sprawiało wrażenie miejsca nie z tej epoki. Główny plac pokryty był płytami chodnikowymi i zastawiony donicami z kwiatami. Katedra w stylu kolonialnym stała z jednej jego strony, a hotel naprzeciwko. Indy podziękował kierowcy i z ciekawości zapytał, skąd bierze części zapasowe, kiedy psuje się jego samochód.

– Z innych zepsutych samochodów - odpowiedział.

– Tędy - wskazał drogę Ricardo. - Spodoba się wam.

To najlepszy hotel w Santa Marta.

Z zewnątrz budynek miał przybrudzone ściany i nie wyglądał szczególnie zachęcająco, ale w środku hotelowa sień oświetlona była blaskiem porannego słońca wpadającego przez wysokie okna; lśniące podłogi i boazerie, stare meble - wszystko to stwarzało miłą, domową atmosferę.

Salandra poczuła się nieco lepiej i szła już o własnych siłach, ale kiedy tylko wspięli się na drugie piętro i znaleźli się w pokoju, położyła się na jednym z łóżek.

– Czujesz się lepiej? - spytał Indy.

– Tak, ale to potrwa parę dni, zanim dostosuję się do twojego świata.

Mojego świata - pomyślał Indy - to brzmi, jakby przyznała mu prawo własności do niego. Nie wiedział już, co ma myśleć o Salandrze i o miejscu, z którego pochodzi.

– Wydawało mi się, że jesteś doświadczonym podróżnikiem. Czy za każdym razem masz takie kłopoty?

– Nie, tym razem nie miałam czasu, żeby przygotować się do przemiany - powiedziała miękkim, słabym głosem.

– A jak się przygotowujesz?

– Konieczna jest specjalna dieta. Niewielkie ilości *nalcy* przez kilka dni. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek czuła się aż tak źle. Zresztą ty na statku chorowałeś jeszcze bardziej.

– Jeszcze bardziej?

– Tak, chorowałeś przez ponad dwa tygodnie. Byłeś bliski śmierci.

Znów kwestia czasu. Przypuszczał, że nigdy tak naprawdę nie zrozumie tego, co się stało, i ostatnią rzeczą, na którą miał ochotę, było powtórzenie tego doświadczenia. Podszedł do okna i spojrzał na plac.

– Salandro, posłuchaj. Próbowałem ci już powiedzieć że nie wracam z tobą. Wracam do domu.

Nie usłyszał odpowiedzi, odwrócił się. Znów spała.

Następnego ranka Indy przechadzał się po nabrzeżu, rozglądając się za statkiem, który zawiózłby go do Kartageny. Port wyglądał jak baza wypadowa piratów, wszędzie kręciły się podejrzane typy, a on sam pasował tam całkiem nieźle ze swoim kapeluszem i batem przytroczonym do pasa. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Mój świat - pomyślał, przypominając sobie słowa Salandry. Wczoraj, kiedy spała, napisał do Brody'ego długi list opisując, co mu się przydarzyło. Prawdopodobnie będzie już w domu, zanim list zdoła do niego dotrzeć, ale chciał zapisać swoje przeżycia, uporządkować je, póki miał je w pamięci.

Niektóre wspomnienia już się zatarły, nie był pewien kolejności wydarzeń, nie miał pewności, co zdarzyło się naprawdę, a co tylko we śnie.

Ricardo czekał na niego w sieni hotelu i towarzyszył mu w drodze na pocztę, a potem do biura telegrafu, z którego Indy zadepeszował do Brody'ego po pieniądze. Indy zdecydował się płynąć do Kartageny i zamierzał powiedzieć Salandrze, że wyjedzie, kiedy tylko dostanie pieniądze. Tego ranka czuła się znacznie lepiej, choć nie aż tak, żeby wyjść z pokoju.

Ćwierć mili od brzegu wyłaniała się z morza niewielka, skalista wysepka, w oddali widać było jakąś większą wyspę. Być może pewnego dnia malownicze karaibskie wybrzeże przyciągnie hordy turystów. Na razie jednak było to małe miasteczko zapomniane przez Boga i ludzi.

Indy i Ricardo weszli do portu. Kilka rybackich stateczków było przycumowanych do mola. Indy spytał o możliwość przejazdu do Kartageny, ale żaden z rybaków nie wybierał się tam.

– Indy! - krzyknął Ricardo, biegnąc w jego stronę.

– Znalazłem kapitana frachtowca. To nie jest bardzo dobry statek, ale pływa tam i z powrotem z dostawami żywności.

Zaprowadził Indy'ego na drugą stronę ulicy do nadbrzeżnej tawerny. W środku było ciemno, przez chwilę musieli przyzwyczajać się do ciemności. Potężnie zbudowany, brodaty mężczyzna, który wyglądał tak, jakby pił od wschodu słońca, opierał się o bar, z kieliszkiem w dłoni.

– To jest mój przyjaciel, który chciałby popłynąć do Kartageny.

Kapitan spojrzał zamglonym wzrokiem na Indy'ego.

– Wróć za jakiś tydzień. Będę wypływał za tydzień, ale trzeba będzie trochę zapłacić z góry.

– Pomyślę o tym - powiedział Indy.

– Nie myśl za długo! - zawołał za nim pijak.

– Chodźmy stąd - rzekł Indy do Ricarda, gdy wyszli z tawerny. Trzeba będzie spróbować później.

– *Senor* Indy, mam jedno pytanie - powiedział Ricardo. - Dlaczego powiedział pan, że tylko pan chce jechać do Kartageny? Czy ta pani, która jest z panem, zostaje tutaj?

– Ona wybiera się w góry, kiedy poczuję się lepiej. Ja muszę wracać do Stanów - Indy zdawał sobie sprawę, że brzmiało to dość absurdalnie, ale co go to w końcu obchodziło. Chłopak nie orientował się w jego sytuacji, a Indy nie miał zamiaru mu jej objaśniać.

– W góry, sama?

– Ona to lubi - powiedział wymijająco.

– Czy wie pan, dokąd się wybiera?

– Mówiłem, w góry. Sierra Nevada de Santa Marta.

– Jest wiele szczytów, ale my nazywamy to jedną górą. Najwyższy szczyt ma prawie dziewiętnaście tysięcy stóp i jest oddalony tylko o dwadzieścia sześć mil od wybrzeża. Nigdzie indziej nie ma takich wysokich gór tak blisko oceanu.

– Widzę, że jesteś nieźle zorientowany.

– Uczyłem się o tym w szkole, a ksiądz, ojciec James, zabierał nas na wycieczki w góry.

– Chodzisz do szkoły?

– Musiałem przestać, pracuję. Moja rodzina potrzebuje pieniędzy.

– Co jeszcze wiesz o tych górach? - Może wynajmie Ricarda jako przewodnika dla Salandry. Pewnie będzie potrzebowała przewodnika.

Ricardo jednym tchem wyrecytował wszystko, co wiedział, jak zadaną lekcję... Wynikało z tego, że obrzeża i niższe partie gór były suche i nieurodzajne, w wyższych partiach rosły tropikalne lasy. Jeszcze wyżej, na szczytach i wysoko położonych płaskowyżach panowała chłodna, zimowa atmosfera.

– Czy żyją fam jacyś ludzie?

– Niewielu, głównie rolnicy. Życie tam jest bardzo ciężkie.

– Słyszałeś kiedyś o jakichś ludziach mieszkających w górach, zwanych Strażnikami?

Ricardo zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Nie, ale może Kogi będą coś o nich wiedzieć.

– Kto taki?

– Kogi, wie pan, tacy Indianie - wskazał ręką w stronę gór. - Żyją tam, wysoko.

Indy nigdy nie słyszał o nich. Przypuszczał, że musi to być jakiś niewielki szczep, prawdopodobnie potomków Taironów, znanych z kunsztu obróbki złota. Zamieszkiwali ten region przed przybyciem Hiszpanów.

– Czy są przyjaźnie nastawieni?

Ricardo zawahał się.

– Kogi nie są szczególnie przyjaźni. Ojciec James zawsze próbował rozmawiać z nimi o Bogu, ale wcale go nie słuchali. Powiedział, że ze wszystkich Indian właśnie Kogi są najtrudniejsi do nawrócenia. Mówił, że są to zbłąkane dusze, które wpadły w ręce szatana.

Szli w stronę głównego placu. Może warto porozmawiać z tym księdzem i zobaczyć, czego jeszcze zdoła się dowiedzieć - pomyślał Indy. Zaczął mieć wyrzuty sumienia, nie był pewien, czy może zostawić Salandrę samą.

– Czy ojciec James jeszcze chodzi w góry do tych Kogi?

Ricardo milczał przez chwilę.

– Wybrał się do nich w zeszłym miesiąca. Miał wrócić dziesięć dni temu, ale ciągle jeszcze go nie ma, Ludzie zaczynają się niepokoić.

Indy zastanowił się głęboko. Chyba rzeczywiście nie mógł zostawić chorej kobiety na łasce losu.

– Powiem ci coś. Jeżeli Salandra jeszcze będzie chciała iść w góry, jak wyzdrowieje, to pójdę z nią i zobaczymy, czego zdołamy się dowiedzieć o księdzu.

– *Muy bien. Muy bien.* Powiem mojej matce, a ona powie wszystkim innym. Ja też mogę pójść? Pokażę wam drogę do wioski Indian. Byłem tam

z księdzem ostatnim razem.

– Zobaczymy.

Indy był już myślami gdzie indziej. Pójdzie z Salandrą w góry, ale to wszystko. Kiedy tylko znajdzie tych swoich Strażników, zostawi ją samą.

17.

SIERRA NEVADA

Indy sączył kawę w hotelowej restauracji i dyskretnie przyglądał się Salandrze.

Niezwykle szybko powróciła do zdrowia. Jeszcze dwa dni temu dosłownie zaniósł ją do łóżka, a teraz nie tylko była w pełnej formie, ale wręcz tryskała energią.

– Dałam Ricardowi listę rzeczy, których potrzebujemy - powiedziała. - Za parę godzin wszystko będzie gotowe.

– Jesteś pewna, że czujesz się już dostatecznie dobrze?

– Oczywiście - machnęła ręką lekceważąco. - Czy powiedziałeś chłopcu, że może iść z nami?

– Raczej nie - przełknął kęs jajecznicy. - Przypuszczałem, że matka go nie puści. A on wciąż się upiera, żeby iść z nami?

Skinęła głową.

– Powiedziałam mu, żeby wynajął trzy konie. Może nam towarzyszyć dopóty, dopóki będzie można jechać konno. Dalej musimy pójść sami.

Musiała dostrzec wątpliwości w spojrzeniu Indy'ego, ponieważ dodała:

– Nie martw się. Znam drogę. Schodziłam z gór i wchodziłam na nie wiele razy.

Indy zauważył, że powiedziała „wchodziłam na nie" i że na pierwszym miejscu wymieniła schodzenie, tak jakby było to zupełnie normalne.

– Sama?

– Zwykle tak.

Jakoś nie potrafił wyobrazić sobie Salandry wędrującej cztery dni przez góry i potem przybywającej do tego miasteczka. Jeśli nawet udałoby jej się uniknąć kłopotów i przeżyć w dżungli, to tutaj szanse były raczej niewielkie. Wzrostem i urodą rzucała się w oczy. Ale nieważne, w tej chwili miał inny problem.

– Muszę ci o czymś powiedzieć.

– Zeszłego wieczoru Salandra jeszcze nie czuła się najlepiej i Indy odłożył na później rozmowę o księdzu. Teraz jednak opowiedział jej wszystko, podkreślając, że mogło się to stać za sprawą Indian, Jeżeli zdoła ją zniechęcić do wędrówki w góry, to tym lepiej. Być może jest jakaś inna droga wiodąca z powrotem do jej świata.

– To przykra historia z tym księdzem, ale nie sądzę, żeby Kogi mieli z tym coś wspólnego - odpowiedziała. - Ich nie obchodzą misjonarze. Są zamknięci w sobie, ale nie bywają niebezpieczni.

– Spotkałaś ich kiedyś?

Zaśmiała się.

– Nie można spotkać Strażników, nie spotykając się z Indianami Kogi.

Indy wypytywał ją dalej, ale nie wyciągnął z niej nic więcej ani o Indianach Kogi, ani o Strażnikach. Po kilku minutach powrócili do hotelu. Dyrektor skłonił się Indy'emu i powiedział mu, że otrzymał telegram ze Stanów.

Świetnie. Nadeszły pieniądze. Salandra czekała na Ricarda, a Indy wybrał się do urzędu telegraficznego. Otrzymał pieniądze od Brody'ego, który dopisał krótką notkę: ŻYJESZ! WSPANIAŁA WIADOMOŚĆ. WRACAJ PRĘDKO.

– Robię, co mogę - mruknął Indy i wrócił do hotelu.

Ricardo i Salandra już czekali na niego, konie i żywność były gotowe. Indy złożył pieniądze w sejfie hotelowym.

Wczesnym rankiem Wyjechali z miasta, Z początku wędrowali wzdłuż wybrzeża, jechali najpiękniejszą plażą, jaką Indy kiedykolwiek w życiu widział. Pustkowie, biały piasek, palmy i spokojne wody Morza Karaibskiego wywierały na nim niesamowite wrażenie. Wyobraził sobie, jak kąpie się w morzu z Salandrą, jak piją mleko z kokosów, którymi usiana była plaża, jak śpi obok niej pod gwiazdami. Mogą odesłać Ricarda i zostać zupełnie sami.

Dotarli do osłoniętej od wiatru kotlinki, nie mógł się powstrzymać. Zatrzymał konia i zsiadł z niego.

– Może moglibyśmy zostać tutaj jeden dzień, zanim wybierzemy się w góry.

Salandra odetchnęła głęboko morskim powietrzem.

– Ładnie tutaj.

– Obawiam się, że to miejsce nie będzie wam się tak bardzo podobać o zmroku - wtrącił się Ricardo. - To nie jest dobre miejsce.

– Dlaczego? - spytał Indy. - Moim zdaniem wygląda znakomicie.

– Nie macie moskitier. Komary nie dadzą wam zasnąć przez całą noc, a wampiry są jeszcze gorsze. Nad ranem będziecie cali we krwi.

– Wampiry? - zdziwiła się Salandra.

– Nietoperze - wyjaśnił Ricardo.

– Dlaczego nie powiedziałeś nam, że będą potrzebne moskitiery? - spytał Indy gniewnie.

– Bo nie mówiliście, że chcecie nocować na plaży. Jeżeli nie będziemy się zatrzymywać, to możemy zajechać dziś jeszcze dostatecznie wysoko, tam gdzie nie ma komarów.

– A wampiry? - spytała Salandra.

– Też ich tam nie ma - powiedział.

– Myślę, że musimy jechać dalej, Indy.

– Tak, Chyba tak - Indy wsiadł z powrotem na konia. - Zresztą nigdy nie przepadałem za plażą. Za dużo piasku.

Ruszyli, Wkrótce zaczęli wspinać się na zbocze góry. W oddali lśniły dwa jasnobłękitne szczyty. W świetle poranka wyglądały jak dwa diamenty zawieszone na niebie.

Jechali pośród migdałowców i nerkowców, najczęściej jednak nadbrzeżny płaskowyż porośnięty był suchymi, kolczastymi krzewami i kaktusami, co jakiś czas trafiały się agawy. Trudno było uwierzyć, że o parę mil stąd zaczyna się tropikalna dżungla, a powyżej - lodowata tundra.

Słońce grzało coraz mocniej. Indy skoncentrował się na wyobrażeniu, w którym widział siebie pływającego w chłodnej, błękitnej wodzie. Wyobrażał sobie, jak nurkuje w koralowej rafie, przygląda się muszlom, gąbkom i kolorowym rybom. Wynurza się z wielkim krabem w jednej ręce i homarem w drugiej, a skąpo odziana Salandra zbiera drewno na ognisko. To wszystko nigdy się nie zdarzy, ale wyobrażenia powodowały, że droga mniej się dłużyła.

Późnym popołudniem jechali już przez tropikalny, wilgotny las, Cedry i palmy wyrastały wysoko w górę, a pod nimi kłębił się gąszcz avocado i drzew laurowych, kauczukowców i chlebowców. Wokół rosły kolczaste krzewy pokryte jagodami. Pnące się liany lśniły kwiatami rozmaitych kolorów, szczelnie oplatając wszystkie inne rośliny. Ziemia była wilgotna, gdzieś w pobliżu rozlegał się szum strumienia. Nie było bardzo gorąco, o wiele przyjemniej niż na pustynnym płaskowyżu w pobliżu brzegu morza. Indy, ku swemu zadowoleniu, stwierdził, że Ricardo miał rację co do tego, że w dżungli nie ma już komarów.

Zsiedli z koni i prowadząc je za uzdy, doszli do polanki w pobliżu strumienia, idealnej na obozowisko. Odtąd będą szli na piechotę, konie z trudem przedzierały się przez gęste zarośla.

Na razie nadeszła pora noclegu. Tej nocy Ricardo został z nimi, wszyscy trę je zjedli gęsty gulasz przygotowany w restauracji hotelowej. Jedząc Indy myślał o Indianach Kogi, księdzu i Strażnikach. Zorientował się, że

Salandra nie życzy sobie, by wspominał o Strażnikach w obecności Ricarda, a Indy nie zamierzał omawiać swoich planów przy chłopcu.

Zeskrobał resztki z drewnianej miseczki, wziął dwie pozostałe i poszedł do strumienia, żeby je umyć. Ricardo szedł za nim jak wiemy pies.

– Uważaj na węże - ostrzegł Indy.

– Zawsze uważam. Na węże i inne stworzenia - powiedział Ricardo i zdjął coś z ramienia Indy'ego. Gdy się odwrócił, zobaczył w palcach Ricarda sporego patyczaka.

– Są niegroźne - powiedział i rzucił go na bok.

– Co się zdarzyło wtedy, gdy poszedłeś z księdzem do wioski indiańskiej? - spytał Indy w drodze powrotnej.

– Nic takiego. Ksiądz kazał mi czekać poza obrębem wioski. Ojciec James spędził tam bardzo niewiele czasu. Wrócił wkrótce i powiedział, że musimy wracać i że Indianie nie chcą z nim rozmawiać.

– I po prostu pojechaliście sobie? - spytał Indy.

Ricardo skinął głową.

– Nie było po co zostawać.

Salandra leżała już wyciągnięta w hamaku. Spoglądała w mrok, na niebo bez gwiazd, zasłonięte gęstym listowiem. Ciekaw byt o czym myślała.

– Zmęczona?

– Gdzie jest Ricardo? - spytała półgłosem.

– Oporządza konie.

– Jest w nim coś, czego nie rozumiem - powiedziała.

– Co masz na myśli?

– Nie wiem, wydaje mi się, że coś przed nami ukrywa.

Indy się roześmiał.

– Idź spać. Jesteś zmęczona.

Indy rozwiesił hamak pomiędzy dwoma drzewami. Wciąż myślał o tym, co Ricardo mu opowiedział. To dziwne, że ksiądz wrócił do tych Kogi, którzy go wygonili. W końcu musiał odbyć daleką drogę. Być może

wiązało się z tym coś więcej, niż wiedział ten chłopak, może więcej niż chciał powiedzieć.

Rano Indy wręczył Ricardowi pieniądze za żywność i jego usługi, dodając do tego wysoki napiwek. Podziękował chłopcu, życząc mu wszystkiego najlepszego. Ricardo wcisnął pieniądze do kieszeni, nie licząc ich.

– Jesteście pewni, że nie mogę pójść z wami? Moja mama nie będzie się niepokoić. Mógłbym zostawić konie w ostatniej farmie, którą minęliśmy i dogonić was potem.

– Poradzimy sobie, Ricardo. Nie martw się. Postaramy się też czegoś dowiedzieć o ojcu Jamesie.

– Dziękuję - powiedział chłopak smutnym głosem. Spoglądał za Indym i Salandrą znikającymi w gąszczu.

Powitały ich krzyki wyjców, nad ich głowami przeleciało stadko jaskrawo ubarwionych papug. Poruszali się ścieżkami wydeptanymi przez zwierzęta, w pewnym momencie natknęli się na parę dzikich świń, które uciekły w las z głośnym kwikiem. Salandra prowadziła, szła pewnie i zdecydowanie na południe, zmierzając w stronę przeciwną do morza. Las tworzył zamknięte sklepienie nad ich głowami, gigantyczne liście paproci okryte rosą sprawiały, że cień był jeszcze głębszy.

Koło południa natrafili na drogę wykładaną kamieniami. Indy odgarnął warstwę mchu i ziemi, pod którą dostrzegł równo ułożoną, kamienną kostkę.

– Kiedyś w tych górach znajdowały się liczne skupiska ludzkie - powiedział. - Hiszpanie zniszczyli całą cywilizację w ciągu kilkudziesięciu lat.

– Wiem - powiedziała Salandra. - Niektórzy zdołali uciec do świata wewnętrznego. Bez wątpienia dzięki pomocy Strażników.

– To przypomina bardziej indiańską legendę niż wydarzenie historyczne.

Uśmiechnęła się i nie powiedziała nic więcej.

W miarę jak wspomnienie świata wewnętrznego się oddalało, wszystko wydawało się Indy'emu tylko snem. Postanowił jednak ciągnąć tę rozmowę.

– Ile jest przejść między światami?

– Dużo. Mam dostęp do kilku na trzech kontynentach.

– Dlatego, że jesteś córką króla?

– Nic podobnego. Znajomość punktów przejścia osiąga się poprzez wysiłek umysłu, poszukiwanie najwyższego wymiaru.

– Mówiłaś chyba, że jest to przywilej przyznawany przez Radę.

– Tak - odparła Salandra - ale oni są w mocy chronić tylko główne przejścia, najłatwiejsze do pokonania.

– Przez które bramy może przechodzić Maleiwa?

– Przez wiele, zbyt wiele.

– A ta w tych górach?

– Jest najłatwiejsza ze wszystkich. Dlatego jest właśnie nieustannie pilnowana.

Przez następne dwa dni Indy i Salandra wspinali się po stokach. Brodzili w strumieniach i przedzierali się przez gąszcz, temperatura była idealna, nie było ani gorąco, ani zimno. Każdego popołudnia musieli jednak chronić się na parę godzin przed tropikalnym deszczem.

Ulewa trwała krótko, wszystko potem lśniło od wody. Grunt był cały czas wilgotny. Jedynie wtedy, kiedy poruszali się dawnymi drogami wykładanymi kamieniem, ich stopy pozostawały suche. Dwa razy Indy dostrzegł odciski ludzkich stóp na ścieżce i zastanawiał się, kto oprócz nich podążał tymi szlakami. Kilka razy zatrzymywał się i rozglądał dookoła, gdyż zdawało mu się, że są obserwowani, ale spostrzegał tylko przelatującego ptaka lub węża zsuwającego się wzdłuż pnia drzewa.

Trzeciego dnia Indy'emu zrobiły się pęcherze na stopach. Utykał nieco, więc musieli iść wolniej. Późnym popołudniem, kiedy szli ścieżką osłoniętą

z jednej strony pradawną ścianą wybudowaną z kamieni i porośniętą pnączami, Salandra zatrzymała się nagle. Obok ścieżki leżała sporej wielkości gliniana urna. Tuż przy niej spostrzegli świeżo wykopany dół.

– *Huaqueros!* - krzyknął Indy. - Plądrują groby Taironów.

Wskoczył do dołu i zobaczył kilka rozrzuconych kości. Chciał przyjrzeć się im dokładniej, ale Salandra zawołała go po imieniu.

Wpatrywała się w drugi dół. Na dnie widać było ludzką szczękę i kilka żeber. Obok kości leżała łopata.

– Niszczą wszystko - powiedziała Salandra.

Indy rozglądał się dookoła.

– Muszą być gdzieś w pobliżu.

Jakby na ten sygnał pojawili się trzej mężczyźni, jeden ze strzelbą w ręku. Żaden z nich nie miał więcej niż około trzydziestu stóp wzrostu. Byli chudzi i mieli na sobie podarte ubrania pokryte kurzem, na twarzach widać było smugi brudu.

– Coście za jedni? - zapytał mężczyzna ze strzelbą.

– Miałem zapytać o to samo - powiedział Indy.

Roześmieli się.

– Chcecie naszego złota, co? Nic nam nie ukradniecie.

– Nie szukamy złota - Indy ostrożnie zaczął odpinać bicz zwinięty przy pasku. Z miejsca, w którym się znajdowali, nie mogli widzieć jego ręki.

Człowiek ze strzelbą uniósł broń.

– To jest nasze odkrycie. Ręce do góry - rozkazał.

Indy posłusznie uniósł ręce. Bicz zwisał u jego boku gotów do użycia. Nie miał jednak zamiaru ryzykować. Przyszło mu do głowy, że być może właśnie rozwiązała się zagadka śmierci księdza.

– Do dołu. Oboje... *La mujer! Donde esta la mujer*?

Indy rozejrzał się szybko dokoła i spostrzegł, że Salandra znikła. Dwaj rabusie przeszukiwali zarośla. Człowiek ze strzelbą wyglądał na zdezorientowanego i Indy postanowił skorzystać z zamieszania. Chwycił

bicz i uderzył nim tak, że koniec owinął się wokół lufy karabinu. Szarpnął go i chwycił broń lewą ręką.

Mężczyzna zaklął i rzucił się w kierunku Indy'ego. Przez chwilę wyrywali sobie strzelbę, wpadli do dołu, gdzie tarzali się przy dźwięku łamanych, spróchniałych kości. Indy był większy i silniejszy od napastnika, poradził sobie z nim szybko. Spojrzał w górę, spodziewając się, że jego towarzysze w każdej chwili mogą skoczyć na pomoc. Oni jednak także gdzieś znikli.

– Ale masz kumpli. Dali nogę.

Mrożący krew w żyłach krzyk wielkiego kota rozległ się nagle. Kilka sekund później obaj rabusie biegli z powrotem. Ich oczy rozszerzone były ze strachu, skoczyli do dołu. Żaden z nich nie próbował atakować Indy'ego.

– Jaguar! - krzyknął jeden z nich. - Jest bardzo blisko!

– Nie ruszać się! - Indy wycelował strzelbę w ich stronę. Jednocześnie spoglądał uważnie na dżunglę.

– Boicie się kotka, chłopaki?

– Szedł prosto na nas - powiedział jeden z nich, dysząc ciężko. - Wcale nie był mały.

Salandra wyłoniła się z zarośli.

– Widzę, że dobrze sobie radzisz - powiedziała.

– Uważaj! - krzyknął Indy. - Gdzieś tu kręci się jakiś duży kot.

– Chyba poszedł sobie - odrzekła.

– To dobrze. I bez niego mamy dość roboty - Indy przytknął lufę strzelby do brzucha *huaquero*. - Dobra. Co zrobiliście z księdzem?

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nic nie wiem o żadnym *padre*.

– Nie podoba mi się twoja odpowiedź - Indy odwrócił się do dwóch pozostałych. - Gdzie jest ksiądz? - przyłożył lufę strzelby do czoła tego, który wyglądał na najbardziej przerażonego. - Kto go zabił?

– *Senor*, nic nie wiemy o żadnym *padre*. My nie zabijamy nikogo. My jesteśmy głodni, biedni *campesinos*. Mamy rodziny. Nie jesteśmy mordercami. Nie mamy też złota.

– To prawda - powiedział inny.

Indy odwrócił się do pierwszego.

– Dlaczego celowałeś do mnie ze strzelby?

– Myślałem, że jest pan bandytą.

– Puść ich, Indy - powiedziała Salandra. - Mówią prawdę.

Był dokładnie tego samego zdania, ale nie zamierzał ich jeszcze wypuścić.

– Bierzcie łopaty i do roboty. Macie zakopać te doły.

Jeden z nich zaprotestował, Indy gwałtownym ruchem podsunął mu strzelbę pod nos.

– Coś nie tak?

– Nie, *senor*.

Kiedy dziury zostały zakopane, słońce chyliło się już ku zachodowi, a cienie drzew stawały się coraz dłuższe.

– Dobra, jazda stąd.

– Oddaj mu strzelbę, Indy - powiedziała Salandra.

– Żartujesz?

– Nie są groźni, poza tym i tak nie możesz zabrać jej do wewnątrz. Nie przejdzie przez bramę.

Indy wyjął naboje ze strzelby i rzucił je w las. Oddał strzelbę właścicielowi.

– Jeżeli jeszcze raz przyłapię któregoś na rozgrzebywaniu grobów, to następny grób będzie jego własnym grobem!

Huaqueros odwrócili się i znikli w gąszczu.

– I to chyba byłoby tyle - powiedział Indy. - Jest tylko jeszcze jeden problem.

Znów chciał powiedzieć Salandrze, że nie ma zamiaru powrócić do jej świata, ale słowa uwięzły mu w gardle. Na skałach tuż nad nimi stało kilku mężczyzn. Mieli czarne włosy zwisające do ramion, ubrani byli w obszerne białe tuniki i spodnie sięgające do połowy łydki. Każdy z nich miał na ramieniu torbę, w rękach trzymali dziwne przedmioty o wrzecionowatym kształcie.

– Salandro!

– Widzę.

– Czy to są Kogi?

– Tak... inaczej mówiąc Strażnicy. To jedno i to samo.

18.

STRAŻNICY

– Rozpoznajesz któregoś z nich? - spytał Indy przyciszonym głosem.

– Oczywiście. Znam ich wszystkich - odpowiedziała Salandra - są moimi przyjaciółmi.

Indy pomachał im ręką, Kogi wpatrywali się w niego, ale żaden nie odpowiedział na jego pozdrowienie.

– Cieszę się, że są twoimi przyjaciółmi. Może spytaj ich o tego księdza?

– Nie teraz - postąpiła parę kroków do przodu i pozdrowiła ich w jakimś nie znanym Indy'emu języku. Przeszła na hiszpański. - Mama Juan. Nasza droga wiedzie do bramy. Czy idziecie naszą drogą?

Najstarszy z nich pochylił się do stojącego obok niego mężczyzny i wyszeptał kilka słów. Indy podszedł do Salandry.

– Jak go nazwałaś?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, najstarszy Kogi skinął na nich niecierpliwie ręką, dając im znak, żeby wspięli się na górę. Indy zaniepokoił się nieco, ale zachowanie Salandry wskazywało, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Mama Juan, pragnę przestawić wam mojego przyjaciela, Indy'ego. Idzie ze mną. Potrzebujemy jego pomocy.

Człowiek, do którego zwróciła się, był niski, jego twarz pokryta była siatką zmarszczek. Przyglądał się Indy'emu z wielką ciekawością.

– A więc to ty. Słyszałem o tobie.

– Naprawdę?

Mam Juan wskazał na ścianę dżungli.

– Tędy. Chodźcie z nami.

Ruszyli, Indy wziął Salandrę pod ramię. Kogi ciekawili go bardzo, a jednak nie miał zamiaru dać się zaciągnąć z powrotem do świata Salandry.

– Wracam do Santa Marta.

Rzuciła okiem w stronę Kogi idących przed nimi i odwróciła się do Indy'ego.

– Proszę cię, chodź ze mną. Przynajmniej dziś wieczorem. Jeżeli jutro rano nie zmienisz zdania, pożegnamy się.

Indy miał ochotę odejść i nie odwracać się za siebie. Przypomniał sobie w tej chwili o księdzu, niczego się nie dowiedział, a obiecał Ricardowi, że to zrobi. Kiwnął głową, ruszyli szybkim krokiem za Kogi. Dzisiaj - postanowił - dowie się o losach ojca Jamesa, a jutro uda się w drogę powrotną.

Zapadł zmrok. Indy'ego bolały stopy, był zmęczony. Jeśli Kogi prowadzili ich jakąś drogą, to Indy nie był w stanie jej dostrzec. Szli tak prędko i było tak ciemno, że wszystko wydawało się ciemnozieloną zamgloną plamą. Kiedy doszli do następnej polany, była już prawie noc. Na środku polany stała chata o spadzistym dachu. Na jego szczycie znajdował się drugi, mniejszy dach z którego sterczał drewniany kij przypominający antenę radiową. Do środka prowadziło szerokie wejście, ale nie było żadnych drzwi, a ściany zrobione były z plecionki nie stanowiącej najmniejszej przeszkody dla insektów. Przynajmniej jakaś ochrona przed deszczem - pomyślał.

– To jest ich wioska? - spytał Indy.

– Nie, tylko schronienie na noc - odpowiedziała Salandra. Kogi weszli gęsiego do środka. - Zaczekajmy tutaj, aż nas zaproszą do środka.

Salandra nie powiedziała mu zbyt wiele o Kogi i nie wspomniała ani słowem o tym, że to właśnie oni byli tymi Strażnikami. Teraz, kiedy

zastanawiał się nad tym, pomyślał, że mógł się tego spodziewać na podstawie opowieści Ricarda o ich spotkaniu z księdzem. Jeżeli Kogi opowiedzieli mu o świecie wewnętrznym, to ksiądz bez wątpienia mógł myśleć, że są w zmowie z diabłem.

– Kiedy zapytasz ich o księdza? - spytał siadając na kamieniu i rozsznurowując buty.

– Po jedzeniu.

Indy zdjął jeden z butów i zaczął rozcierać obolałą stopę.

– Najpierw kolacja. Dobry pomysł. Dlaczego twój przyjaciel tak dziwnie się nazywa? - zsunął drugi but. - Dlaczego mówisz na niego „mama"?

Roześmiała się.

– Mama znaczy kapłan - przyklękła i ściągnęła mu skarpetkę. - Ich bóg jest rodzaju żeńskiego, to bogini ziemi, ale tylko mężczyźni używają przydomka Mama.

– Chyba rozumiem - zafascynowany przyglądał się ręce Salandry, przesuwającej się wzdłuż spodu jego stopy. Nie dotknęła go, ale poczuł ciepło i mrowienie, nie był pewien, czy pochodziło od jej ręki, czy było zwykłą reakcją stopy uwolnionej od buta.

– Porównują Boginię Matkę z Sierra Nevada - dodała. - Las jest jej skórą, rzeki są żyłami, w których płynie krew. Nocne niebo jest jej przykryciem. Postrzegają ją zarazem jako symbol i jako prawdziwą istotę.

Indy spoglądał w niebo na migoczące gwiazdy, widział je po raz pierwszy, odkąd zagłębili się w dżunglę.

– Ładne porównanie - powiedział. - Czy to ta sama Bogini Matka, o której mówiłaś?

– Tak, poniekąd tak. My nazywamy ją Rhea.

– Tak jak starożytni Grecy.

– To nie przypadek - powiedziała rzeczowo. - Ten świat jest pod wieloma względami odbiciem świata wewnętrznego i na odwrót. Jak twoja stopa?

– Znacznie lepiej. Co robisz?

– Leczę twoje pęcherze - zajęła się drugą stopą, od razu poczuł to samo ciepło i mrowienie, tym razem był pewien, że w jakiś sposób było to związane z jej ręką.

Rozluźnił się, ale właśnie w tym momencie zobaczył długiego, cienkiego węża pełznącego w ich stronę.

– Nie ruszaj się!

Salandra wpatrywała się w węża, Indy sięgnął po bicz. Wąż był niewielki, ale wyglądał bardzo podobnie do żmii koralowej - małej, lecz śmiertelnie jadowitej. Wąż znieruchomiał w pewnej odległości od nich, uniósł głowę i zaczął wpatrywać się w Salandrę. Po chwili zawrócił w stronę dżungli. Indy zdjął rękę z bicza.

– Wąż to dobry znak - powiedziała Salandra.

– Jeżeli o mnie chodzi, to węże nigdy nie są dobrym znakiem - odparł Indy, gdy gad zniknął z pola widzenia. A jednak wąż jest symbolem mądrości i sił chtonicznych w wierzeniach niektórych Indian, Kolejne odbicie jednego świata w drugim - pomyślał.

Nocne zwierzęta powoli rozpoczynały koncert, który miał trwać aż do świtu. Być może dżungla była Boginią Matką, on miał jednak ochotę rozłożyć swój hamak wewnątrz chaty, jeżeli nawet nie była idealnie zabezpieczona przed robactwem i wężami. Nagle przyszło mu do głowy, że być może wcale nie są bezpieczni pośród Kogi.

– A może to oni zabili księdza? Nie obawiasz się, że mogą zwrócić się przeciwko nam?

– Nie - powiedziała, poklepując go po stopie. Oznaczało to, że zakończyła swą uzdrowicielską działalność. - Znają mnie, a ty im się podobasz.

– Skąd wiesz?

– Przyglądali ci się, jak rozprawiałeś się z *huaqueros*. Zrobiłeś na nich wrażenie.

– Skąd wiesz, że patrzyli?

– Zobaczyłam ich, kiedy schowałam się w lesie.

Indy'emu przypomniało się coś, o czym prawie zapomniał.

– Widziałaś tego jaguara?

– To właśnie był Mama Juan.

– Doprawdy? - powiedział Indy kpiąco. - Domyślam się, że widziałaś, jak zmienia się w jaguara?

– Nie, ale to naprawdę był on.

– Ale skąd wiesz, że to był on?

Roześmiała się i pokręciła głową.

– Nigdy nie spotkałam człowieka, który zadawałby tyle pytań co ty. Nawiasem mówiąc, sama to robiłam.

– Co? Zmieniałaś się w jaguara.

– Nie w jaguara, w sokoła.

– Czy właśnie w ten sposób podróżujesz, kiedy jesteś w tych okolicach?

Skinęła głową.

– Owszem, a w Santa Marta zazwyczaj pojawiam się jako stara kobietą, więc nie zwracam na siebie uwagi.

Rzeczywiście, mówiła coś o Pincoyanach, którzy potrafili przybierać różne kształty, ale wszystko, co dotyczyło tego miejsca, wydawało mu się nierealne.

– Chcesz przez to powiedzieć, że możesz zmienić się tak po prostu w cokolwiek?

– Mówiłam d, że jestem czarownicą.

– No to dlaczego po prostu nie pofrunęłaś na górę zamiast mozolnie wspinać się taki kawał?

Uśmiechnęła się i dotknęła jego ręki.

– Ponieważ byłam z tobą.

No cóż, to już nie potrwa długo.

– Mogłabyś się teraz zmienić w coś? - spytał wyzywająco. - Chciałbym to zobaczyć.

Salandra cofnęła rękę. Jej twarz jakby zwęziła się, oczy stały się większe, odwróciła głowę na bok i zamrugała. Przez chwilę Indy'emu wydawało się, że naprawdę patrzy na głowę sokoła. Spojrzała znów w jego stronę, wyglądała tak samo jak dawniej. To było tylko chwilowe złudzenie.

– Indy, nie zajmuję się pokazywaniem sztuczek. Zmiana kształtu jest związana z użyciem mocy, którą wykorzystuje się w określonym celu, a nie na pokaz.

Mam Juan wyszedł na zewnątrz i gestem zaprosił ich do środka. Indy zaczął się zastanawiać, czy świat wewnętrzny nie jest odbiciem jej magii i czy nie został usidlony przez to odbicie.

Mężczyźni siedzieli na podłodze, Indy i Salandra usiedli pośród nich. Podano posiłek, przez cały czas nikt nie odzywał się ani słowem. Tak jakby w ogóle ich nie było.

Kolacja składała się z mieszanki kukurydzy i juki oraz innych warzyw, których Indy nie był w stanie rozpoznać. Wszystko było zawinięte w liście bananowe i upieczone na ogniu. Jedzenie było znakomite, do picia podano im herbatę osłodzoną miodem.

Kogi skończyli jeść i zajęli się swymi wrzecionami, przędąc nici z surowego włókna. Wrzeciona były szerokie pośrodku i zaostrzone na obu końcach.

– Czy oni zajmują się tkactwem?

– Tak, ale nie tylko - powiedziała Salandra.

Naprzeciwko Indy'ego siedział Mama Juan. Indy przyglądał się mu. Jego karnacja miała kolor i fakturę skóry pozostawionej na deszczu i wysuszonej. Wydawało się, że popęka, jeśli zmieni wyraz twarzy choć odrobinę. Ku zdziwieniu Indy'ego siatka drobnych zmarszczek rozpromieniła się w szerokim uśmiechu: starzec wyciągnął przed siebie

wrzeciono. Indy kiwnął głową, nie wiedząc dokładnie, co było w nim tak szczególnego. Wyglądało inaczej, niż pozostałe, nie znajdowały się na nim włókna. Miało około stopy długości, a na ostrzach umocowane były drewniane krążki. Największy z nich znajdował się pośrodku, krążki poniżej i powyżej były coraz mniejsze. W sumie naliczył ich dziewięć.

– Oto wszystko, co istnieje - powiedział stary Indianin.

Indy wpatrywał się we wrzeciono nie wiedząc, co powiedzieć. Mama Juan dotknął palcem środkowego krążka.

– To jest równina, na której żyjemy. Nazywa się *Ninulanc* – wskazywał palcami kolejne krążki. - To są wyższe równiny, *Kiamanulang, Mulkuakukui, Nyuinulang, Xatsalnulang.*

Przesunął palec na krążki znajdujące się w dolnej części wrzeciona.

– To są królestwa świata podziemnego, *Haba Sivalulang, Baba Kanenulang, Haba Kaneexan, Haba Guxanexan.*

Wyjaśnił, że domy Kogi zbudowane są na takiej samej zasadzie, jak górna część wrzeciona. Podłoga to *Ninulanc,* a świat podziemny jest wyobrażonym przedłużeniem domu, mieszczącym się pod ziemią.

– Podczas dnia słońce splata się w białą nić od zachodu do wschodu, tymczasem jego nocny odpowiednik wędruje w świecie podziemnym z zachodu na wschód, przędąc czarną nić w krainie czasu.

To była piękna metafora, ale Indy nie wiedział, czy ma ich uważać za szaleńców odciętych od świata, żyjących we własnym świecie, świecie, w którym wrzeciona miały o wiele większe znaczenie, niż na to zasługiwały. Mama Juan wskazał na środek wrzeciona.

– Kogi są tutaj, przy bramie świata podziemnego. Jesteśmy Strażnikami. Pracujemy na naszych wrzecionach dzień w dzień, żeby upewnić się, że na całym świecie, powyżej i poniżej, wszystko przędzie się tak, żeby tkanina stanowiła jedną całość.

– To chyba ciężka praca - powiedział Indy, przypominając sobie, jak Salandra opowiadała, że zajmuje się właśnie czymś w tym rodzaju.

– To jest praca dla Starszych Braci - Mama Juan odłożył na bok wrzeciono bez nici i wziął do ręki drugie. Koniec nawiniętej na nie nici przymocowany był do prymitywnego warsztatu tkackiego składającego się z czterech deseczek. Mam Juan zaczął pracować drewnianym czółenkiem.

– Sądziłem, że jesteście Strażnikami.

– Jesteśmy Strażnikami, ale nie tylko. Przede wszystkim jesteśmy Starszymi Braćmi - wyciągnął palec w kierunku Indy ego. - Ty, Młodszy Bracie, masz swoje zabawki, swoje pociągi i samoloty, ale ty i twoi pobratymcy jesteście jak bezmyślne dzieci. Stanowicie zagrożenie dla tkaniny - dotknął kawałka materiału zwisającego z warsztatu i zwrócił się do Salandry.

– To samo dotyczy ciebie. Wasi ludzie mają zabawki umysłu, ale jesteście zbyt nierozważni i nie dbacie o delikatną tkaninę. Zbyt wielu z was przechodzi na tę stronę w złych zamiarach.

– Mama Juan - powiedziała Salandra - nie wszyscy z nas. Indy i ja chcemy zrobić, co możliwe, by zachować równowagę między światami. Szczególnie niepokoi nas Maleiwa z plemienia Wayua. Stanowi wielkie zagrożenie dla równowagi, czy, jak to określacie, dla tkaniny.

– Poza tym zaginął pewien ksiądz - wtrącił Indy. - Niejaki ojciec James. Chyba go znacie.

Mama Juan wpatrzył się ciemnymi oczami w Indy'ego.

– Jesteś niecierpliwym człowiekiem. Nie chcesz słuchać o pracy Strażników, ponieważ nie wierzysz. Bardziej ciekawią cię nasi przodkowie. Myślisz, że jesteśmy obłąkanymi Indianami, którzy wypadli poza nawias czasu. Nie zdajesz sobie sprawy z wagi tego, co tu robimy.

Indy zaczynał mieć dość tego wykładu. Jasne, że na świecie są różne problemy, ale wcale nie uważał się za wcielenie wszelkiego zła.

– Proszono mnie, żebym dowiedział się czegoś o zaginionym księdzu - powtórzył.

– Nie zaginął żaden ksiądz.

Mama Juan uniósł głowę i spojrzał w stronę jednego ze swych ludzi. Skinął głową i ktoś, kto dotąd siedział w cieniu, wstał i podszedł do ściany. Był drobny, nawet jak na Kogi, i w odróżnieniu od pozostałych miał krótkie włosy. W słabym świetle Indy rozpoznał twarz Ricarda ubranego tak samo jak inni Kogi.

– A co ty tu robisz? - spytał Indy. Ricardo rzeczywiście był podobny do pozostałych Kogi, różnił się tylko krótkimi włosami.

Chłopiec uśmiechnął się i zajął miejsce między Indym i Salandrą.

– Czekałem na was. Przygotowałem posiłek. Smakował wam?

Indy nie odpowiedział.

– A więc jesteś Kogi?

– Nie. Jestem z jej świata - spojrzał w stronę Salandry - jestem z Pincoya. Powiedziałem strażnikom, że jesteście w drodze i poprosiłem, żeby wyszli wam na spotkanie.

Na twarzy Salandry malowało się zaskoczenie, niemal przerażenie.

– Nie wiedziałaś? - spytał Indy.

Powoli pokręciła głową.

– Musiałem stworzyć iluzję - wyjaśnił Ricardo. - Gdybyś się zorientowała, powiedziałabyś mu, a on by odszedł.

– Ta historia z księdzem to nieprawda? - spytała Salandra.

Ricardo uśmiechnął się niewinnie.

– Indy potrzebował jakiegoś bodźca. Chciałem być pewien, że pójdzie z tobą.

– No cóż, w takim razie mam wiadomość dla was obojga - Indy wstał. - Wracam do domu. Nie pójdę dalej.

Nie miał pojęcia dokąd ma iść, ale nie chciał tu zostać ani chwili dłużej.

Salandra zerwała się na równe nogi.

– Indy, potrzebuję cię. Wszyscy potrzebujemy twojej pomocy. Tylko ty możesz...

Indy obrócił się na pięcie.

– Nie wierzę w twoją historyjkę - warknął - Niech Ricardo zdobędzie berło. Jest bystry.

Przypuszczał, że Salandra nie miała nic wspólnego z Ricardem i jego sztuczkami, ale to nie było ważne.

Salandro, lubię przygody, ale są pewne granice.

A twój świat, czymkolwiek jest, zdecydowanie przekracza granice mojego pojmowania.

– Rozumiem - powiedziała niemal szeptem.

Indy zwrócił się w stronę starego Indianina, żeby podziękować mu za poczęstunek, ale Mam Juan nie zwracał na niego uwagi, zajęty swoim warsztatem, Indy spojrzał na Ricarda.

– Nieźle, synu.

Wyszedł na zewnątrz, Salandra wyszła za nim. Trzymał ręce w kieszeni skórzanej kurtki. Chciał już odejść i nie wiedział, co jeszcze ma jej powiedzieć.

– To ładnie, że mężczyźni pomagają kobietom w pracy.

– Kobiety Kogi nie przędą.

– Nie?

– Kogi są odbiciem symboli, które im przyświecają. Ziemia jest kobieca i bierna. Dlatego też kobiety uprawiają rolę. Czółenko jest aktywną częścią procesu przędzenia i jest męskie, dlatego tylko mężczyźni przędą.

– To ładne - powtórzył. Zarzucił na ramię torbę z hamakiem i żywnością. - Salandro, muszę iść. Nie próbuj mnie zatrzymać.

– Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na Chiloe, zamiast zostać na Wyspie Wielkanocnej?

– W tym momencie to mało ważne.

Spojrzała w niebo.

– Myślę, że to ważne. Dlatego, że jesteśmy powiązani ze sobą jak gwiazdy w jednej konstelacji.

– Poważnie? Sądzę, że zbyt długo przebywałaś wśród tych Kogi. Zaczynasz mówić tak jak oni.

– Proszę cię, zanim odejdziesz, wysłuchaj mnie. Jesteśmy swoimi odpowiednikami, ty i ja. Właśnie takie jest ukryte znaczenie tych podwójnych posągów.

Potrząsnął głową.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Każdy z nas ma swój odpowiednik w drugim świecie. Jesteśmy swoim odbiciem, jeśli nawet różnimy się od siebie, czy zachowujemy się inaczej.

Miał już tego naprawdę dość.

– Jeżeli nie jesteśmy do siebie podobni i nie działamy podobnie, to w jaki sposób możemy być swoimi odpowiednikami?

– To nasz duch. Jest w nas ten sam duch.

Indy pomyślał, że w tym, co mówiła, było coś wzruszającego. Jej wywody były równie niezwykłe jak kosmologia Indian Kogi. Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Ich usta spotkały się na ułamek sekundy, ale w tej samej chwili dwaj mężczyźni wybiegli z lasu, minęli ich i wbiegli do chaty.

Indy cofnął głowę.

– Kto to był?

– Cicho! - szepnęła Salandra.

Kilka głosów mówiących naraz.

– O co chodzi? Rozumiesz ich?

Słuchała jeszcze przez chwilę i kiwnęła głową.

– Nadchodzą. Musimy iść. Chodź ze mną, prędko!

– Kto nadchodzi?

– Maleiwa i jego ludzie. Przebili się przez bramę. Są tutaj, w górach.

Szarpnęła go za ramię, puściła i pobiegła w stronę chaty, z której wybiegali Indianie. Zatrzymała się, spojrzała raz jeszcze na Indy'ego. Stał bez ruchu.

– Indy!

– Nie! - wrzasnął. - Nigdzie nie idę.

Rzucił się pędem w przeciwnym kierunku, musiał dowieść samemu sobie, że jest w stanie przezwyciężyć wpływ, jaki Salandra miała na niego, jakby uwalniał się od zaklęcia, które na niego rzuciła. Kiedy dobiegł do skraju polany, zatrzymał się. Przypomniał sobie, że wąż zniknął właśnie w tym miejscu. Nie było jednak śladu po nim. Odruchowo spojrzał za siebie.

Salandra i Indianie już zagłębili się w lesie. Indy stał jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy popełnił błąd. Za późno. Wszedł w las. Im dalej dojdzie dziś w nocy, tym lepiej. Będzie szedł do świtu, potem odpocznie parę godzin. Im prędzej opuści te góry, tym lepiej dla niego. Nie chciał mieć już nic wspólnego ani z Kogi, ani z tym Wayua, Maleiwą, czy nawet z Salandrą. To wszystko już się skończyło dla niego. Skończyło się raz na zawsze.

19.

DO WEWNĄTRZ

Salandra biegła w ciemnościach razem z Kogi. Indianie świetnie znali wszystkie ścieżki, jeden po drugim znikali w lesie. Zatrzymała się, nie wiedziała, w którą stronę ma iść. Wojownicy Maleiwy byli w pobliżu. Czuła to wyraźnie.

Kogi nie mogli zatrzymać Maleiwy, kiedy już przeszedł bramę. Teraz Strażnicy ukrywali się w górach, kierując się do tajnych schronień przygotowanych setki lat temu przez ich przodków, w czasach kiedy to konkwistadorzy wypędzili Indian z ich wiosek.

Prawdopodobnie powinna była zostać z Indym, ale wpadła w panikę i uciekła, gdy powiedział, że z nią nie pójdzie. Powinna wrócić i znaleźć go. Była przekonana, że Maleiwa jest tutaj, ponieważ uświadomił sobie, że Indy przebywa w górach i kieruje się w stronę bramy. To jedyne sensowne wyjaśnienie. Był tutaj po to, żeby zabić Indy'ego. Jedyną osobę w obu światach, która mogła przeszkodzić jego planom.

Dwaj mężczyźni, którzy wbiegli do chaty na polanie, stali na straży, kiedy Maleiwa wraz ze swymi wojownikami sforsował bramę. Biegnąc krzyczeli, że Maleiwa ma magiczną broń, dzięki której zdołał wydostać się na zewnątrz. Była pewna, że chodzi o Berło Jednorożca.

Usłyszała w pobliżu trzask gałęzi łamiących się pod czyimiś stopami. Chciała uciekać, ale głosy otaczały ją ze wszystkich stron. Wokół niej znajdowali się wojownicy Maleiwy, nie miała dokąd biec. Zamknęła oczy,

przykucnęła i skoncentrowała się. Wyszeptała kilka słów zaklęcia. Poczuła znajomy zawrót głowy, towarzyszący transformacji. Przez kilka sekund nie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje.

Sokół rozpostarł skrzydła i uniósł się ponad lasem. Po chwili kilku wysokich mężczyzn uzbrojonych w kusze rozglądało się dokładnie w tym samym miejscu, w którym jeszcze niedawno znajdowała się Salandra.

Chociaż parę minut temu Indy po prostu chciał opuścić to miejsce, teraz, kiedy przedzierał się przez las, zaczęło w nim narastać poczucie niepewności. Mógł odejść, nikt nie próbował go zatrzymać. A jednak przykro mu było, że rozstał się z Salandrą w ten sposób. Oczywiście ostrzegał ją już wcześniej.

Nie - powiedział do siebie. Podjął właściwą decyzję, wraca do domu. Poza tym sposób, w jaki usiłowała go przekonać, był wręcz śmieszny. Żałosny. Próbowała wmówić mu, że są czymś w rodzaju brata i siostry, czy może nawet czymś więcej. Czyżby naprawdę sądziła, że skłoni go w ten sposób do pójścia z nią? Teraz zastanawiał się, czy czasami przybycie Maleiwy i jego wojsk nie było kolejnym podstępem mającym na celu zatrzymanie go przy sobie. Jeżeli w tych górach znajdowała się jakaś armia, to w ogóle nie było jej widać. Być może to wszystko przyśniło się Ricardowi. Dziwny chłopak.

Nie myśl o tym, zapomnij - powiedział do siebie. Potknął się o korzeń. Może po prostu powinien rozpiąć hamak i ułożyć się do snu. Dlaczego miałby iść przez całą noc? Uśnie i zapomni o wszystkim. O Salandrze, o Maleiwie, o Ricardzie, o Mama Juan, o wszystkim.

Blisko, z prawej strony, rozległ się trzask łamiącej się gałązki. Zatrzymał się. Nasłuchiwał. Odgłos kroków. Ktoś biegł tą samą ścieżką. Las wokół był gęsty, nie mógł zejść na bok. Ruszył pędem. Po kilku minutach zatrzymał się, żeby odsapnąć. Teraz już nic nie było słychać. Pobiegł

znowu, ale zatrzymał się niemal natychmiast: ktoś wyszedł spomiędzy drzew i stanął na jego drodze. Ricardo.

– Próbujesz przestraszyć mnie, synu? Co ty tu robisz?

– Cześć, Indy. Nie chcę, żebyś się zgubił.

– Niech cię o to głowa nie boli. Jak dotąd jakoś sobie radzę i myślę, że uda mi się zejść na dół tą samą drogą, którą tutaj doszedłem. Na własnych nogach.

– Ale Indy, idziesz w niewłaściwym kierunku. Musisz nam pomóc powstrzymać Maleiwę - teraz w głosie Ricarda brzmiała prośba.

– No to powiedz, co masz do powiedzenia.

– Mój ojciec został zabity, ponieważ stawiał opór, gdy wojska Maleiwy przybyły do Pincoya. Moja matka i ja zostaliśmy schwytani. Udało mi się uciec, ale nie wiem, co się z nią stało - powiedział drżącym głosem. - Dotarłem do bramy, a Kogi pozwolili mi przejść.

– Nie potrzebujesz *nalcy*!

– Oczywiście, że potrzebuję i wkrótce muszę wracać. Pójdziesz ze mną?

– Ta wojna mnie nie dotyczy, Ricardo.

– Ona dotyczy wszystkich. Każdego, kto może coś zrobić, a ty możesz więcej niż ktokolwiek. Wielu ludzi z mojego świata wie, co się dzieje, a niektórzy słyszeli także o tobie. Wielu sądzi, że jesteś postacią mityczną. Myślą nawet, że twój świat jest mitem - uśmiechnął się - ale ja wiem, że istniejesz naprawdę.

W ciszy rozległ się przenikliwy krzyk ptaka. Indy spojrzał w górę, dostrzegł dziób i skrzydła, pochylił głowę. Pióra musnęły jego włosy.

– Miałem wrażenie, że w nocy ptaki śpią - mruknął.

– To znak - powiedział Ricardo.

– Nie, to ptak - stwierdził Indy.

Usłyszeli jakieś głosy. Ledwie zdążyli się ukryć w paprociach, kiedy kilkunastu ludzi uzbrojonych w kusze przebiegło ścieżką, mijając ich o parę stóp. Takie same kusze Indy widział w Pincoya.

– Co oni tu robią? - szepnął Indy. - Wydawało mi się, że Maleiwa chce dogadać się z Hitlerem. Hitler mieszka na zupełnie innym kontynencie.

– Oni szukają ciebie - powiedział Ricardo.

– Mnie?!

– Cicho!

Znowu ktoś szedł ścieżką. Zatrzymał się, Indy usłyszał szelest paproci i sięgnął po bicz. Zobaczył twarz Mama Juan. Stary Indianin skinął na nich ręką.

– W górach są setki wojowników Wayua. Wiedzą, że tu jesteś. Musisz iść ze mną i to szybko. Inaczej cię znajdą.

– A niech to - Indy wcale nie był pewien, czy chce iść za starym Kogi. Nie bardzo jednak miał ochotę wpaść w ręce Maleiwy. - Dobra. Idziemy.

Szli przez las, Indy tracił orientację. Wpatrywał się w białą, bawełnianą tunikę Mama Juan i zapomniał o wszystkim. Pęcherze na nogach dzięki zabiegom Salandry dokuczały mu mniej, ale i tak cudem dotrzymywał kroku staremu Indianinowi. Przedzierał się z hałasem przez zarośla, a Mama Juan jakby płynął przez nie. Co jakiś czas Indy słyszał dźwięk kroków Ricarda za sobą. Mama Juan usiłował w jakiś sposób wprowadzić w błąd ścigających go wojowników.

Indy stracił orientację i poczucie czasu. Szata starego Indianina zmieniła się w gołębicę wdzięcznie trzepoczącą skrzydłami; kroki Indy'ego wydłużyły się, zarośla jakby się rozchylały, żeby zrobić mu przejście. Czuł się teraz niczym strumień płynący przez las. Nie tylko szedł coraz szybciej, ale coraz łatwiej mu było oddychać. Jakby poczuł wiatr w żaglach, więcej, jakby dostał drugie, nowe dało...

Nagle z ciemności, znikąd, wyłoniło się olbrzymie drzewo, lśniło w mroku... Tak jakby nie było wokół innych drzew, biegli w jego stronę. Indy chciał się zatrzymać i przyjrzeć dziwnemu drzewu, ale zanim zdążył zwolnić, gołębica, którą był Mama Juan, znikła w jego wnętrzu. Indy próbował się zatrzymać, ale coś cisnęło go w stronę drzewa. W ostatnim

momencie spostrzegł otwór w pniu i zrozumiał, że stary Kogi wszedł przez ten otwór do wewnątrz.

Upadł na kolana, opierając się na łokciach, pełzł przez otwór. Z pewnością było to jakieś schronienie wydrążone wewnątrz pnia. Świetna kryjówka. Kiedy jednak spojrzał w górę, zorientował się, że wcale nie znajduje się wewnątrz drzewa. Otwór widniał przed nim. Ten sam otwór w tym samym pniu tego samego lśniącego drzewa. To musiało być jakieś złudzenie optyczne. Był przekonany, że raz już wszedł do środka drzewa.

Zawołał Indianina. Nie było odpowiedzi, Ricardo także gdzieś zniknął. Próbował rozejrzeć się dookoła, ale nie potrafił oderwać wzroku od otworu w pniu. Nie był w stanie zrobić nic innego: znów wczołgał się do środka. Tym razem znalazł się na płaskim podłożu, w dotyku przypominającym sprasowaną ziemię lub skałę. Czołgał się dalej, nie miał odwagi podnieść oczu, obawiając się kolejnego złudzenia.

W końcu jednak zdecydował się sprawdzić, gdzie się znajduje. Ciemność ustąpiła miejsca bladoszaremu światłu. Było jednak za wcześnie na świt. Nie znajdował się wewnątrz drzewa. Tak naprawdę w zasięgu wzroku nie było ani jednego drzewa. Wstał i poczuł chłodny powiew, stał na skalistym, opustoszałym płaskowyżu. Niedaleko zauważył urwisko.

– O, tutaj jesteś! - Mama Juan stał nad skrajem urwiska. Indy pomachał ręką, ale kapłan nie spoglądał w jego stronę. Podbiegł więc do niego i zobaczył w dole pływające wyspy. Nie, to nie były wyspy, to wzgórza i płaskowyże wznoszące się na porośniętej zielenią równinie znajdującej się może kilka tysięcy stóp poniżej.

– Gdzie my jesteśmy?

Mama Juan odwrócił się i spojrzał na niego, ale nic nie odrzekł. Indy już znał odpowiedź. Płaskowyże w oddali były pochylone, jakby położone na boku. Znalazł się z powrotem w świecie wewnętrznym, tam właśnie gdzie znaleźć się nie zamierzał. Głowa mu dążyła, chciało mu się spać.

– To Roraima. Znajdujemy się na szczycie *tepui* - to nie Mama Juan przemówił, lecz mężczyzna, który dotąd ukrywał się za skałami. Był wysoki, mocno zbudowany, miał gęstą brodę. Spojrzenie zielonych oczu wydawało się Indy'emu znajome.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Vicard.

– Czy znam cię skądś?

– Znasz mnie jako...

Indy zachwiał się. Świat wewnętrzny zaczął go przygniatać, poczuł, że miażdży go, ściera na proch. Znów to samo... Nie usłyszał już tego, co Vicard miał mu do powiedzenia. Upadł na ziemię i stracił przytomność.

Mijały godziny. Wojownicy Maleiwy przetrząsali las porastający zbocza góry. Salandra - wciąż jako sokół - siedziała na wrzecionie sterczącym ze szczytu świątyni Kogi, najwyższego budynku w wiosce. Wokół znajdowały się spiczaste dachy indiańskich chat, ale panowała cisza. Wszyscy Kogi uciekli na wieść o tym, że wojownicy Wayua przebyli bramę.

Spoglądając przez niewielki otwór w miejscu, gdzie wrzeciono umieszczone było na dachu, Salandra obserwowała wysokiego, łysego mężczyznę przechadzającego się wewnątrz świątyni i wysłuchującego kolejno sprawozdania wodzów jego armii. Maleiwa ubrany był w tradycyjny strój Wayua: krótką tunikę sięgającą do pół uda, przewiązaną w pasie szeroką wstęgą materiału. Wiedziała, że kiedy spotka się z Hitlerem - jeżeli w ogóle spotka się z nim - Maleiwa będzie miał nie tylko inny strój, ale także inną twarz, twarz, która wyda się Hitlerowi ucieleśnieniem idei nadczłowieka.

Maleiwa nie potrafił tak jak ona przybierać kształtów, ale był doświadczonym mistrzem kształtowania złudzeń, mógł ukazywać się innym ludziom w dowolnej formie, nie podejmując właściwej transformacji. Z pewnością jego skóra będzie jasna, będzie miał jasne

włosy tak jak Beitelheimer, którego Hitler wziął za człowieka przybyłego ze świata wewnętrznego. Jednak Beitelheimer nie spełnił swojej misji i teraz przywódca Wayua musiał działać szybko, by nie utracić zaufania potencjalnego sprzymierzeńca.

– Odwołajcie waszych ludzi - powiedział Maleiwa. Nasłuchiwała uważnie. - Nie znajdą go. Już nie ma go tu w górach.

– Jesteś pewien? - spytał jeden z wodzów.

– Oczywiście. Czuję, że odszedł i wiem dokąd się udał. Wrócił do naszego świata. Tylko tam mógł odejść. W przeciwnym wypadku czułbym jego obecność tutaj. Ale odnajdziemy go.

Czy Indy naprawdę powrócił? Salandra przeszukała góry i nie znalazła jego śladu. Musiała zaufać intuicji Maleiwy. Po pierwsze jego zdolność postrzegania pozazmysłowego była bardzo rozwinięta, a poza tym z pewnością Róg Jednorożca pomagał mu w zlokalizowaniu miejsca pobytu Indy'ego.

Sokół uniósł się ze szczytu świątyni i wzleciał nad górami. Zaczynało świtać, ośnieżone szczyty były już oświetlone porannym słońcem. Tu w górze było chłodniej, niemal za zimno dla sokoła. Nie zamierzała jednak pozostać tu długo i nie zamierzała pozostać sokołem.

Dostrzegła otwór ciemniejący w oddali. Kilku wojowników pilnowało wejścia. Jeden z nich spojrzał w górę i wskazał sokoła spadającego jak kamień w dół. Przeleciała tuż nad ich głowami, pochylili się, a potem zaczęli strzelać na oślep, ale było za późno. Salandra leciała już przez mroczną jaskinię w kierunku odległego kręgu światła.

Wyłoniła się wśród zarośli porastających równinę, na której wznosiły się znajome kształty *tepui* Roraimy. Niektóre z nich były opustoszałe i skaliste, inne porastała dżungla i żyły tam dziwaczne stworzenia. Roraima słynęła zresztą z dzikich i niebezpiecznych bestii. Dlatego właśnie jej mieszkańcy żyli w zacisznych schronieniach wewnątrz *tepui*. Mimo to nie czuli się zagrożeni i otoczenie nie przerażało ich. Zazwyczaj potrafili przewidzieć

czające się w pobliżu niebezpieczeństwo i umieli również unikać go, kiedy znajdowali się daleko od swych siedzib.

Salandra leciała nisko nad płaskowyżem, pod którym znajdowało się największe miasto w okolicy, noszące również nazwę Roraima. Na szczycie *tepui* mieścił się ogród; z góry widziała licznych tubylców przechadzających się po jego ścieżkach. Jeżeli przybycie Maleiwy i jego wojowników zaniepokoiło ich w jakikolwiek sposób, to nie było to widoczne.

Mieszkańcy Roraimy mieli trochę dłuższe uszy niż sąsiedzi z Wayua. To właśnie mieszkańcy Roraimy jako pierwsi zaczęli osiedlać się w świecie zewnętrznym i to właśnie oni pozostawili po sobie kamienne głowy na Wyspie Wielkanocnej.

Ubierali się podobnie jak Kogi, nosili obszerne białe spodnie i długie szaty, lecz, w przeciwieństwie do Indian, używali również okrągłych, białych kapeluszy z wąskim rondem. Kiedy Salandra po raz pierwszy zobaczyła melonik w świecie zewnętrznym, stanęła jak wryta i przyglądała mu się zafascynowana. Różnił się tylko kolorem od nakryć głowy noszonych przez mieszkańców Roraimy; poza tym w świecie zewnętrznym meloniki nosili tylko mężczyźni.

Usiadła na gałęzi drzewa i starała się wyczuć obecność Indy'ego. Zamiast tego jednak natychmiast wyczuła strażników Wayua. A więc byli tu, obserwowali i panowali nad sytuacją. Spostrzegła dwóch strażników z kuszami. Przeniosła się na inne drzewo, w pobliżu którego grupka mieszkańców Roraimy omawiała sytuację powstałą na skutek pojawienia się wojowników Wayua.

– Dzięki nim Roraima stanie się bezpiecznym miejscem - powiedziała jakaś kobieta. - Wytępią raz na zawsze dzikie bestie i będziemy mogli spokojnie żyć poza *tepui*.

– Nigdy nie zaznamy spokoju, dopóki Wayua będą się tu panoszyć - powiedział jakiś młody mężczyzna, - Musimy ich powstrzymać, im prędzej,

tym lepiej.

W tej samej chwili mężczyzna został trafiony strzałą w plecy. Upadł. Dwaj strażnicy Wayua, których spostrzegła przedtem, podbiegli i powlekli go dokądś ze sobą. - Więc to tak - pomyślała.

Znów próbowała wyczuć obecność Indy'ego, choćby po to, żeby upewnić się, że nie zgubiła jego śladu. Wtedy jednak poczuła coś zupełnie innego. Był to sygnał skierowany wyłącznie do niej. Vicard!

Nie znajdował się tutaj, ale był gdzieś niedaleko. Sokół znów wzleciał w powietrze. Salandra skierowała się w kierunku, z którego dochodził ów sygnał. Był coraz silniejszy i wyraźniejszy, wreszcie okrążyła skalisty płaskowyż oddalony od środkowej części Roraimy i położony blisko granicy Wayua. Zobaczyła go na szczycie, czekał na nią.

Opadła na ziemię blisko niego. Sokół po raz ostatni zatrzepotał skrzydłami, a wokół zawirowało powietrze. Ptak znikł, a kiedy mały cyklon się uspokoił, Salandra siedziała przykucnięta na ziemi z twarzą przyciśniętą do kolan, Z wolna wyprostowała się, uśmiechnęła i pobiegła na spotkanie wysokiego, brodatego mężczyzny.

Był to król Vicard. Jej ojciec.

20.

NA PŁASKOWYŻU

Właśnie usłyszał głos. Salandra stała przed nim, złudzenie odziane w długą szatę trzepoczącą się na wietrze. Wiatr rozwiewał jej rude włosy. Szmaragdowe oczy lśniły, uśmiechała się do niego.

– Indy, obudź się, obudź się.

Jej obraz zamazał się, potem znów stał się wyraźny.

– I tak zaraz znikniesz.

Roześmiała się.

– Jesteś na wpół uśpiony, ale teraz już możesz się obudzić.

Powoli uniósł się na łokciach. Przed nim stała Salandra, obok niej brodaty mężczyzna, Vicard. Dotykał palcem podbródka. Indy rozejrzał się, próbując ogarnąć wzrokiem wszystko naraz. Znajdował się w pomieszczeniu o kamiennych ścianach, leżał na stosie kocy. Pomieszczenie nie miało dachu, nad nim roztaczało się srebrzyste niebo.

Zamknął oczy i otworzył je znowu. Nic się nie zmieniło.

– Salandra... co my... co tu robisz... gdzie... gdzie my jesteśmy? - miał opuchnięty język i chrapliwy głos.

– Znajdujesz się w Roraimie. Wypij to. To ci dobrze zrobi - podała mu czarkę.

Zajrzał do niej i zobaczył gęsty, żółtawy płyn.

wyszedł na zewnątrz. Salandra za nim. Wokół rozciągało się pustkowie, w oddali spostrzegł kilka podobnych płaskowyżów.

– Nie rozumiem, Jeżeli to jest Roraima, to gdzie są jej mieszkańcy? Gdzie mieszkają?

Powiedziała mu.

Potarł kark dłonią.

– Chcesz przez to powiedzieć, że znajdujemy się na dachu jednego z miast?

– Nie, tutaj nie ma żadnego miasta - odrzekła. - Większość tych płaskowyżów nie jest zamieszkana. Jesteśmy dobrze ukryci, jest bardzo mała szansa, że nas tu znajdą. Nie możemy jednak tu pozostać.

Nalca zaczynała już działać. Oszołomienie minęło, poczuł przypływ energii.

– Jeśli o mnie chodzi, to w porządku. Mogę wracać - spostrzegł niewielkie jeziorko znajdujące się w pobliżu i uświadomił sobie, jak bardzo odczuwa pragnienie. - Mogę się napić?

– Oczywiście - odpowiedziała Salandra - To nasze źródło wody.

Z jeziorka wypływała wąska strużka spływająca poza krawędź płaskowyżu. Na powierzchni wody ukazywały się bąbelki, wyraźnie było to źródło bijące z wnętrza góry. Przyklęknął, nabrał wody w dłonie i zaczął pić. Była czysta i smaczna. Położył się i pił tak długo, aż zaspokoił pragnienie.

Kiedy powrócili do chaty, zwrócił uwagę na Vicarda. Miał nieobecny wyraz twarzy. Ciekawe, czy rozmyślał o swym utraconym królestwie? W jego spojrzeniu nie było ani smutku, ani nadziei, raczej rezygnacja.

– A gdzie jest Mama Juan? - spytał Indy Vicarda, wybijając go z zamyślenia.

– Wrócił - odpowiedział król. - On tylko przyprowadził cię tutaj.

– To dziwne drzewo - powiedział Indy, przypominając sobie wydarzenia tamtej nocy. Odwrócił się w stronę Salandry. - Czy ty również przybyłaś tą drogą?

Potrząsnęła głową.

– Ja dostałam się tutaj przez główną bramę. Prowadzi bezpośrednio do Roraimy, do głównego miasta tego kraju.

Podobnie jak w Pincoya: i miasto, i cały kraj nazywały się tak samo - pomyślał.

– Nie próbowali cię złapać?

– A owszem - odparła. - Ale nie udało im się. Przeleciałam przez bramę, potem nad miastem i później doleciałam tutaj, ponieważ odebrałam wieść od Vicarda.

– Przeleciałaś - powtórzył. Przypomniał sobie jej opowieść o przeistaczaniu się w sokoła.

Skinęła głową.

– Maleiwa wie, że ukrywasz się gdzieś tutaj. Sporo wysiłku kosztowało nas uniemożliwienie mu odnalezienia ciebie.

– A co się stanie, jeśli opuszczę ten świat?

– Nie możemy powstrzymać go przy bramie. To niemożliwe, Odnalazłby cię natychmiast.

Zawsze kiedy chodziło o to, żeby wrócić do domu, był jakiś haczyk.

– A więc w tej chwili nie mogę wracać. A co tu się je, czy kamienie?

– Mamy zapas żywności - powiedział Vicard. - Czekaliśmy, aż odzyskasz siły.

– A co z tym drzewem. Czy mogę wrócić przez otwór w nim? - spytał.

– Tym przejściem włada Mama Juan - powiedziała Salandra. - My nie możemy z niego korzystać. Poza tym teraz musimy udać się do Wayua.

– Chwileczkę. To jest, jeśli się nie mylę, baza wypadowa Maleiwy, czyż nie?

– Owszem - powiedział Vicard - musisz udać się tam i odebrać mu Berło Jednorożca.

– Coś już o tym słyszałem.

– Jones, posłuchaj mnie - powiedział Vicard surowym głosem. - Dopóki żyjesz, Maleiwa nie da ci spokoju. Jeśli wrócisz do twego życia, wytropi cię

bez trudu. Dopóki w jego posiadaniu znajduje się berło, nie możemy powstrzymać go i może bez trudu przedostawać się do twojego świata. Co zamierzasz robić w tej sytuacji?

Indy miał już dość.

– Dobrze, już dobrze. Chodźmy i załatwmy to w ten czy inny sposób.

Vicard poklepał go po ramieniu.

– Przez całe twoje życie nie będziesz miał nic równie ważnego do załatwienia.

Na pewno, jeżeli nie wyjdę z tego żywy - pomyślał Indy.

Po kilku minutach byli już w drodze. Doszli do skraju płaskowyżu i poczęli schodzić wąską, karkołomną ścieżką wijącą się po urwistym zbocza Droga była długa i nużąca, Vicard bez przerwy mruczał coś pod nosem i kręcił głową z irytacją. Niepokoił się i nic dziwnego; jeden fałszywy krok i podmuch wiatru mógł cisnąć go w dół. Z drugiej jednak strony widok zielonej równiny w dole był niezwykle kuszący, Indy nie mógł się doczekać, kiedy tam dotrą.

Im niżej schodzili, tym mniej gwałtowny był wiatr i tym łatwiej było iść. Kiedy jednak okrążyli potężną skałę, oczom ich ukazał się występ zbocza, który poprzednio był niewidoczny i wraz z nim nowa przeszkoda. Z góry opadała potężna ściana wody; strumyczek, który Indy widział na górze, połączył się z innymi strumieniami, utworzył rzekę i potężny wodospad.

– A niech to - powiedział Vicard, - To nie jest przyjemne miejsce.

– Jak my teraz przejdziemy? - spytał Indy.

– Nie martw się - odrzekła Salandra. - Tutaj nie musimy skakać do wodospadu.

– To miło.

– Ścieżka biegnie z tyłu, za ścianą wody - wyjaśniła. - Po prostu uważaj, gdzie stawiasz nogi.

– Dzięki za dobrą radę. Nabrałem złego zwyczaju zapominania o tej zasadzie.

Kiedy zbliżyli się do wodospadu, Indy był niemal zachwycony potęgą żywiołu. Setki ton wody opadały z wielkiej wysokości. Nacisnął kapelusz na czoło i wszedł za lśniącą i spienioną ścianę wody. W jednej chwili przemókł do nitki. Kamienie były wilgotne i śliskie, zaledwie o kilka cali od niego niewyobrażalne masy wody opadały z ogromną siłą. Poruszał się powoli i ostrożnie. Woda wyrzeźbiła wgłębienie w skale, stanął w nim czekając na Salandrę i Vicarda. Próbował zorientować się, jak długa droga pod wodospadem czeka ich jeszcze. Wtedy właśnie zobaczył ich. Dziewięciu czy dziesięciu mężczyzn przyglądało mu się z odległości zaledwie kilkudziesięciu stóp.

– Mamy towarzystwo - wrzasnął Indy do Vicarda i Salandry, z trudem przekrzykując ryk wodospadu.

Mężczyźni uzbrojeni w znane mu już kusze ruszyli w ich kierunku. Nie było dokąd uciekać, mogli tylko wracać. Jeżeli odwrócą się, porażą ich strzały i porwie ich woda. Vicard uniósł dłoń do ust i krzyknął:

– Wszystko w porządku. Oni są z nami, to moja straż.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział - denerwował się Indy, ale szum wodospadu zagłuszył jego słowa.

Zszedł na bok, teraz Vicard znalazł się z przodu. Król, używając umówionych gestów, porozumiał się z jednym ze strażników. Jeśli w rzeczy samej była to jego straż, to nie odnosili się do króla ze szczególną czołobitnością. Żaden z nich nie ukłonił się, nie ukląkł i w ogóle nie zachowywali się jak wierni poddani. Vicard odwrócił się i dał znak Indy'emu i Salandrze, żeby szli za nim. Powoli przeszli na drugą stronę i wydostali się na otwartą przestrzeń. Zatrzymali się na mokrych skałach w pobliżu wodospadu.

– Wszystko w porządku, ojcze? - spytała Salandra.

– Ani śladu Wayua - odrzekł Vicard.

Indy zdjął kapelusz i otrzepał go.

– Chyba prysznic dobrze mi zrobił - w tym momencie stracił równowagę; skała była mokra, próbował chwycić się kamieni, ale te posypały się na dół. Już miał spaść w czeluść, kiedy silna ręka chwyciła go za kołnierz i z zadziwiającą łatwością wyciągnęła z objęć niechybnej śmierci.

– Uważaj - powiedział Vicard niedbale.

– Nic a się nie stało, Indy? - spytała Salandra, chwytając go za ramię.

Indy skinął głową, ale czuł, że serce podeszło mu do gardła. Zwrócił się do króla:

– Dzięki. Mam wobec pana dług wdzięczności.

Vicard z uśmiechem wzruszył ramionami.

– Któż ocaliłby moje królestwo, gdybyś roztrzaskał się o skały na dole?

– Nie wiem, czy zdołam ocalić pańskie królestwo, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby odebrać Berło Jednorożca Maleiwie. Może pan na mnie liczyć.

– Tylko o to cię proszę, mój synu - powiedział Vicard. - Resztę jakoś załatwimy.

Oddalali się od wodospadu. Indy przyglądał się królewskiej straży idącej przed nimi ścieżką. Poruszali się szybko i zwinnie.

– Dlaczego pańscy ludzie nie okazują panu więcej respektu? - zapytał Indy. - Żaden z nich się nie ukłonił i nie pozdrowił pana.

Vicard zaśmiał się głośno.

– Być może w twoim świecie ludzie w ten sposób zachowują się wobec królów, ale w Pincoya nie ma takiej potrzeby. To raczej ja powinienem im się kłaniać. Ci ludzie uratowali mi życie, kiedy Wayua zaatakowali mój pałac.

Szli dalej w milczeniu, ale Indy uznał, że Vicard budzi jego sympatię. Gdyby królowie jego świata byli tacy, być może nie byłby to wymierający rodzaj władzy. Poza tym Vicard miał w sobie coś znajomego i sympatycznego, nie bardzo był w stanie określić, co to takiego.

Zastanawiał się, dlaczego Vicard powiedział do niego „mój synu". To prawda, że mógł być jego ojcem, ale... Potem przypomniał sobie, co Salandra mówiła mu o odpowiednikach. Może Vicard wiedział, czy raczej wierzył w to - tak jak Salandra - że ona i Indy byli czymś w rodzaju brata i siostry.

Jeśli naprawdę istniały takie odpowiedniki, to ciekawe, kto był odpowiednikiem Vicarda w jego świecie. Nie był zbyt podobny do jego ojca, za to bardziej przypominał prezydenta Stanów Zjednoczonych niż któregokolwiek króla znanego Indy'emu. Miał w sobie jednak więcej ciepła niż Calvin Coolidge i nie robił wokół siebie tyle szumu co Teddy Roosevelt. A co z Maleiwą? Czy... Kiedy tylko zadał sobie to pytanie, natychmiast znalazł na nie odpowiedź. Jeżeli istniały sobowtóry czy odpowiedniki, to Maleiwa był Hitlerem.

Po godzinnym marszu znaleźli się u stóp *tepui*. Straż Vicarda czekała na nich w miejscu, gdzie ścieżka się rozgałęziała.

– Idziemy tędy - powiedziała Salandra, wskazując stronę równiny.

Indy nagle poczuł się nieswojo. Będzie ich widać z daleka.

– A dokąd prowadzi ta druga droga?

– To jest droga przez Bagniska - powiedziała Salandra. - To bliższa droga, lecz dużo trudniejsza.

– Ale czy wojownicy Wayua nie będą patrolować równiny, szukając nas? - spytał Indy, spoglądając na falujące morze trawy.

– Wątpię - powiedział Vicard. - Maleiwa z całą pewnością nie przypuszcza, że będziemy go szukać na jego własnym terytorium. Prawdopodobnie sądzi, że ukrywamy się w jednej z jaskiń Roraimy.

– Poza tym strażnicy będą wypatrywać patroli - powiedziała Salandra.

Indy nie chciał się spierać, ale w końcu to on miał odebrać berło, a nie Vicard czy Salandra.

– Może jednak powinniśmy pójść tamtą drogą - powtórzył. - Bylibyśmy mniej widoczni, no i jest krótsza.

– Nie - powiedział Vicard. - Nie przeżyłbyś tego. Są tam stworzenia, których nie chciałbyś spotkać.

– Domyślam się, że jest tam dużo węży - zgodził się Indy.

– Gorzej - powiedziała Salandra - latających węży.

– Wiecie co? Chyba macie rację. Lepiej idźmy tą drogą.

– Co oni robią?! - zawołał Vicard.

Jego straż zawróciła, biegli w ich stronę, dając im znaki, żeby również biegli.

– Oto i odpowiedź - rzucił Indy.

Kilkunastu konnych galopowało w ich kierunku przez równinę. Nie wiedział, kim byli, ale nietrudno było się domyślić, że to wojownicy Wayua.

Zdołali dobiec do miejsca, gdzie droga się rozwidlała, kiedy pierwszy z jeźdźców dogonił ich. Wystrzelił z kuszy trafiając jednego ze strażników w szyję. Indy machnął biczem, który owinął się wokół torsu wojownika i zrzucił go z siodła. Tamten zerwał się natychmiast i wycelował kuszę w Indy'ego, ale został trafiony w serce przez jednego ze strażników Vicarda.

– Indy, uciekaj! - krzyknęła Salandra.

Indy spojrzał w stronę zbliżających się jeźdźców i zwinął swój bat. Strażnicy Vicarda zostali w tyle, żeby powstrzymać pogoń. Jeden z nich odwrócił się do Indy'ego i gwałtownym ruchem ręki dał mu znak, żeby uciekał.

Indy wahał się przez chwilę, a potem pobiegł za Vicardem i Salandrą, drogą wiodącą przez mokradła. Po krótkiej chwili znaleźli się w gąszczu. Grunt był miękki, w wielu miejscach pokryty wodą. Co chwila zapadał się aż po kolana. Kilku wojowników rzuciło się za nimi w pogoń, ale ich konie ugrzęzły w bagnie. Dwóch goniło ich na piechotę, lecz strażnicy Vicarda czekali na nich. Porazili ich strzałami z kusz i cisnęli w bagno.

Kiedy byli pewni, że udało im się uciec, Vicard zarządził zbiórkę. Ich troje i czterech strażników ocalało, ale Indy zrozumiał już, że Salandra nie

myliła się co do mokradeł. Było to straszne miejsce i wyglądało na to, że mają niewielkie szanse przedostania się przez nie. Ruszyli naprzód.

Nad bagnem unosiła się zielonkawa mgła, większość drzew była martwa, porośnięta zielonym mchem. Wokół unosił się odór zgnilizny, smród siarki i rozkładających się resztek organicznych. Przez drogę śmignął sporych rozmiarów wąż, który zniknął w plątaninie korzeni. Po chwili Indy zauważył kolejnego węża zwisającego z gałęzi drzewa pozbawionego liści. Przynajmniej nie ma skrzydeł - pomyślał. Miał nadzieję, że Salandra jednak trochę przesadziła z tymi latającymi wężami.

– Dobrze, że tutaj nigdy nie zapada zmrok - powiedział Indy. - W świetle zresztą też nie jest najlepiej.

Gdyby zapadła ciemność, nie mogliby postąpić ani kroku do przodu w obawie, że pochłonie ich bagno.

– Ale gdzie będziemy spać?

– Musimy iść do przodu - powiedział Vicard. - Nie możemy tutaj spać. Bylibyśmy zbyt łatwym łupem.

Indy spojrzał w górę i dostrzegł sępa spoglądającego na nich ze szczytu rosochatego drzewa.

– Rozumiem.

Nagle rozległ się krzyk, sęp rozpostarł wielkie skrzydła i odleciał.

– Co to było? - spytała Salandra.

Jeden ze strażników Vicarda biegł w ich stronę, wymachując ręką i wskazując na niebo. Rzucił się głową do przodu w bagno i chwycił pnia drzewa.

– Padnij! - krzyknął Vicard.

Indy upadł twarzą w błoto. Przeszywający krzyk, który rozległ się nad ich głowami, sprawił, że poczuł lodowate ciarki na plecach. Był sparaliżowany ze strachu, ale po prostu musiał to zobaczyć. Zmusił się, by unieść głowę.

Jakiś czarny kształt przysłonił niebo, z początku Indy nie mógł się zorientować; co to było. Potem dostrzegł szerokie, skórzaste skrzydła, głowę prehistorycznego gada z ogromnymi zębami, zimne czarne oczy. Ciało potwora miało kształt węża, ale uzbrojone było w parę nóg zakończonych potężnymi pazurami. Z początku Indy nie widział, co stwór trzymał w pazurach. Ku swemu przerażeniu zdał sobie sprawę, że szpony zaciskały się na bezwładnym ciele jednego ze strażników.

Stwór wydał znów przenikliwy, ogłuszający krzyk. Indy miał ochotę zakopać się w błocie. Potwór odfrunął, nad mokradłami zapadła cisza. Z wolna wygrzebał się z błota i pomógł wstać Salandrze.

– To był latający wąż?

– Tak, to był smok - odpowiedziała - i prawdopodobnie w pobliżu jest drugi.

21.

BAGIENNE STWORY

Kiedy Indy był dzieckiem, zawsze pragnął zobaczyć smoka. Teraz zobaczył i uznał, że więcej już nie chce go oglądać. Podążali w milczeniu przez bagna, trzej pozostali przy życiu strażnicy trzymali się blisko nich. Wszyscy z niepokojem co jakiś czas spoglądali w niebo, ale cień nie pokazał się już.

Im bardziej zagłębiali się w mokradła, tym trudniej było znaleźć pewny grunt. Kilka razy już zatrzymywali się na błotnistym przylądku otoczonym ze wszystkich stron wodą. Cofali się za każdym razem i próbowali innej drogi i po jakimś czasie znów znajdowali się w miejscu, z którego nie można było dalej iść. Wreszcie, po kolejnym niepowodzeniu, postanowili zatrzymać się i spożyć szybki posiłek. W tym czasie strażnicy mieli rozejrzeć się i poszukać drogi.

Indy usiadł na zwalonym pniu drzewa. Salandra podała mu miseczkę wypełnioną fasolą i suszonymi owocami. Ledwie jednak zdążył włożyć kilka kawałków owoców do ust, kiedy Salandra krzyknęła.

Spojrzał w górę, a potem rozejrzał się dokoła.

– Co się stało?

– W tym pniu jest dziura, coś wystawiło z niej głowę.

Indy zerwał się na nogi, o mało nie rozsypał zawartości miseczki. Kopnął pień dwa razy. Włochaty pająk wielkości jego pięści wylazł przez

otwór, po nim drugi i trzeci. Indy cofnął się, kręcąc głową i wpadł na Salandrę.

– Chyba zjem na stojąco.

– Powinieneś usiąść i odpocząć - powiedział Vicard, który siedział na torbie z zapasami żywności. - Przed nami długa droga, jeśli zdołamy znaleźć jakąś drogę.

Indy rozłożył skórzaną kurtkę na ziemi i rozsiadł się na niej.

– Tak będzie dobrze?

– Bardzo dobrze - roześmiał się Vicard. - W każdym razie myślę, że zdołamy się stąd wydostać, zanim będziemy zbyt zmęczeni, żeby maszerować. Musimy tylko jakoś obejść trzęsawisko.

To miejsce zaczęło kojarzyć się Indy'emu z labiryntem. Fasolka przypominała smakiem orzeszki ziemne, suszone owoce też były niezłe, miały smak ananasa i brzoskwini.

W oddali rozległ się stłumiony krzyk.

– Słyszeliście? - spytała Salandra.

– To chyba jeden ze strażników - powiedział Vicard, - Zaczekajcie tu na mnie. Pójdę się rozejrzeć.

– Ojcze, proszę cię.

– Może ja pójdę - powiedział Indy.

– Nie. Ty zostań z Salandrą. Zaraz wrócę.

– Proszę cię, nie odchodź za daleko - nalegała Salandra. Westchnęła. - Troszczy się o swoich ludzi - dodała.

Vicard zniknął za drzewami.

Nagle Indy znów poczuł się zmęczony. Zastanawiał się, ile godzin, ile dni będą jeszcze tak szli, zanim znów będzie mógł się przespać. Kiedy uświadomił sobie, że zapadnięcie w sen jest równoznaczne ze zgodą na własną śmierć, pomyślał, że jest w stanie iść co najmniej trzy dni - o ile będą mieli jedzenie i picie. Jeżeli nie zabraknie im *nalcy*. Ku jego zaskoczeniu Salandra stwierdziła, że będą w stanie iść co najmniej pięć dni.

To, że w świecie wewnętrznym było cały czas jasno, sprawiało, iż łatwiej było nie zasypiać, większość tubylców nie spała dłużej niż cztery godziny.

– Ja cały czas czuję się tak, jak gdybym spał - powiedział Indy, kiedy skończyli jeść.

– Tylko podczas okresu aklimatyzacji - Salandra zmarszczyła brwi. - Indy, ojca nie ma już dosyć długo.

– Chyba nie tak bardzo. - Też miał wrażenie, że Vicard odszedł już dość dawno, ale nie dowierzał swojemu poczuciu czasu.

– Nie, powinien już być z powrotem - wstała. - Ojcze! Ojcze!

Cisza.

– Powinniśmy byli pójść razem z nim. Mógł się zgubić.

– Pójdę go poszukać - powiedział Indy.

– Pójdziemy razem.

– Dobrze. - Indy zarzucił torbę na ramię.

– Ja ją poniosę - powiedziała.

– Dlaczego? Myślisz, że zniknę razem z jedzeniem?

– Nie dlatego. Bagaż ogranicza swobodę ruchów.

Wzruszył ramionami i podał jej torbę.

– Powiedz mi, kiedy się zmęczysz.

Udali się w kierunku, w którym poszedł Vicard. Prawdopodobnie nie było powodu do niepokoju. Dlaczego jednak Vicard nie odpowiadał na jej wołanie? Indy zawołał go po imienia Jego głos brzmiał pusto i dziwnie. Wydało mu się, że w oddali usłyszał jakiś hałas i już miał zapytać Salandrę, czy też go słyszała, kiedy natknęli się na pierwsze zwłoki. Był to jeden ze strażników, miał przetrącony kark.

– Och, nie! - jęknęła Salandra.

– Cicho! - syknął Indy.

Po chwili natknęli się na drugiego strażnika. Leżał z rozdartą klatką piersiową. Tuż obok zauważyli trzeciego i ostatniego. Jego dało było poszarpane, wyglądało tak, jakby było nadjedzone.

Salandra zasłoniła twarz dłońmi, szlochała cicho. Indy wziął ją za rękę i prowadził dalej. Rozglądał się za szczątkami Vicarda.

Usłyszał dziwny pomruk, obrócił się na pięcie. Spodziewał się, że pośród wysokich, ogołoconych z liści drzew dostrzeże bestię, która wymordowała strażników. Zamiast tego ujrzał Vicarda stojącego nie opodal kępy martwych drzew. Król uniósł dłoń i dał im znak, żeby uciekali, ale było za późno.

– Ojcze! - Salandra podbiegła do niego. - Tak bardzo bałam się o ciebie.

Olbrzym ubrany w skórzaną zbroję i pokryty krwią wyszedł zza drzew. Miał gęste czarne włosy sięgające ramion i jedno oko wypływające z oczodołu. Postąpił trzy długie kroki do przodu, złapał Salandrę za rękę i uniósł ją w powietrze. Od chorego oka aż do szczęki biegła blizna, jego nos wyglądał tak, jakby ktoś - lub coś - próbował mu go odgryźć.

Indy zamachnął się, bat owinął się wokół szyi olbrzyma, ale ten natychmiast chwycił go i pociągnął Indy'ego ku sobie. Rzucił Salandrę na ziemię, chwycił Jonesa za kark i cisnął go w powietrze.

Zakrwawiona bestia zbliżała się do Indy'ego, ogromne szponiaste łapy uniosły się nad jego głową. Indy rzucił się w tył, najszybciej jak mógł, ale wpadł plecami na drzewo. Olbrzym już miał go dopaść, ale nagle zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Ryknął gniewnie i obrócił się do tyłu.

Z początku Indy nie wiedział, co odwróciło uwagę potwornej bestii. Zaczął cofać się na palcach, zorientował się, że Salandra i Vicard zniknęli. Jeszcze przed chwilą byli kilka stóp od niego i obejmowali się, teraz zniknęli gdzieś. Indy przeczołgał się kilkanaście stóp, chwycił bat i zaczął uciekać, wlokąc go za sobą.

Olbrzym ryknął znowu i ruszył w pogoń za nim. Indy słyszał łomot jego kroków, nie odwracając się kluczył pomiędzy drzewami, brodził w błocie, przedzierał się przez pnącza. Odwrócił się i zobaczył, że olbrzym go dogania. Upadł, zerwał się na nogi, pobiegł znowu; nagle wpadł w trzęsawisko.

Bagno sięgało mu do kolan, do ud... Zapadał się w nie, im bardziej starał się wyswobodzić, tym szybciej tonął. Olbrzym, który wyraźnie lepiej od niego orientował się w topografii tej okolicy, zatrzymał się na skraju trzęsawiska i przyglądał się, jak Indy cal po calu zapada się.

Czekała go śmierć w bagnie albo śmierć w szponach olbrzyma. Nie miał ochoty dać się rozszarpać przez potwora, ale nie mógł przecież tak spokojnie czekać, aż utonie. Błoto sięgało już do jego klatki piersiowej. Zwinął ubłocony bat i z całej siły uderzył nim olbrzyma. Koniec bicza trącił skórzaną kurtę i upadł do stóp giganta, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy.

Świetnie. Po prostu świetnie - pomyślał. Pośpiesznie zwinął bicz i uczynił ostatni rozpaczliwy wysiłek. Usiłował owinąć koniec bata wokół nóg olbrzyma. Pogrążył, się już w bagnie po pachy.

Bestia chwyciła koniec bicza w obie ręce. Indy pociągnął, olbrzym szarpnął także i rzucił bicz na ziemię. No tak, to był koniec. Błoto sięgało Indy'emu do podbródka, a potworny olbrzym wykrzywiał się jak obłąkany, wyraźnie ciesząc się z kłopotliwego położenia swej ofiary.

Indy rozpostarł ramiona, rozpaczliwie usiłując utrzymać się nad powierzchnią. Był jednak zbyt ciężki. Przechylił głowę do tyłu, zaczerpnął ostatni haust powietrza i zamknął powieki. Bagno pochłonęło jego głowę. Zacisnął dłonie w pięści, wymachiwał rękami, ale nie był w stanie wysunąć głowy nad powierzchnię wody. Kiedy wypuści powietrze z płuc, będzie już po wszystkim.

Poczuł, że coś szarpnęło bat - raz, drugi, trzeci. Olbrzym nie próbował go wydobyć, chciał mieć jego bicz. Indy zacisnął dłoń z całej siły. Jeżeli umrze, to bicz będzie mu towarzyszył na zawsze. Owinął go kilka razy wokół przedramienia. Resztki powietrza uchodziły z jego płuc, ręce zniknęły pod powierzchnią.

To był już prawie koniec. Nie mógł się poruszyć. Śmierć w wieku trzydziestu łat - pomyślał. Bez znaczenia. Dziwne, ale w chwili gdy

pogodził się ze śmiercią, strach zniknął. Poczuł ogarniające go ciepło. Był niemal szczęśliwy.

Jakby z daleką, z zewnątrz, dotarło do niego kolejne szarpnięcie za ramię, nagle jego głowa wyskoczyła ponad powierzchnię. Ciepło i szczęście zniknęły bez śladu, pozostało tylko cierpienie. Pluł i łapczywie chwytał powietrze. Bolało go wszystko, całe jego ciało było bólem. Zorientował się, że olbrzym wyciąga go z bagna i wlecze w swoją stronę.

Próbował odwinąć bicz z przedramienia, ale olbrzym ciągnął zbyt mocno i zbyt szybko. Poczuł gorący oddech na twarzy i ogromną rękę zaciskającą się na jego szyi. Uścisk zelżał, stał się znów mocniejszy. Bawi się mną pomyślał.

Dobiegł go przenikliwy krzyk. Spojrzał w górę i zobaczył smoka spadającego na nich z góry. Latający wąż wpił się szponami w głowę olbrzyma, który zawył i wypuścił Indy'ego. Olbrzym młócił powietrze rękami i ryczał z bólu. Jedna ze szponiastych łap wbiła się w jego czoło, druga w ramię. Szczęki smoka miały zamknąć się na gardle olbrzyma, ale zamiast tego natrafiły na przedramię. Smok wydał przeraźliwy wrzask, wypuścił olbrzyma i odleciał.

Indy dyszał ciężko. Usiłował odplątać bicz owinięty wokół przedramienia i nogi. Poruszał się jednak zbyt wolno. Olbrzym zataczał się, krew ciekła z jego oczu, ale nie zapomniał o Indym. Przydepnął go nogą, wgniatając w mokrą ziemię. Uniósł stopę i już miał zmiażdżyć jego kręgosłup, kiedy nagle ziemia zadrżała. Był to łomot głośniejszy niż dźwięk kroków olbrzyma. Indy pomyślał, że to trzęsienie ziemi.

Rozległ się ogłuszający ryk i ujrzał stojącego na dwóch nogach ogromnego gada. Był tak wielki, że nawet olbrzym wydawał się przy nim nieduży. Tyranozaur! Indy spostrzegł paszczę z zakrzywionymi kłami, każdy z zębów był wielkości jego dłoni, a może nawet większy, usłyszał kłapnięcie szczęki. Olbrzym kulejąc zaczął uciekać, zranione ramię wisiało bezwładnie u jego boku. Indy strzelił z bicza, który owinął się wokół kostki

olbrzyma. Ten zawrócił i ruszył pędem w stronę Indy'ego, zamierzając rozszarpać go na strzępy. Tyranozaur jednak był szybszy. Chwycił olbrzyma, powalił go i w jednej chwili zmiażdżył w potężnych szczękach.

A ja na deser - pomyślał Indy. Znów uciekał, klucząc między drzewami, a ziemia drżała. Krwiożercza bestia ścigała go. Biegł przed siebie, nagle zobaczył torbę, którą Salandra niosła na ramieniu. Skąd, do diabła, wzięła się tu jej torba? Potem spostrzegł resztki olbrzyma tuż obok i zorientował się, że biegł w koło. Kiedy chwycił torbę, na ziemię spłynęło pióro. Ziemia wciąż dudniła. Indy uciekał, ale nie mógł ujść daleko. Przed nim była woda, po jego lewej stronie również woda, po prawej bagno. Był w pułapce! Ziemia pod jego stopami dosłownie się trzęsła.

Nad brzegiem leżała sporych rozmiarów kłoda. Przyjrzawszy się jej uważnie, Indy spostrzegł, że była to prymitywna dłubanka. Wewnątrz niej leżało topornie wyciosane wiosło. Nie wiedział, kto był właścicielem łódki, ale postanowił ją sobie pożyczyć. Z całych sił zaczął spychać dłubankę do wody. Pomyślał, jak gigantycznego wysiłku wymagało wciągnięcie łodzi tak wysoko na brzeg i przypomniał sobie olbrzyma. Wiedział już, czyją łódką chce popłynąć. Ryk potwora dodał mu sił. Dłubanka osunęła się na wodę. Wskoczył do niej i zaczął gorączkowo wiosłować. Tyranozaur wszedł za nim do wody. Jeszcze dwa kroki i już go ma. Potwór pożre go, a dłubanki użyje zamiast wykałaczki.

Dosłownie kilkanaście stóp za nim rozległ się rozdzierający, piskliwy skowyt. Potwór uderzał łapami w wodę, potężna fala zakołysała dłubanką. Indy jednak oddalał się i nabierał szybkości. Spojrzał do tyłu i zobaczył, że tyranozaur powoli zapada się w błoto. Jego nogi były uwięzione, nie mógł postąpić już do przodu ani powrócić na brzeg. Ryczał ogłuszająco i szamotał się rozpaczliwie.

– Masz pecha, koleś - mruczał Indy wiosłując zawzięcie. - Możesz mi wierzyć, wiem, co czujesz.

Płynął przez trzęsawisko, omijając martwe drzewa sterczące z wody. Zapadła cisza, ryk łomot i skowyt umilkły. Gdyby nie był tak wyczerpany i ubłocony, czułby się niemal szczęśliwy. Miał ochotę skoczyć do wody i zmyć z siebie błoto, którym był pokryty, ale nie chciał opuszczać łodzi. Kto wie, co mogło czaić się pod powierzchnią tej mętnej tafli?

Indy był sam, zagubiony, nie wiedział, w jakim kierunku zmierza. Starał się nie pływać w kółko, ale wszystko wyglądało tak samo. Minęła godzina, może dwie, kiedy zobaczył ptaka - może był to sokół - przelatującego nad jego głową. Ptak zaskrzeczał, a Indy pomyślał, że z braku lepszych pomysłów może uznać go za swojego przewodnika. Nie miał nic do stracenia. Skierował łódź w kierunku, w którym poleciał ptak. Jakiś czas potem Indy usłyszał inny głos ptaka, tym razem ujrzał wielkiego puszczyka siedzącego na gałęzi drzewa ogołoconego z liści i sterczącego z wody. Kolejny dobry znak. Przynajmniej miał nadzieję, że dobry.

Wiosłował zawzięcie. Dominującym gatunkiem drzewa w tej okolicy było drzewo wyglądające jak indyjski figowiec o pniu przypominającym pionowy zwój liny. Niższe gałęzie tych drzew zastępowały korzenie, tworząc jakby dodatkowe pnie sterczące z wody. Im bardziej zagłębiał się w las wodnych drzew, tym bardziej były zielone, na gałęziach niektórych z nich pojawiły się owoce podobne do sporej wielkości zielonych kiełbasek. Wokół było coraz więcej zieleni, również powietrze stało się czystsze. Niebo było bladozielone, odór trzęsawiska gdzieś się ulotnił. Indy był wyczerpany, ale czuł się znacznie lepiej.

Płynął teraz wzdłuż rzeki czy kanału porośniętego po obu stronach gęstymi zaroślami, zielonymi i bujnymi. Woda była przejrzysta, widział pływające w niej małe rybki. Wiosłował powoli, nie śpieszył się już. Było ciepło, chociaż nie gorąco. Zarośla skończyły się, pojawił się piaszczysty brzeg, łagodnie opadający do wody.

Wyskoczył z dłubanki i przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, jednak dno było twarde. Zanurzył się w ciepłej wodzie,

ściągnął ubłocone okrycia, wykąpał się i oczyścił z błota ubranie. Ułożył je na piasku, żeby wyschło i wyciągnął się jak długi. W tej samej chwili usnął twardym snem.

22.

PODRÓŻ DO WAYUA

We śnie Indy zobaczył stado jednorożców biegających po zboczu zielonego wzgórza i kłusujących przez równinę. Były to majestatyczne stworzenia o lśniącej skórze i szlachetnych głowach zwieńczonych rogami połyskującymi w bladozielonym świetle. Zwolniły, przywódca stada ostrożnie podszedł do kogoś leżącego na piasku. Ten ktoś spał. Indy zorientował się, że był to on sam.

Jednorożec przyglądał mu się, pozostałe podeszły z wolna do niego. Przywódca stada opuścił głowę i przytknął róg do serca Indy'ego. Przycisnął go, przebijając jego skórę i wbijając się w serce. Indy wiedział, że musi się obudzić, zanim zginie. Wtedy uświadomił sobie, że był to przecież tylko sen.

Ku swemu zdumieniu pośród jednorożców ujrzał Salandrę. Jej rude włosy połyskiwały, jakby były z metalu, a rysy stały się łagodniejsze. Szmaragdowe oczy lśniły... Podeszła do jednorożca i poklepała go po grzbiecie, zwierzak cofnął róg. Uniósł głowę i poprowadził stado nad brzeg wody, do wodopoju.

Salandra zbliżyła się do miejsca, z którego widział siebie we śnie. Pochyliła się nad nim i wyszeptała do jego ucha:

– Ty i ja jesteśmy jednym.

– To jest sen - odpowiedział.

Uśmiechnęła się i odwróciła do niego plecami. Pocałował ją w kark. Przycisnęła plecy do jego piersi i wniknęła w jego dało. Zlali się w jedno i byli jednym.

To sen. Tylko sen. Indy jednak czuł ciepło i szczęście, które dziwnie przypominało mu tę chwilę w bagnie, kiedy omal nie postradał życia. Trwało to jednak tylko chwilę. Błogie uczucie ustąpiło miejsca poczuciu zagrożenia. Wirował, czuł, że się kurczy. Potem dokonała się przemiana; był sokołem, z wysoka przyglądał się jednorożcom u wodopoju. Później leciał nad zielonymi wzgórzami, za którymi rozciągała się płaska, kamienista pustynia.

To sen - znów przypomniał sobie Indy. Wiedział, że to sen, a mimo to śnił dalej, dzięki temu sen był w szczególny sposób rzeczywisty. Wszystko pod nim lśniło i wibrowało, jakby ziemia była żywą istotą. Niebo stało się teraz brązowe, tak jak brązowa była jałowa ziemia na dole. Czas i przestrzeń, jak zwykle w snach, przestały istnieć.

Pustynia przerodziła się w szeroką, piaszczystą plażę nad brzegiem oceanu. Sokół leciał wzdłuż brzegu, aż ujrzał miasto. Wąskie i kręte uliczki były pełne ludzi, wielu z nich to wojownicy Wayua z kuszami przewieszonymi przez ramiona. Sokół przeleciał nad miastem i szybował dalej.

Wreszcie dotarł do skalistego wzgórza, na którego szczycie wznosił się warowny zamek. Sokół począł zataczać nad nim kręgi. Wewnątrz zamku znajdował się ogromny dziedziniec, na którym stało mnóstwo ludzi trzymających w rękach kolorowe flagi. Sokół sfrunął niżej i przeleciał nad głowami tłumu, potem uniósł się nieco i usiadł na występie muru. Miał wspaniały wzrok, a przyglądał się poczynaniom ludzi z iście ludzką ciekawością.

Ludzie na dziedzińcu ubrani byli w długie szaty zakrywające uda. Jeśli nosili jakiś rodzaj spodni, to były na tyle krótkie, że nie wystawały spod nich. Kobiety wyglądały jeszcze dziwniej. Ubrane były w

jaskrawokolorowe suknie, ale najbardziej niezwykłe były ich twarze: wszystkie kobiety miały lewą stronę twarzy pomalowaną na czarno.

Na środek dziedzińca wjechał oddział konnych dzierżących w rękach sztandary, a tłum wznosił okrzyki na ich cześć. W tym wszystkim było coś średniowiecznego, ptak nie zdziwiłby się, widząc rycerzy w pełnej zbroi.

Sokół przeleciał nad głowami tłumu, wszyscy jednak wpatrywali się w jeźdźców. Usiadł na ziemi w pobliżu muru. Wokół niego uniósł się wir kurzu. Indy uświadomił sobie, że znajduje się w alkowie. Wstał i spojrzał na swoje dało, jakby widział je po raz pierwszy. Obok niego stała Salandra, wpatrywała się w korowód jeźdźców.

– Gdzie jesteśmy?

– To zamek Maleiwy.

– Nie możemy tu być - powiedział Indy - To sen.

Salandra wpatrywała się w niego hipnotyzującym wzrokiem.

– W zasadzie to prawda. A jednak tu jesteśmy.

Wyszli z alkowy, Indy skoczył do tyłu na widok trzech mężczyzn uzbrojonych w kusze, idących w jego stronę. Dorównywali wzrostem olbrzymowi z bagna.

– Nie obawiaj się - powiedziała Salandra. - Nie widzą cię.

– Szli prosto na mnie.

– Nie, przeszliby przez ciebie. Zobacz, jest!

Na końcu procesji znajdował się muskularny, łysy mężczyzna o ostrych rysach i przenikliwym wzroku. Dosiadał białego ogiera, trzymał głowę dumnie podniesioną do góry. Indy rozpoznał Maleiwę, spotkał się z nim w więzieniu w Pincoya. Teraz wyglądał inaczej. Był silniejszy, biła od niego moc. Otaczała go siła, jakaś niewidzialna tarcza, która czyniła go niezwyciężonym. W prawej dłoni trzymał podłużny przedmiot, Indy spostrzegł dwugłowego orła...

Berło Jednorożca.

Indy nie mógł spuścić oczu z berła. Maleiwa uniósł je wysoko nad głowę. Tłum zaczął skandować coś, czego z początku nie mógł zrozumieć. To było coś w nie znanym mu języku, ale słowa otaczały go, napierały, był pewien, że za chwilę je zrozumie. Wtedy Salandra szepnęła mu do ucha:

– Brama Jednorożca... Brama Jednorożca. To właśnie znaczą te słowa.

Indy zrobił krok w kierunku Maleiwy. Berło przyciągało go swoją mocą, ale Salandra przytrzymała go za ramię.

– Zaczekaj. Teraz nic nie możesz zrobić.

– Co się dzieje? Co on robi?

– Nie rozumiesz? Wybiera się w drogę do twojego świata.

Indy wiedział teraz z całą pewnością, że wszystko, co Salandra powiedziała mu o przywódcy Wayua, było prawdą. Musiał go powstrzymać.

Usłyszał dziwny hałas, jakby drapanie, które dochodziło skądinąd.

– Cieszę się, że wreszcie widzisz rzeczy takimi, jakimi są - powiedziała Salandra, jakby czytała w jego myślach.

– Gdzie jest Brama Jednorożca? - spytał Indy, nie zwracając uwagi na skrobanie.

– Niecały jeden dzień drogi z miejsca, w którym śpisz. - śpię?... A gdzie ja śpię?

Chociaż wciąż powtarzał sobie, że śpi, myśl o tym zdumiała go. Obraz wokół niego zmącił się, zbladł i zniknął. Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał, było uparte skrobanie.

Indy usiadł, otrzepał się z piasku i sięgnął po ubranie. Było suche, nawet od wewnątrz. Szybko włożył je na siebie. Musiał spać co najmniej parę godzin.

Skrobanie. Dochodziło z pobliskiej kępy drzew rosnących nad wodą. Podszedł do niej, spostrzegł torbę. W jaki sposób znalazła się tutaj? Był pewien, że zostawił ją w dłubance. Spojrzał przez ramię. Dłubanka znikła.

Znów skrobanie. Torba poruszyła się. Usłyszał węszenie, tak jakby było w niej coś żywego. Kopnął ją. Rozsypała się fasolka i suszone owoce, rozlał się żółty płyn. W skórzanym bukłaku Salandry ktoś wygryzł dziurę, *nalca* wsiąkała w piasek. Chwycił bukłak; w tej samej chwili wypłynęły z niego ostatnie krople. Cisnął go na ziemię z gniewem. Nie miał już *nalcy*. Pięknie. Tak jakby nie dość było kłopotów.

Jego kapelusz wysunął się z torby i przesunął kilkanaście cali po piasku. Podszedł do niego, pochylił się, ale w tej samej chwili kapelusz uciekł.

– Hej, chodź no tutaj!

Indy biegł za kapeluszem, złapał go wreszcie, spod spodu umknął długonogi gryzoń. Zajrzał do kapelusza, otrzepał go i wsadził na głowę. Wrócił do miejsca, w którym znajdowała się torba i pozbierał resztki jedzenia.

– Szczury.

Usłyszał plusk, ujrzał dłubankę płynącą po wodzie. Nie mógł dojrzeć, kto znajdował się w środku. Ukrył się w krzakach, dłubanka podpłynęła do brzegu. Kolejny olbrzym? Dlaczego w takim razie pozostawił go przy życiu?

– Indy?

– Salandra!

Pobiegł w stronę brzegu, Salandra i Vicard wychodzili z łodzi.

– Żyjecie!

– Oczywiście, że żyjemy - powiedziała. - Przybyliśmy tu wczoraj, kiedy spałeś.

– Wczoraj?

– Spałeś co najmniej czternaście godzin - odrzekł Vicard.

– Dlaczego mnie nie obudziliście?

– Musiałeś się wyspać po tych trzech dniach na bagnach - powiedział Vicard. - My też spaliśmy. Oczywiście na zmianę.

Trzy dni. To brzmiało niewiarygodnie. Przez moment zastanowił się, czy jego odczuwanie upływu czasu, było związane z miejscem, czy też może z jakimś wpływem Salandry lub Vicarda. W tej chwili jednak miał inne, ważniejsze pytania.

– W jaki sposób udało wam się uciec przed olbrzymem i jak mnie tutaj znaleźliście?

– Znasz przecież odpowiedź na te pytania - powiedział Vicard. - Teraz musimy stąd odejść. Nie ma czasu do stracenia.

– Nie jestem pewien, czy znam odpowiedzi na te pytania. Dokąd idziemy?

– Przypomnij sobie swój sen. Było w nim wszystko.

– Jaki sen?

W momencie gdy zadał to pytanie, nagle przypomniał sobie sen. Leciał nad pustynią, potem był jakiś zamek i dziwni jeźdźcy, kobiety z twarzami pomalowanymi na czarno. To było coś ważnego, ale nie mógł sobie tego przypomnieć.

Salandra spoglądała na niego ciekawie.

– Już pamiętasz?

Wzruszył ramionami.

– Coś sobie przypominam.

– Przypomnisz sobie - zapewniła go.

Pozbierali rzeczy, Vicard zarzucił torbę na ramię.

– Gotów? - spytał. - Kapelusz, bat, kurtka. Chyba jesteś gotów do drogi. Zaśmiał się i klepnął go po plecach.

Uderzenie było mocne, w sam środek pleców. Przez chwilę Indy czuł przypływ rozdrażnienia. Nagle przypomniał sobie sen ze wszystkimi szczegółami.

– Nie mamy po co iść do Wayua - powiedział. - Maleiwa opuścił już zamek - spojrzał w stronę Salandry. - Byłaś tam, to znaczy w moim śnie.

Salandra i Vicard przyglądali mu się w milczeniu. Opowiedział im swój sen, starając się doszukać w nim sensu.

– Pewnie to tylko sen, więc może to nieważne...

– Bardzo ważne. Indy - powiedziała Salandra. - Cieszę się, że tak dużo zapamiętałeś. Musimy dotrzeć przed nim do Bramy Jednorożca.

Zachowywała się tak, jakby to wszystko było prawdą. Zaśmiał się nerwowo.

– Dlaczego więc po prostu nie rozwiniemy skrzydeł i nie polecimy tam?

– Twoje możliwości są bardzo ograniczone, kiedy oboje razem przybieramy postać ptaka. Musisz odebrać berło Maleiwie zupełnie sam. Nie możesz po prostu wyśnić rozwiązania wszystkich problemów.

I kto to mówi - pomyślał.

– Dlaczego ta brama nazywa się Bramą Jednorożca?

– Ponieważ w swoim czasie jednorożce przemierzały swobodnie granice między światami - powiedziała Salandra, - Ich rogi jednak stały się tak poszukiwane w waszym świecie, że schroniły się do wewnątrz i poczęły pilnie strzec wejścia. Stało się to częścią ich instynktu przetrwania.

– Piękna legenda - powiedział Indy, kiedy ruszyli.

– Poza tym prawdziwa - dodał Vicard. Szli przez malownicze łąki, ale kiedy Indy spojrzał w stronę horyzontu, poczuł się zdezorientowany. Im dalej spoglądał, tym bardziej łagodne wzgórza porośnięte wrzosem wznosiły się ku niebu, doznał zawrotu głowy.

– Czy znajdujemy się już na terytorium Wayua?.

– Znajdujemy się na ich terytorium od momentu, kiedy znaleźliśmy się na Bagniskach - powiedział Vicard.

– To zadziwiające, że ktokolwiek pragnie mieć to straszliwe miejsce na własność - stwierdził Indy.

– Wayua używają go do swoich celów - odrzekła Salandra.

– Jest to miejsce zsyłki niebezpiecznych zbrodniarzy - dodał król. - Spotkaliśmy jednego z nich.

– Olbrzyma?

– Otóż to.

– Wielu ludzi w Wayua jest tego wzrostu - powiedziała Salandra. - Jego wzrost nie był niezwykły, w przeciwieństwie do jego zbrodni.

– A więc Bagniska stanowią rodzaj więzienia - odrzekł Indy.

– Jest tylko jeden rodzaj sroższej kary.

– Śmierć? - spytał Indy.

– Bagniska to śmierć. Jeszcze gorszą karą jest wysłanie przez bramę i pozbawienie *nalcy* - powiedział Vicard.

Bilet w jedną stronę do krainy potępieńców, do labiryntu - pomyślał Indy, przypominając sobie słowa Salandry. Nie był pewien, czy wierzył w to, co mówiła, zastanawiał się jednak nad spotkaniem z olbrzymem. Spytał Vicarda, dlaczego bestia oszczędziła go.

– Chciał zostawić mnie na później - odpowiedział król. - Lubił świeże mięso, poza tym najadł się jednym ze strażników.

– Ludożerca - Indy skrzywił się z obrzydzeniem. - Całe szczęście, że nie spotkaliśmy ich więcej.

– Raczej bardzo krótko żyją na bagnach - wyjaśnił Vicard. - Trudno tam o pożywienie, więc zjadają się wzajemnie, ale zazwyczaj stają się łupem dzikich zwierząt.

– To bardzo surowa kara.

– I zazwyczaj odpowiednia do przewinień. - Po chwili Vicard dodał: - Chciałbym tylko, by kiedyś Maleiwa tam się znalazł.

– Nie. On zasłużył na labirynt i znajdzie się tam - powiedziała Salandra stanowczo. - Za jego sprawą zginęły już setki ludzi i jeśli nikt go nie powstrzyma, terror zapanuje w obu światach.

W obu światach.,. Indy wciąż nie do końca wierzył, że znajduje się wewnątrz Ziemi, chociaż tyle zobaczył i doświadczył. Wszystko jednak wskazywało na to, że tak było w istocie.

– Wciąż nie wierzysz własnym oczom, prawda? - zapytała Salandra. - Po wszystkich tych wydarzeniach.

Indy roześmiał się głośno, znów czytała w jego myślach.

– To jest sprzeczne z moim postrzeganiem rzeczywistości - powiedział. - Na razie cieszę się, że mam pod nogami stały ląd i będę się cieszyć, kiedy zbliżymy się do wzgórz, gdy nie będę musiał patrzeć na to, jak horyzont wspina się do nieba. Tymczasem to mi wystarczy.

23.

BRAMA JEDNOROŻCA

Kiedy znaleźli się pomiędzy wzgórzami, nad wrzosowiskiem poczęła unosić się gęsta mgła. Utrzymywała się na stałej wysokości nad ziemią zarówno w dolinie, jak i na wzgórzach. Sięgała Indy'emu do piersi, wydawało mu się chwilami, że wędrują w chmurach.

Co pewien czas potykali się o niewidoczne kamienie, a Indy wciąż się obawiał, że mogą wpaść w jakąś rozpadlinę. Jedyną zaletą sytuacji było to, że właściwie nie widział również horyzontu, wszystko wyglądało jak podczas normalnego pochmurnego dnia na powierzchni Ziemi.

Mgła sprawiała, iż otoczenie, w którym się znaleźli, przypominało obrazy ze snu. Indy bez trudu mógł wyobrazić sobie jednorożce przemierzające okoliczne wzgórza.

– Jak daleko jeszcze do bramy? - spytał, kiedy wspięli się na czwarte czy piąte wzgórze.

– To nie jest taka zwykła brama - odrzekła Salandra - niełatwo ją znaleźć, ponieważ przemieszcza się z miejsca na miejsce.

Pięknie. Indy miewał do czynienia z drzwiami obrotowymi, ale bramy przemieszczające się z miejsca na miejsce, do tego strzeżone przez jednorożce, stanowiły pewną nowość.

– W jaki sposób ją znajdziemy?

– Pozostawimy to Maleiwie. On może odnaleźć bramę z pomocą berła. Na tym polega jego plan.

– Dokąd prowadzi to przejście?

– Tego nikt nie wie na pewno. W naszym i w twoim świecie zachodziły zmiany, brama przemieszczała się bezustannie. Być może prowadzi prosto do Niemiec, na co z pewnością liczy Maleiwa, być może na Trafalgar Square, ale równie dobrze możesz znaleźć się na Antarktydzie.

– Co?

– Przykro mi.

– Szkoda, że nie wziąłem ze sobą szalika.

A więc nie wiedzieli, jak odszukać bramę ani dokąd ona prowadzi. Nieźle się urządzili - pomyślał Indy.

– Ale dlaczego Maleiwa podejmuje takie ryzyko, przecież może znaleźć się w jakimś zupełnie bezsensownym miejscu? Nie rozumiem.

– Arogancja bierze w nim górę nad rozsądkiem - powiedział Vicard. - Przypuszcza, że dzięki berłu będzie w stanie manipulować bramą i mieć wpływ na to, dokąd prowadzi.

– A czy będzie mógł? - spytał Indy.

Vicard wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Doskonale. Czego jeszcze nie wiemy?

– Nie wiemy, gdzie jest Maleiwa - odparł Vicard.

– To chyba żart, prawda? - Indy dobrze wiedział, że nie.

Zatrzymali się na szczycie kolejnego wzgórza. Kłęby mgły owiewały postać Vicarda. Ze swą rudą brodą i muskularną sylwetką wyglądał jak antyczny bóg wynurzający się z morza.

– Teraz twoja kolej, Indy. Powiedz nam, dokąd mamy iść.

– Skąd ja mam to wiedzieć? Myślałem, że wy wiecie, gdzie zmierzamy.

Vicard dotknął palcem podbródka i przyglądał się Indy'emu.

– Tylko do pewnego momentu, który właśnie nadszedł. Tak naprawdę, to nie mam najlepszej orientacji podczas wędrówek.

Indy spojrzał na Vicarda. Teraz nie wyglądał jak mityczny bóg, raczej przypominał niedołężnego starca.

– Skoncentruj się na berle - radziła Salandra. - Kiedyś należało do ciebie. Powinieneś móc je wyczuć.

Indy nie był co do tego przekonany. Niemniej jednak spróbował patrzeć przed siebie na następne wzgórze przypominające miękką, puszystą chmurę. Spojrzał w lewo, potem w prawo. Wzruszył ramionami.

– Myślę, że nie mam najlepszego wyczucia, jeśli chodzi o jednorożce.

– Indy, spróbuj - nalegała Salandra. - Skoncentruj się. Usiądź.

– Tutaj, w tej zupie? - Indy pochylił się i dotknął ręką ziemi, była porośnięta trawą. Pogrążył się we mgle.

Salandra znajdowała się po jego prawej stronie, Vicard po lewej.

– Staraj się przeniknąć mgłę - powiedziała. - Wyobraź sobie Maleiwę z berłem w ręku. Gdzie jest teraz?

Indy wpatrywał się przed siebie. Początkowo nie czuł niczego. Choćby nie wiem jak starał się wyobrazić sobie Maleiwę z berłem w ręku, nie mógł go zobaczyć. Nawet obrazy z jego snu zatarły się. Z trudem udało mu się przywołać obraz Maleiwy paradującego na dziedzińcu zamkowym.

– Za bardzo się starasz - szepnęła Salandra. - Zrelaksuj się.

Jak może się zrelaksować, kiedy wymaga się od niego rzeczy niemożliwej? Zapomnij o tym - nakazywał sobie.

Kiedy przestał zmuszać wyobraźnię do odtworzenia postaci Maleiwy, mgła stała się jakby gęstsza. Nagle rozwiała się tuż przed nim i ujrzał Maleiwę wspinającego się konno po zboczu wzgórza. Miał na sobie długie spodnie i kurtkę, ubrany był jak ludzie ze świata zewnętrznego. Towarzyszyło mu trzech mężczyzn. Opary mgły sięgały grzbietów koni. Indy wyraźnie widział srebrną rękojeść berła.

Wpatrywał się intensywnie w dwugłowego orła. Oczywiście. Przecież orzeł był opiekunem i strażnikiem Indy'ego od wielu lat, niejednokrotnie

pomógł mu wyjść z opresji. Teraz także będzie mógł mu pomóc, jeśli Indy tego zechce.

– Którędy? - spytał. Nie miał pojęcia, czy wypowiedział te słowa na głos, czy tylko w myśli. To nie było ważne. Wstał i przez moment widział orła krążącego nad pagórkiem z prawej strony. Wskazał ptaka, ale już go nie było.

– Tam? - spytała Salandra.

– Tak. Tędy - odpowiedział Indy. Nie warto było opowiadać o orle, to był jego ptak i nie dotyczyło to nikogo poza nim samym.

Ani Vicard, ani Salandra nie podawali w wątpliwość jego decyzji. Wszyscy troje ruszyli naprzód przez mgłę. Zeszli po zboczu wzgórza i poczęli wspinać się na następne. Indy nie zastanawiał się, co zrobią, kiedy spotkają Maleiwę. Pomyśli o tym we właściwym czasie. Stanęli na szczycie, nie zobaczyli nic poza wzgórzami i mgłą. Ruszyli dalej w tym samym kierunku.

Być może pomylił się. Być może orzeł, którego zobaczył, nie miał żadnego znaczenia? Wydawało ma się, że szli w niewłaściwym kierunku. Być może nie odnajdą Maleiwy. Kiedy znaleźli się na szczycie następnego wzgórza, zapomniał o swoich wątpliwościach. Wszystko wyglądało tak, jak widział we mgle: był Maleiwa i jego trzej ludzie wspinający się po zboczu, tyle że teraz Maleiwa trzymał berło przed sobą w wyciągniętej ręce.

Indy jak zahipnotyzowany wpatrywał się w srebrne głowy orfa. Vicard przyklęknął i pociągnął Indy'ego i Salandrę w dół. W milczeniu obserwowali Maleiwę, który zsiadł z konia i wspiął się na szczyt, a jego ludzie czekali na dole.

Indy, kryjąc się we mgle, skradał się w jego stronę, Vicard i Salandra szli za nim. Co jakiś czas Indy wystawiał głowę sprawdzając, czy posuwają się we właściwym kierunku, wreszcie zatrzymał się w niewielkim oddaleniu od strażników i czekał. Maleiwa trzymał Berło Jednorożca w obu rękach i obracał się powoli wokół własnej osi. Wyglądało to tak, jakby szukał żyły

wodnej, używając różdżki, ale Indy wiedział dobrze, czego tak naprawdę poszukiwał wódz Wayua.

Schował się znów we mgle i zaczął czołgać się do przodu. Ostrożnie wymacywał drogę przed sobą, uważając, by nie potrącić jakiegoś kamienia i nie narobić hałasu. Wiedział, że strażnicy byli w pobliżu.

– Indy! - zawołała głośno Salandra z tyłu.

– Świetny pomysł. Pogadajmy - uniósł głowę i zobaczył, że mgła się rozprasza. Strażnicy spostrzegli ich.

– Biegnij! - krzyknął Vicard.

Ale było za późno. Strażnicy rzucili się z wymierzonymi kuszami. Otoczyli ich w jednej chwili. Indy z wolna uniósł ręce do góry i spojrzał w stronę szczytu. Utrzymywała się tylko resztka mgły, która uformowała się niczym tunel kilkanaście stóp przed Maleiwą. Wódz zatrzymał się o krok przed wejściem do niego. Odwrócił się w ich stronę i wykrzywił usta w uśmiechu.

– Nie udało ci się, Vicardzie. Twoja córka i jej bliźniak spóźnili się. Zastrzelić ich!

Indy sięgnął po bicz, ale było za późno. Strażnicy wystrzelili, Vicard rzucił się przed niego. Trzy strzały wbiły się w pierś i ramię starca. Salandra krzyknęła i podbiegła do niego. Strażnicy znów napięli kusze, ale w tym momencie jeden z nich wydał chrapliwy okrzyk i ręką wskazał na stado koni galopujące w ich kierunku. Nie, to nie były konie, to były jednorożce. Stworzenia z mojego snu - pomyślał Indy. Nacierały na wzgórze z opuszczonymi głowami. Strażnicy strzelili w ich stronę i poczęli uciekać. Jednorożce jednak były szybsze. Jeden ze strażników potknął się i natychmiast został stratowany. Drugi wyciągnął dłonie, jakby chciał uspokoić jednorożce, i w sekundę później przebity na wylot przecinał powietrze. Trzeci strażnik zniknął za wzgórzem, ale po chwili dobiegł ich jego krzyk.

– Brama! - krzyknęła Salandra. - Naprzód, Indy! Idź!

Maleiwa zniknął, tunel mgielny powoli się rozpraszał.

Indy ruszył w jego kierunku, ale zatrzymał się i odwrócił do Salandry pochylonej nad ojcem.

– Idziesz ze mną?

Wstała.

– Nie mogę, Indy. Muszę się nim zająć.

– To znaczy, że on żyje?

– Mogę sprowadzić go z powrotem. Jeszcze nie jest za późno. Idź już!

Uścisnął ją, szepnęła mu coś do ucha.

– Będę pamiętał - powiedział Indy. Wahał się jeszcze przez chwilę, gdy ujrzał wspaniałego jednorożca kłusującego w jego stronę. Zwierzę miało opuszczoną głowę, z początku Indy sądził, że chce go zaatakować. Rozpoznał przywódcę stada, tego samego jednorożca, który we śnie wbijał róg w jego serce.

Kiedy Indy ruszył w kierunku bramy, jednorożec podążał obok niego. Indy chwycił go za grzywę i wskoczył na jego grzbiet. Zwierzę ruszyło galopem w stronę szczytu wzgórza, ale teraz Indy widział zaledwie ślad tunelu. Był pewien, że jednorożec popędzi przezeń, lecz zwierzę nagle zatrzymało się i Indy został gwałtownie wyrzucony w górę.

Przekoziołkował w powietrzu, osłonił głowę ramionami, spodziewając się upadku. Upadek jednak nie następował, wciąż leciał... i leciał. Koziołkował we mgle, która nie tylko była widoczna, ale wirowała wokół niego. Potem spowiła go świetlista chmura, zacisnął oczy. Stracił wszelką orientację, nie wiedział, czy spada, czy wznosi się. Wreszcie uderzył o coś twardego.

Uniósł głowę powoli. Leżał na metalowej, zielonkawej powierzchni w kształcie kopuły. Metal przypominał miedź. Powierzchnia była spadzista, ale zdołał wstać. Najpierw zobaczył jasnobłękitne niebo i granatowy ocean z białymi grzywami fal poniżej. Stał kilkadziesiąt stóp nad jego

powierzchnią na niewielkiej miedzianej wysepce. Ale co to było? Gdzie się znajdował?

Spostrzegł długie szpikulce sterczące z brzegów wysepki, Rozejrzał się i zobaczył parę rzeczy naraz. Ujrzał ogromną pochodnię w wielkiej ręce i drapacze chmur. Nowy Jork! Wylądował na koronie Statuy Wolności!

Zanim zdołał się nad tym wszystkim zastanowić, spostrzegł także Maleiwę stojącego w pobliżu krawędzi. Spoglądał w dół, trzymając berło w prawej ręce. Indy odpiął bat i zaczął czołgać się w jego stronę. Maleiwa przesunął się nieco w bok, ciągle patrzył w dół. Prawdopodobnie szukał dogodnego zejścia. Indy nie wiedział, co robią na szczycie Statuy Wolności, ale uznał, że trafiła mu się znakomita okazja, by skończyć z Maleiwą raz na zawsze.

Zaskoczyć go, wytrącić mu berło z ręki z pomocą bata. Proste. Nic dodać, nic ująć. Co będzie dalej, to się okaże. Indy nie wiedział, jak długo Maleiwa może przebywać tu bez berła i bez *nalcy.* Przekona się o tym również. Obliczył odległość i uniósł rękę. Co będzie, jeśli nie trafi? Wahał się o ułamek sekundy za długo. Maleiwa odwrócił się, chwycił berło w obie dłonie i uniósł nad głową...

Indy znalazł się po raz pierwszy twarzą w twarz z Maleiwą. Dopiero teraz spostrzegł, że wódz był niewiele niższy od olbrzyma z bagna. Miał około siedmiu stóp wzrostu i potężną sylwetkę. Indy nie miał szans w walce wręcz. Maleiwa zrzuci go bez trudu i bez wahania. Indy cisnął bat, ale Maleiwa natychmiast wykonał błyskawiczny ruch berłem i bicz uderzył go nieszkodliwe w lewe ramię.

Teraz będzie zabawa - powiedział Indy do siebie.

Maleiwa skierował berło w jego stronę. Indy spodziewał się ataku, ale wódz wciąż jeszcze nie ochłonął ze zdumienia, w jakie wprowadził go widok Indy'ego.

– Wspaniale, Jones - odezwał się, podczas gdy Indy zwijał swój bat. - Udało ci się powrócić do twego świata. Tutaj też możesz umrzeć. Pchnął

berłem, ale Indy'emu udało się uchylić, ostry koniec przeszedł o parę cali od jego głowy. Maleiwa błyskawicznie cofnął się do poprzedniej pozycji i znów wymierzył berło w Indy'ego.

– Masz szczęście. Będziesz żył o parę sekund dłużej.

– Poddaj się - powiedział Indy. - Oddaj mi berło, wracaj i nie zjawiaj się tu nigdy więcej.

Maleiwa się zaśmiał.

– Jesteś głupcem, Jones. Nie ma powrotu, nie tym przejściem. Już go nie ma. Poza tym mam sprawy do załatwienia w Berlinie.

– W takim razie czekają cię kłopoty, ponieważ nie pozwolę ci odejść z berłem - odrzekł Indy:

Zauważył bukłak przytroczony do pasa Maleiwy, zdał sobie sprawę, że wódz Wayua zabezpieczył się na wszelki wypadek.

– Widzę, że nie ufasz potędze berła. Wziąłeś ze sobą *nalcę*.

– Mylisz się. Znam potęgę berła. Ona mnie chroni. *Nalca* jest dla mojego sprzymierzeńca, *Herr* Hitlera. Jego naukowcy odtworzą jej skład i wyprodukują odpowiednią ilość dla całej mojej armii. Wtedy Hitler dostanie berło, przynajmniej na jakiś czas.

– Nie sądzę, by Hitler miał do dyspozycji jakichkolwiek naukowców. To jest zwyczajny awanturnik.

– Nie licz na to, Jones - Maleiwa uderzył, ale Indy się uchylił. Wódz Wayua uderzył znowu, tym razem z boku, ale Indy'emu udało się zablokować cios zwiniętym biczem. Maleiwa pociągnął berło ku sobie, ale Indy chwycił je z całej siły.

Ktokolwiek spojrzałby na szczyt Statuy Wolności w tym momencie, zobaczyłby dwóch mężczyzn obracających się w dziwacznym tańcu na czubku głowy posągu. Taniec nie trwał długo. Maleiwa zepchnął Indy'ego na krawędź i Indy wiedział, że musi się trzymać berła ze wszystkich sił. To była jego jedyna szansa.

Uderzył plecami o iglicę korony. Stęknął, ale nie wypuścił berła z rąk. Uniósł nogę i kopnął Maleiwę z całej siły w klatkę piersiową. Udało mu się zaskoczyć wodza Wayua i wyrwać mu berło. Rozwścieczony Maleiwa rzucił się na Indy'ego, chcąc je odebrać.

Indy był tak skupiony na berle, że zapomniał o przepaści ziejącej za jego plecami. Maleiwa zderzył się z nim z taką siłą,. że strącił go z iglicy. Wisiał przez chwilę na jednej ręce wczepionej w krawędź korony. Taras obserwacyjny znajdujący się pod koroną był dokładnie przed nim, kilku turystów wpatrywało się w niego z rozdziawionymi ustami. Wystarczyło zahaczyć nogami o poręcz.

Zakołysał się w powietrzu, ale w tym momencie jego ręka nie utrzymała ciężaru i zsunął się po czole posągu na grzbiet nosa. Rozpaczliwie zacisnął kolana i udało mu się zatrzymać na samym czubku metalowego nosa. Jego stopy zwisały w powietrzu, ale wciąż trzymał berło.

Spojrzał w dół. Błąd. Cal po calu wspinał się, aż wreszcie oparł stopy o krawędź nosa.

– Jones, wejdź trochę wyżej i rzuć mi koniec bicza - krzyknął Maleiwa wychylając się w jego stronę. - Wciągnę cię na górę.

– Dzięki, kolego, ale nie skorzystam.

Usłyszał głosy dobiegające z tarasu obserwacyjnego:

– Ktoś idzie mu na pomoc! - krzyknął jeden z gapiów.

Indy spojrzał w górę i zobaczył, że Maleiwa opuścił jedną nogę poza krawędź korony. Czego to mu się zachciewa - pomyślał. Uniósł berło ponad głowę.

– Maleiwa, o to ci chodzi? No to łap! - cisnął Berło Jednorożca w stronę New York Harbor. Koziołkując uderzyło o tablicę umieszczoną w dłoni posągu. Dwugłowy orzeł zawadził o wyrzeźbioną datę Deklaracji Niepodległości, przez chwilę wydawało się, że zatrzyma się tam. Błysnęło jednak tylko w słońcu i spadło.

– Nie! Nie! - krzyknął Maleiwa, który wciąż zwisał na krawędzi korony. Wciągnął się z powrotem na górę, ale z dużym trudem. Już traci siły - pomyślał Indy. Teraz wódz szamotał się z bukłakiem przymocowanym do pasa. Indy wspiął się po grzbiecie nosa i zamachnął batem. Jego koniec owinął się wokół jednej z poręczy u dołu korony. Mając obie ręce wolne, bez trudu wspiął się po czole i po włosach rzeźby. Chwycił się poręczy i przez moment miał ochotę skoczyć na taras obserwacyjny. Musiał jednak upewnić się, że Maleiwa mu nie ucieknie. Trzymając rękojeść bata w zębach, sięgnął do górnej krawędzi korony, podciągnął się i znów znalazł się na szczycie.

Maleiwa stal po drugiej stronie kopuły, opierał się o iglicę i drżącymi rękami unosił do ust bukłak z *nalcą*.

Indy machnął ręką, koniec bicza uderzył w dłoń wodza Wayua. Bukłak wypadł mu z ręki, a *nalca* się wylała. Maleiwa postąpił krok do przodu, upadł i zaczął pełznąć w stronę bukłaka. Sięgnął po niego, ale Indy kopnął naczynie z całej siły. Bukłak przeleciał między dwoma iglicami i spadł.

Maleiwa przez chwilę stał bez ruchu. Potem odwrócił się w stronę Indy'ego i ruszył ku niemu z rozpostartymi ramionami. Wyglądał jak szaleniec w napadzie furii. Indy nie spodziewał się tego nagłego przypływu energii, cofnął się o krok i poślizgnął na rozlanej *nalcy*.

Maleiwa skoczył, przeleciał nad jego głową i upadł obok. Indy spojrzał w jego stronę i zobaczył, jak wódz Wayua rozpływa się w powietrzu. Stał się przezroczysty. Po chwili zniknął zupełnie, a Indy mógłby przysiąc, że słyszał ryk podziemnej bestii i okrzyk przerażenia. Maleiwa nie miał już ani Berła Jednorożca, ani *nalcy*, labirynt upomniał się o niego.

EPILOG

– Marcus, żyjemy jak we śnie, nie zdajemy sobie sprawy z istnienia świata we wnętrzu Ziemi. Byłem tam. Wiem, co tam się znajduje. Oczywiście nie widziałem wszystkiego. To niezwykle istotne dla nauki, dla naszej przyszłości, dla naszego bezpieczeństwa - musimy nawiązać kontakt ze światem wewnętrznym. Są przygotowani do nawiązania stosunków z nami, przynajmniej w ograniczonym zakresie.

Minęło kilka dni, odkąd Indy zszedł ze Statuy Wolności. Po raz drugi spotkał się z Marcusem Brodym. Indy chciał opowiedzieć wszystko dziennikarzom, jechać do Waszyngtonu i jeśli to będzie konieczne, spotkać się nawet z samym prezydentem Coolidge'em. Dopóki znajdował się w świecie wewnętrznym, próbował zaprzeczyć jego istnieniu, ale walka z Maleiwą stała się punktem zwrotnym. Kiedy uświadomił sobie, że zdołał się uratować, zrozumiał też, że Salandra mówiła prawdę. Wewnątrz Ziemi istniały nieznane kraje i żyli tam ludzie.

Chodził tam i z powrotem po gabinecie Brody'ego. Dyrektor muzeum siedział rozparty w fotelu i przyglądał mu się uważnie. Wyglądał tak, jakby badał figurkę konia z czasów dynastii Tang i podejrzewał, że ma do czynienia z kolejnym fałszerstwem.

Brody splatał i rozplatał palce obu dłoni i słuchał.

Zmarszczył lekko brwi, ale nie próbował przerwać Indy'emu.

– Oczywiście wcale nie jestem pierwszym człowiekiem, który odkrył istnienie świata wewnętrznego. Wielu ludzi z naszego świata dotarło tam i powróciło, ale nikt im nie uwierzył - Indy zatrzymał się przed biurkiem Brody'ego. Na wierzchu leżał list, który napisał do niego z Santa Marta.

Obok spoczywał srebrny dwugłowy orzeł, tylko tyle pozostało z berła. Indy znalazł u stóp posągu.

– Wierzysz mi, prawda, Marcus?

– No cóż, faktem jest, że legendy wielu ludów wspominają o świecie podziemnym. Nawet chrześcijańskie piekło jest umieszczone wewnątrz Ziemi. Z całą pewnością twoja opowieść pozwala przypuszczać, że w pewnym sensie znalazłeś się w piekle, czy też przeszedłeś przez istne piekło. A jednak...

Brody pochylił się do przodu, oparł dłonie o poręcze fotela i wstał z trudem, jakby przybyło mu nagle ileś funtów. Podszedł do mapy świata wiszącej na ścianie.

– A jednak co? - spytał Indy podejrzliwie.

– Spróbujmy rozważyć inną możliwość.

Indy rozłożył ręce. Jeżeli Brody mu nie wierzy, to nikt mu nie uwierzy.

– Dobra. Dalej, powiedz mi, że jestem czubkiem.

– Czubkiem, nie. Sądzę po prostu, że padłeś ofiarą iluzji czy też sugestii.

Brody przesunął palcem wzdłuż zachodniego wybrzeża Ameryki Południowej i zatrzymał się u samego dołu.

– Tutaj, na granicy Chile i Argentyny, znajduje się kraina jezior i wysp, wygląda dokładnie jak okolica, dokąd zostałeś zabrany na rzekomym statku widmie.

– Marcus - przerwał mu Indy. - Jest mnóstwo miejsc na całym świecie, gdzie są jeziora i wyspy. Mówiłem ci przecież, że wyglądało to zupełnie inaczej, nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić.

– Indy, proszę cię, pozwól mi skończyć. - Brody stuknął palcem w mapę. - Przez całe stulecia podróżnicy gubili się tam, a wszystko wydawało im się niezwykłe i widzieli rzeczy, których nie było. Jest to doskonałe miejsce dla piratów albo dla ludzi wierzących w dziwne rzeczy.

– Wierzących?

– Owszem. Wierzących w świat wewnętrzny. Uważam, że Salandra została wychowana w kulturze cechującej się tego typu wierzeniami, sama również była przekonana, że Ziemia jest wydrążona i że żyją w jej wnętrzu. Zdarzenia w jej życiu odpowiadały temu, co uważała za świat wewnętrzny, a ty zostałeś w to wszystko wciągnięty. Prawdopodobnie nastąpił jakiś rozłam pośród wyznawców, a to z kolei stało się przyczyną całego konfliktu.

– Marcus, to nie wyjaśnia niczego.

– Indy, zaczynam się niecierpliwić. Słuchasz mnie?

– Myślę, że dość usłyszałem. Zamierzam porozmawiać z reporterem z „Washington Post". On mnie wysłucha.

– Indy, dla twojego własnego dobra posłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia, zanim zaczniesz opowiadać niestworzone historie dziennikarzom - Marcus Brody przyjął dramatyczną, niemal błagalną pozę. - Będą mieli świetny ubaw, staniesz się pośmiewiskiem wszystkich. Stracisz pracę na uczelni.

Indy usiadł na jego fotelu.

– Dobra, mów. Zamieniam się w słuch.

– Dziękuję. Tak jak powiedziałem, podejrzewam, że znalazłeś się pośród ludzi wierzących w istnienie świata wewnątrz Ziemi, ludzi żyjących w południowej części kontynentu latynoamerykańskiego. Jakiś odłam wyznawców jest zafascynowany obecnymi wydarzeniami w Niemczech i chce porozumieć się z faszystami.

– A co z całą resztą: labiryntem, płaskowyżami, wewnątrz których są miasta. Bagnem i wszystkimi bagiennymi stworzeniami, co z zamkiem? - zaprotestował Indy.

– Dobrze, zaczekaj chwilę. Zostałeś zabrany w okolice San Agostin w Kolumbii. Tyle wiemy. Rzeczywiście ta podziemna wędrówka i labirynt są zastanawiające, ale do tego zaraz dojdziemy. Wiemy, że następnie jechałeś pociągiem do Santa Marta i spotkałeś Indian Kogi. Następnie rzekomo

znów znalazłeś się w świecie wewnętrznym, ale ja sądzę, że wcale tak nie było.

– Jak możesz tak mówić? - oburzył się Indy.

Brody uniósł rękę.

– Proszę cię, wysłuchaj mnie do końca. Pamiętasz? Byłeś pod wpływem narkotyków. Myślę, że mamy tu do czynienia z mieszaniną różnych rzeczy i różnych faktów. Na przykład tak się składa, że *nalca* to jest nazwa kolczastej rośliny spotykanej na południu Chile, zwłaszcza na Chiloe. Natomiast Pincoya nie jest miastem, tylko imieniem mitycznego .stworzenia, w które wierzą mieszkańcy Chiloe, coś w rodzaju syreny, ale z nogami i bez płetw.

– Ale ja widziałem te ryby - przerwał mu Indy, - Wyraźnie zbierali ikrę tych ryb.

– Wcale nie mówię, że ich nie widziałeś. Mówię tylko, że niektóre rzeczy były złudzeniem. - Brody znów wskazał na mapę Ameryki Południowej.

– Podejrzewam, że podano ci jakieś narkotyki tu w górach w pobliżu Santa Marta, a następnie przetransportowano w okolice zwane Gran Sabana, znajdujące się w Wenezueli. Wszystko to wymagało pokonania dość znacznych odległości i to tłumaczy upływ czasu Moim zdaniem byłeś bardzo długo pod wpływem silnych narkotyków.

– Gran Sabana? - ta nazwa coś przypominała Indy'emu. - Zaczekaj chwilę. Czy to jest to miejsce, które Arthur Conan Doyle opisał w *Zaginionym świecie*, z dinozaurami żyjącymi na płaskowyżach?

Brody uśmiechnął się i kiwnął głową. Otworzył album ze zdjęciami.

– Zobacz.

Na zdjęciach widoczne były tajemnicze góry o spłaszczonych szczytach, niezwykle stromych zboczach wysokości kilkuset stóp i ogromne wodospady.

– Rzeczywiście bardzo podobne - zgodził się Indy. - Tylko co z tego? To wcale nie oznacza, że świat wewnętrzny nie istnieje. Może tam się znajdować kraina podobna do tej. Salandra nawet mówiła, że świat wewnętrzny jest odbiciem świata zewnętrznego. Uzupełniają się i odpowiadają sobie wzajemnie.

Brody przeglądał zdjęcia, pokazał jedno z nich Indy'emu.

– Ta góra jest najwyższym szczytem w Gran Sabana. Ma ponad dziewięć tysięcy stóp. Nazywa się Roraima.

Indy wzruszył ramionami, ale nie był już taki pewny siebie.

– To może być kolejny odpowiednik.

– Indianie nazywają te płaskowyże *tepui*. Widzisz? Zastanów się nad tym. Czy zwiedziłeś te miasta?

– Nie, ale...

– Wmówiono ci to, a narkotyki załatwiły całą resztę. Walczyłeś z olbrzymem i dinozaurem, ponieważ to właśnie miałeś zobaczyć. Prawdopodobnie było to coś zupełnie innego. Jeżeli zaś chodzi o zamek, to przecież widziałeś go we śnie, prawda?

– Tak. Mów dalej - Indy był coraz mniej przekonany.

– Prawdopodobnie spędziłeś jakiś czas w paśmie nadgranicznym między Wenezuelą a Kolumbią - Brody znów podszedł do mapy. - Ten półwysep nazywa się Guajira - powrócił do biurka i otworzył jakąś książkę na stronicy oznaczonej zakładką. - Zobacz.

Było to zdjęcie kobiety ubranej w długą, fałdowaną suknię. Jedna strona twarzy kobiety pomalowana była na czarno.

– To jedna z kobiet Wayua - krzyknął Indy.

– Nie, Indianka Guajira. Maleiwa to z kolei imię jednej postaci z mitologii Guajira. - Brody zamknął książkę i otworzył następną. - Potrafisz to przeczytać?

Indy wpatrywał się w stronicę, na której znajdowała się kopia inskrypcji *rongo-rongo*. Potrząsnął głową.

– Już nie.

– Tak myślałem. Szkoda, Napisałem do Daviny, że zniknąłeś. Właśnie dostałem od niej list.

Otworzył szufladę, wyciągnął z niej kopertę i wyjął kartkę papieru, którą podał Indy'emu. Davina wyrażała swoje ubolewanie z powodu zniknięcia Indy'ego, na końcu był dopisek: „Co zaś tyczy się rzekomych nieznanych świętych tabliczek, to nie istnieją, a gdyby nawet istniały, to najlepiej byłoby, gdyby na zawsze pozostały w ukryciu".

Indy podszedł do okna i spojrzał na Central Park. Park istnieje naprawdę - pomyślał, - Nowy Jork istnieje naprawdę. Ja istnieję naprawdę.

Brody odchrząknął.

– Indy, proszę cię, nie zrozum mnie źle. Myślę, że nie był to jedynie wpływ narkotyków. Moim zdaniem twoje doświadczenia można zaliczyć do transgresji spotykanej w szamanizmie. Być może niektórzy z nich dzięki silnej koncentracji i wysiłkowi woli są w stanie wpłynąć na świadomość drugiej osoby.

– Trudno byłoby to udowodnić, Marcus.

Brody uniósł dłoń.

– Nie twierdzę, że jest to zjawisko naukowo dowiedzione i, prawdę mówiąc, nie zamierzam tego udowadniać. Myślę jednak, że jest to hipoteza bardziej wiarygodna, niż twój rzekomy pobyt w świecie wewnętrznym.

– Wciąż trudno mi w to uwierzyć, Marcus. Jeżeli nie istnieje świat wewnętrzny, to po co to wszystko?

– Z pewnością kluczem do zagadki jest to berło z kości słoniowej. Ten cały Maleiwa prawdopodobnie śledził cię do miejsca, gdzie je ukryłeś. Kiedy odszedłeś, odkopał je, a potem oba odłamy wyznawców świata wewnętrznego rozpoczęły walkę o nie, jedni i drudzy wierzyli, że jesteś obdarzony jakąś mocą, ponieważ przez pewien czas byłeś jego właścicielem.

Indy się roześmiał.

– Masz na wszystko wytłumaczenie. Powiedz mi w takim razie, w jaki sposób znalazłem się na szczycie Statuy Wolności.

– A w jaki sposób zszedłeś z niej?

– Opuściłem się na taras obserwacyjny - powiedział Indy.

– W podobny sposób dostałeś się na górę. Wciągnąłeś się tam. Po prostu tego nie pamiętasz.

– Nie pamiętam. Pamiętam natomiast jednorożce.

Indy znów podszedł do okna i zobaczył młodą kobietę idącą chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Przyjrzał jej się uważnie. Była wysoka, miała rude włosy, poruszała się z wdziękiem. Salandra!

Brody mówił dalej, Indy przyglądał się kobiecie.

– Nie pasuje mi tylko jedno. Przysiągłbym, że widziałem jak ten statek, *Caleuche,* zatonął w morzu. Byłeś na pokładzie i myślałem, że ty również utonąłeś. To bardzo trudno wytłumaczyć.

Nie, to nie może być ona - pomyślał Indy - chociaż... Weszła do parku, poczuł nagłą chęć, by wybiec z gabinetu Brody'ego i popędzić na drugą stronę ulicy. Wtedy dostrzegł brodatego mężczyznę, który podszedł do niej i wziął ją za rękę. Nie widział zbyt dobrze jego twarzy, ale sylwetką przypominał Vicarda.

– Myślę, że podobnie jak Hans Beitelheimer, padłem ofiarą mitu, legendy o *Caleuche*. Jeszcze jest ta historia z sobowtórami.

– To również fascynujące - dodał Brody. - Zupełnie nie wiem, co o tym myśleć.

Podszedł do okna i spojrzał nad jego ramieniem.

– Co tak uważnie oglądasz?

Indy na chwilę odwrócił wzrok od dwojga ludzi, a kiedy spojrzał znowu, już ich tam nie było. Może to oni, może nie.

– Nasze odpowiedniki, Marcus.

– Nasze?

– Dokładnie. Teraz wiem, kogo mi przypominał Vicard. Ciebie!

Brody przytknął palec do podbródka dokładnie tak samo, jak robił to Vicard.

– No cóż, miło byłoby być królem, jak sądzę.

Roześmieli się obaj. Indy nie wiedział już, co ma myśleć o tym wszystkim. Twierdzenie, że cała ta historia była kwestią sugestii i narkotyków wydawało się dość sensowne i pasowało do całości. Wciąż jednak pozostawały pytania, na które nie było odpowiedzi. Na przykład, co stało się z Maleiwą?

Ale wtedy przypomniał sobie ostatnie słowa, jakie usłyszał od Salandry. Teraz odkrył zupełnie nowy ich sens: „Kiedy wrócisz, w twoich myślach zapanuje zamęt - powiedziała. - Będziesz podawał w wątpliwość to, co jest i to, czego nie ma. Wtedy przypomnij sobie starą maksymę, której nauczyli mnie moi mistrzowie w Roraimie: Nic nie istnieje poza jednością wszystkiego".